Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 1/2(69/70)2015

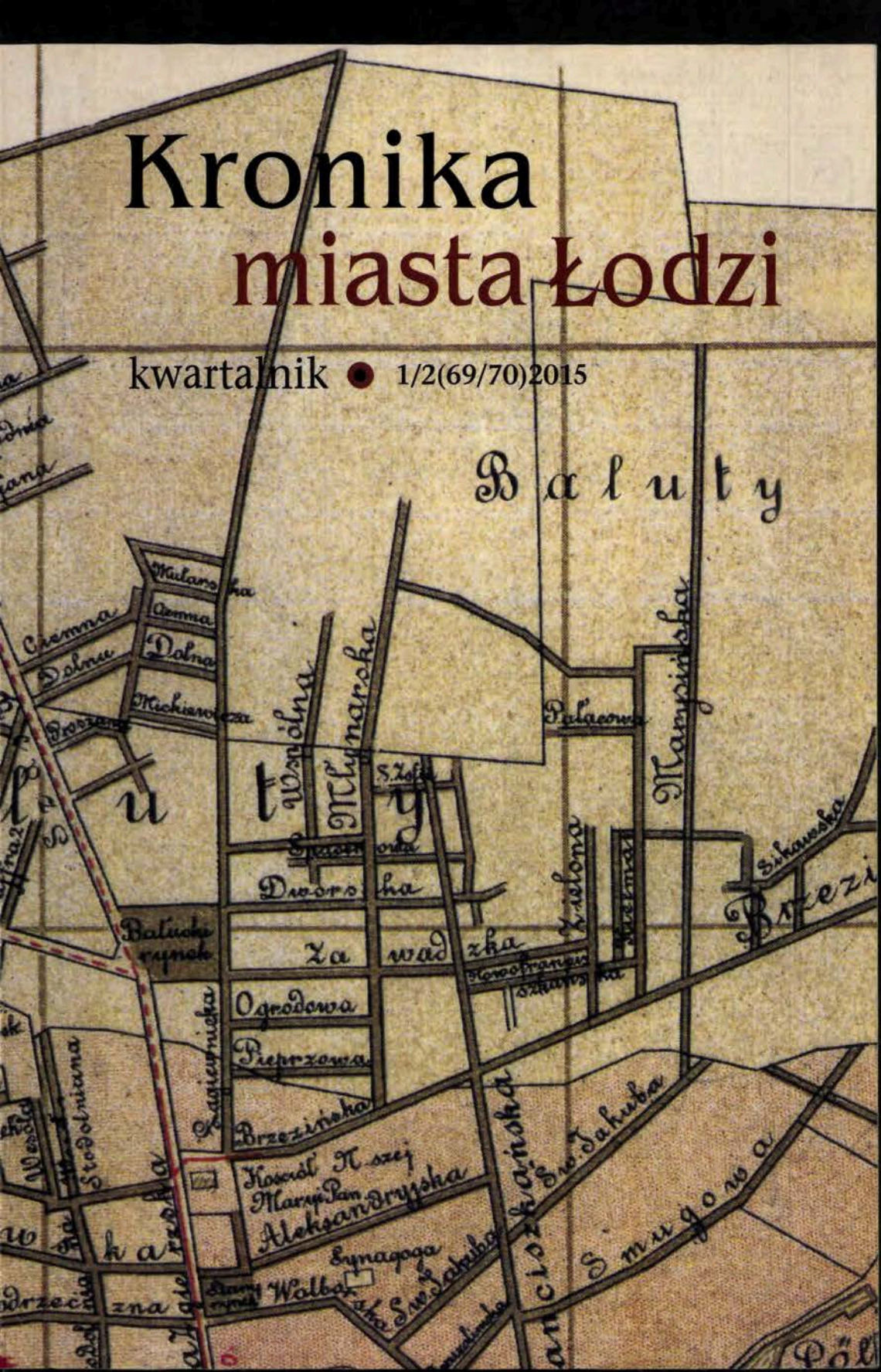

15,00

WBP im. J.P. w Łodzi

ci 132138/2015

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
WOJEWÓDZKA
ROK ZAŁOŻENIA 1917 w ŁODZI
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego

zw/dk/273/15

PR

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 1/2(69/70)2015

10671-II
2015
Nr 1/2

WBP im. J.P. w Łodzi

Łódź 2015

Wydawca:

Urząd Miasta Łodzi
Biuro Informacji i Komunikacji Społecznej

Redakcja:
Gustaw Romanowski — redaktor naczelny

W zredagowaniu numeru uczestniczyli:

Koncepcja i koordynacja:
Marcin Kieruzel

Współpraca redakcyjna:
Małgorzata Golicka-Jabłońska

Projekt typografii i okładki:
Andrzej Chętko

Zdjęcia:
Autorzy, Archiwum UMŁ

Skład i druk: Drukarnia WIST
95-100 Zgierz, ul. Barona 8 B

Łódź, 2015

Redakcja:
Kronika Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 113, prawa oficyna
90-430 Łódź, tel. (42) 638–44–39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzegamy sobie prawo do zmian redakcyjnych i skrótów.

Spis treści

pierwsze kolumny **5**

Krzysztof Paweł Woźniak, Powieść o Bałutach i jej autor Izrael Rabon 7

Tomasz Czarnecki, Kolonizacja Bałut w drugiej połowie XIX wieku 16

Dariusz Kędzierski, Szpital im. Heleny Wolf 22

Piotr Wysocki, Wokół „bałuciarskiej" legendy 27

25 lat Samorządu **41**

Anna Kuźmicka, Twarze Rady Miejskiej 43

Paweł Patora, Prezydenci Łodzi w 25-leciu 57

Grzegorz Matuszak, Mozolnie uczyliśmy się samorządności 65

Kultura **75**

Paulina Dzwonkowska, Magdalena Moskwa w Muzeum Sztuki 77

Gustaw Romanowski, Malarstwo Włodzimierza Finke 83

Błażej Filanowski, Historia Mariana Minicha 88

Historia **95**

Paweł Patora, 70 lat Łodzi akademickiej 97

Aneta Stawiszyńska, Kultura fizyczna w Łodzi w latach Wielkiej Wojny 103

Magdalena Starzycka, Przetrwali na Piotrkowskiej 113

Aneta Stawiszyńska, Kim była Lidia Gablerówna? 118

Kroniki Rodzinne **125**

Maria Sondej, Życie według Stanisława Rubacha 127

Recenzje **135**

Marcin Kieruzel, Niedola Dawida Sierakowiaka 137

Gustaw Romanowski, Życie Aliny Szapocznikow 142

Tomasz Czarnecki, Łódzki strajk studencki '81 147

Łodzianie **153**
Przypomnieliśmy Zofię Hertz 155

Osiedla, domy, ulice **159**
Dariusz Kędzierski, Zachodnia 161

Z łódzkiego raptularza **171**
opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska

pierwsze kolumny

Powieść o Bałutach i jej autor Izrael Rabon
Zapomniana czy nieznana
Krzysztof Paweł Woźniak
str. 7

Kolonizacja Bałut w drugiej połowie XIX wieku
Jak dziedzic rozstawał się z ziemią
Tomasz Czarnecki
str. 16

Szpital Heleny Wolf
Smutny zabytek
Dariusz Kędzierski
str. 22

Wokół „bałuciarskiej" legendy
Piotr Wysocki
str. 27

Powieść o Bałutach i jej autor Izrael Rabon

Zapomniana czy nieznana

Na długiej liście tytułów książek o Łodzi powieść Izraela Rabona *Bałuty, powieść z przedmieścia* (*Bałut, roman fun forsztot*) zajmuje miejsce szczególne. Jej losy, podobnie jak koleje życia autora, nie są w pełni znane. Izrael Rubin, bo tak brzmiało prawdziwe nazwisko Rabona, używającego też innych pseudonimów, urodził się w 1900 roku w Gowarczowie nieopodal Przysuchy. Matka Dobra (Debora) pochodziła z rodziny chasydzkiej, której początek dał „święty Żyd", Jaakow Icchak ben Aszer z Przysuchy (1766-1814)[1]. O ojcu Szymonie wiadomo tylko tyle, że bardzo wcześnie osierocił czwórkę swoich dzieci. W 1902 roku rodzina Rubinów zamieszkała na Bałutach. Tam upłynęło dzieciństwo i młodość pisarza, który opuścił Łódź dopiero w pierwszych dniach września 1939 roku, tuż przed wkroczeniem Wehrmachtu do miasta.

Rabon był samoukiem. Edukację zakończył na poziomie chederu. Przewodnikiem po świecie wiedzy stała się dla niego literatura. Czytał zachłannie. Opanował język niemiecki i francuski w stopniu pozwalającym mu tłumaczyć poezję z obu tych języków. Drugą obok literatury towarzyszką jego życia była bieda, przed którą bronił się, podejmując różne zajęcia. Znający go twierdzili, że w bałuckim mieszkaniu Rubinów książki były jedynymi wartościowymi przedmiotami. Zmobilizowany na wojnę z bolszewikami w 1920 roku, walczył w szeregach Dywizji Litewsko-Białoruskiej dowodzonej przez gen. Lucjana Żeligowskiego. Miał już wówczas za sobą debiut literacki, którym były humorystyczne wiersze opublikowane w 1915 roku na łamach gazety „Łodzier Fołksbłat".

Po powrocie z wojny oddał się swojej największej pasji – pisarstwu. Pisał wyłącznie w języku jidysz i przeszedł do historii literatury żydowskiej nie tylko jako utalentowany poeta i bardzo interesujący prozaik, ale także jako tłumacz, publicysta i krytyk literacki. Całość dorobku pisarskiego Rabona jest trudna do oceny, ponieważ nie istnieje nawet pełna bibliografia jego spuścizny[2]. Znaczną część utworów publikował w prasie żydowskiej, m.in. na łamach dziennika „Lodzer Tageblatt", a także w gazetach warszawskich. W większości były to pisane w odcinkach opowiadania mieszczące się w kategorii *shund*, czyli szmiry – literatury sensacyjnej, awanturniczej, pozbawionej większych wartości artystycznych, ale pozwalającej ćwiczyć pióro, doskonalić sposób

obrazowania, charakteryzowania postaci obserwowanych na co dzień na Bałutach. Odcinkową twórczością na łamach gazet parało się zresztą wielu pisarzy, traktując tę działalność bez większych ambicji, ale czysto zarobkowo. Rabon był świadom dyskusyjnej wartości tych utworów, stąd liczne pseudonimy, którymi je podpisywał. Jednocześnie wyrażał przekonanie, że ten nurt literatury rozwija się we wszystkich językach europejskich, dlatego jego obecność w jidysz nie jest czymś odosobnionym i dziwnym.

W latach międzywojennych Izrael Rabon był już jedną z najbardziej charakterystycznych i rozpoznawalnych postaci łódzkiego środowiska literackiego. Znany i uznany jako poeta, którego twórczość dopiero w ostatnich latach zaczyna być przedmiotem analiz literaturoznawców, był też autorem dwóch poważnych powieści. Wydana w 1928 roku Ulica (Di gas) dopiero w 1991 roku doczekała się tłumaczenia na język polski i wydania w cennej serii „Biblioteka Pisarzy Żydowskich" Wydawnictwa Dolnośląskiego[3]. Sześć lat późniejsza powieść Bałuty pozostała niedokończona. Dwa pierwsze rozdziały ukazały się w prasie pod wspólnym tytułem *Przedmieście*, prawdopodobnie na łamach „Lodzer Tageblatt". Bliższy adres bibliograficzny pozostał nieznany także Chone Shmerukowi, najwybitniejszemu badaczowi i znawcy literatury jidysz[4]. Jako druk zwarty opublikowało *Bałuty* warszawskie wydawnictwo Sh. Goldfarba, korzystające z finansowego wsparcia udzielonego przez Związek Literatów i Dziennikarzy Żydowskich[5]. Spośród polskich bibliotek jeden (unikatowy?) egzemplarz z tego wydania ma w swoich zbiorach Biblioteka Narodowa w Warszawie. W 2006 roku ukazało się francuskie tłumaczenie powieści, dokonane przez uchodzącą we Francji za niekwestionowany autorytet w zakresie kultury jidysz Rachel Ertel, poprzedzone jej przedmową[6]. Kilka lat wcześniej redakcja miesięcznika „Midrasz" opublikowała krótki fragment w tłumaczeniu Natalii Krynickiej, informując, że jest to rozdział pierwszy powieści, zatytułowany *Bal*[7].

Niewątpliwie publikacja ta przyczyniła się do upowszechnienia uproszczonej opinii o utworze, który przedstawiać ma „Bałuty jako synonim obyczajowego zepsucia"[8]. Trudno zgodzić się z taką oceną, nie dostrzegając w powieści groteski i czarnego humoru, charakteryzujących także poetycką twórczość Izraela Rabona. Nie ulega żadnej wątpliwości, że Bałuty, dzielnica ogromnych kontrastów społecznych, pełna gorączkowego ruchu, w której duża część życia polsko-żydowsko-niemieckiej społeczności toczyła się na ulicach i podwórkach, ukształtowały świat wyobraźni i wrażliwości pisarza. Na karty powieści przeniesiona została galeria typów ludzkich niespotykanych w takim nagromadzeniu nigdzie poza Bałutami, a dobrze znanych autorowi z codziennych obserwacji. Przekonuje o tym odnaleziony w tygodniku „Nasza Opinia" fragment przetłumaczonej na język polski powieści, w którym tragizm i komizm, fantastyka i realizm znalazły mistrzowskie połączenie. Rabon bardzo dobrze czuł się w literackim klimacie makabry, absurdalnych fantasmagorii, bliskich duchowi utworów Charlesa Baudelaire'a, którego wiersze tłumaczył[9].

„Opinia" była drukowanym po polsku żydowskim tygodnikiem polityczno-społecznym i literackim o wyraźnym zabarwieniu syjonistycznym. Pismo ukazywało się w Warszawie od 5 lutego 1933 roku do 1936 roku pod patronatem dziennika „Hajnt". Redaktorem odpowiedzialnym był Mojżesz Indelman. Przez pewien czas funkcję tę oraz funkcję sekretarza redakcji sprawował Roman Brandstaetter. „Opinia" skupiała wybitnych naukowców, pisarzy i publicystów żydowskich i polskich, m.in.: Szaloma Asza, Majera Bałabana, Szymona Dubnowa, Ignacego Schipera, Szymona Lustiga, M. Miesesa, Marię Jasnorzewską, Leona Kruczkowskiego. Tygodnik uważany był za czołowy organ opiniodawczy środowiska żydowskiego w Polsce. Od 18 lipca 1935 roku pismo nosiło tytuł „Nasza Opinia" (od 1938 roku z podtytułem „Tygodnik Polityczny, Społeczny i Literacki") i od 1936 do września 1939 roku wydawane było we Lwowie (sygnowane Warszawa – Lwów – Kraków – Wilno), pod redakcją Naftalego Hausnera. Jednorazowy nakład sięgał 25 tys. egzemplarzy. Ogółem wydano 198 numerów pisma[10].

Numer 40 „Opinii" z 1936 roku poświęcony był Łodzi. Zawierał m.in. tekst łódzkiego historyka, doktora Filipa Friedmana *Łódź. Od łódki do Łodzi*, tłumaczony z jidysz przez Helenę Neuman. W jej także tłumaczeniu opublikowany został fragment powieści Izraela Rabona *Bałuty* zatytułowany *Śmierć wyrobnicy*[11]. Nazwisko autora podano w formie Raban, co potwierdza istniejące wówczas i nierozstrzygnięte do dziś spory wokół zasad transkrypcji jidysz na polski[12]. Tłumaczka Helena Neuman była żoną Jecheskiela Mosze Neumanna (Najmana) (1893-1956), pisarza, dziennikarza, współzałożyciela artystyczno-literackiej grupy Jung Jidysz. Jej działalność dziennikarska czy translatorska nie jest znana[13]. Sadząc z niewielkiej próbki tłumaczenia prozy Rabona, nie czuła chyba najlepiej używanego przez niego i właściwego dla Bałut języka jidysz. Warto jednak chociaż w taki sposób przybliżyć czytelnikom „Kroniki miasta Łodzi" próbkę prozy tego, świetnie znającego Bałuty zapomnianego łódzkiego pisarza.

Nie są znane powody, dla których Izrael Rabon nie dokończył tej powieści. Nie później niż w pierwszej połowie listopada 1939 roku opuścił Łódź i znalazł się w Wilnie[14]. Przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej nie zdecydował się na ucieczkę na Wschód. Zginął rozstrzelany przez Niemców latem 1941 roku w Ponarach, miejscu masowych zbrodni na Polakach i Żydach.

Bibliografia:

1. Adamczyk-Garbowska M., *Literatura jidysz w polskich przekładach dawniej i dziś* [w:] *Jidyszland – polskie przestrzenie*, red. naukowa E. Geller i M. Polit, Warszawa 2008.
2. Bieńkowska D., Umińska-Tytoń E., *Nazewnictwo miejskie Łodzi*. Wydanie II poprawione i uzupełnione, Łódź 2013.
3. Cała A., Węgrzynek H., Zalewska G., *Historia i kultura Żydów polskich. Słownik*, Warszawa 2000.

4. Fuks M., *Dziennikarze prasy żydowskiej w Polsce*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej" 1985, nr 3.
5. Fuks M., *Poczet publicystów i dziennikarzy żydowskich*, cz. 1-2, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego" 1984, nr 3/4.
6. Fuks M., *Prasa żydowska w Polsce lat 1918-1939. Jej rola i miejsce w życiu politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym kraju*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej" 1982, nr 3/4.
7. Geller E., *Jidysz – język Żydów polskich*, Warszawa 1994.
8. Koller S., *Jiddische Literatur im Krieg. Moysche Kulbak und Yisroel Rabon*, „Jahrbuch des Simon-Dubnow-Instituts" Jg 13, 2014.
9. Olejnik I., *Izrael Rabon – cudowne dziecko żydowskiej Łodzi*, „Acta Uniwersitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica" 2013, nr 4 (22).
10. Paczkowski A., *Prasa żydowska w II Rzeczypospolitej*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej" 1991, nr 2.
11. Shmeruk Ch., *Historia literatury jidysz*, Wrocław 1992.
12. Shmeruk Ch., *Izrael Rabon i jego powieść „Ulica"*, [w:] I. Rabon, Ulica, Wrocław 1991.
13. Sparr T., *Die Strassen von Lodz. Israel Rabons Roman von 1928 – wiederentdeckt*, „Neue Züricher Zeitung", 24.09.1998.

Krzysztof Paweł Woźniak
dr hab Instytut Historii UŁ

Izrael Rabon

Śmierć wyrobnicy
(fragment powieści Bałuty)

Przy bramie stoją dwie kobiety i rozmawiają.

– Tysiąc razy mówiło się jej, żeby odeszła od weberki, ale ona nie słuchała. Oj, uchowaj Bóg przed takiem nieszczęściem.

– Brzuch miała jak wór mąki i wciąż przy weberce harowała[15].

– Co biedna miała robić, przecież musiała pracować, żeby dzieci wyżywić! Mąż jej umarł, więc ona była jedyną żywicielką.

– Kiedy nawet żył, to ona też pracowała ciężko, jak koń. Mąż jej, powiadam wam, ładnie zarabiał, o wa, co to za mąż był, za przeproszeniem! Suchotnik, sama skóra i kości! A jabłko Adama sterczało mu jak pompa. On już był „trup" kilka lat przed śmiercią. Zarabiał na wodę do kaszy. Gdyby nie Zlata, jego żona, to by nigdy nie miał kaszy w garnku.

– I po co im jeszcze dzieci były potrzebne? Jak się ma dwoje – czy nie wystarcza?

– Nie powinniście pytać, po co komuś są dzieci potrzebne. To nikogo nie powinno obchodzić, to niczyja sprawa zaglądać komuś pod skórę, ale zawsze, jak się ma już brzuch taki, to czy trzeba siedzieć przy maszynie i pracować? O to ja się gniewam. W sobotę wieczór, i to w taki upał, kiedy nawet ptaki padają ze zmęczenia, pracować? Chcieć połknąć cały świat?

– A może praca wcale nie jest temu winna, tylko to już taki poród?

– Co tu wiele gadać, Itesi, żal dzieci: okrągłe sierotki bez ojca i matki. A najbiedniejsze to maleństwo. Kto je będzie karmił? Kto będzie pieluszki prał? Kto kołyską potrząśnie? Ach, Itesi, nawet wrogom nie życzę takiego życia.

I końcem sukni przeciera sobie oczy, przy czym głośno wzdycha. Potem wchodzi do izby na parterze, małego drewnianego domku ze spadzistym dachem, spod którego widać dwa czy trzy gniazda gołębie. Gołębie śpią teraz, ale z oddali miga w błękicie nocy ich srebrzysty puch. Pokój jest przepełniony ludźmi, obcymi ludźmi o zatroskanych twarzach. Najwięcej wśród nich kobiet. Mimo że noc jest upalna, noszą jednak chustki zarzucone przez ramię, aby w ten sposób okazać cześć zwłokom. Pierwszy pokój jest niski. Na grubym drucie, który ciągnie się wzdłuż sufitu, wisi naftowa lampa z blaszanym kapturem. Przy oknie stoją dwie maszyny tkackie. Okna są zakurzone, pełno na nich pyłu bawełny. W pokoju jest ciemno, chociaż pali się lampka. Twarze obecnych wydają się teraz jeszcze bardziej zatroskane. W drugim pokoju stoją trzy łóżka, kilka stołków, szafa dębowa, stół i stara drewniana wanna z ciepłą wodą.

Młoda kobieta kąpie dziecko w wannie. Maleństwo rzuca się i piszczy jak ptaszek. Jego młodziutkie ciałko po raz pierwszy czuje ciepło wody.

– Biedna ty sierotko, coś ledwo na świat przyszła. A już samotna, jak palec – wzdycha Dwojra nachylona nad wanną, a łza jej miesza się z ciepłą wodą, w której noworodek rzuca się jak rybka i drze się piskliwie.

Reb Eli też jest zatroskany. Wyszedł z pokoju. Nie może znieść babskiego lamentu. Ręce za siebie założył i drobnymi krokami kręci się po podwórzu. Poważnie zastanawia się nad dziećmi, które zostały zupełnymi sierotami. Spośród wszystkich mieszkańców ulicy on jeden może i powinien zająć się ich losem. Jeżeli nie on, więc któż? Może „tamci"? Na pewno „tamci" zgodzą się na to, zabiorą dzieci do siebie, ale cóż z nich zrobią? Złodziei, bandytów, wyrzutki społeczeństwa. Żal istoty boskiej. Szkoda, żeby się zmarnowały. Jeżeli on zupełnie odwróci się od dzieci, wtedy z pewnością będzie tak, jak przewiduje: banda Herszla Bucika zabierze je i wychowa na swoich ludzi. Nie, nie, nie wolno dopuścić do tego. Myśli o Joslu. Podoba mu się chłopak: delikatna twarz, wcale nie cham. On mógłby pomagać przy tkactwie i w ten sposób zarabiać na życie. Ale z maleństwem, noworodkiem, to nie lada troska. Ono może mu przysporzyć dużo kłopotu i zatruć życie. Po pierwsze, jest on bardzo nerwowy, a piszczenie takich maleństw przeszywa mu mózg. Po wtóre, kto je będzie karmił? U niego przecież nie ma młodych kobiet o piersiach z pokarmem. A może zmarła zostawiła krewnych, którzy zabiorą dziecko? A może krewni jej męża zgłoszą się i dziecko przyjmą do siebie, wtedy kłopot z głowy mu spadnie. On sobie nawet przypomina, że przyszedł kiedyś na pogrzeb jakiś męża brat, ale po ubraniu jego znać było, że to biedak nie lada. Poza tym nikt nigdy nie przychodził. Skoro nie na pogrzeb, więc kiedy mogliby przyjść? A zatem oni zupełnie nikogo nie mieli. Dziwni naprawdę Żydzi, samotni jak myszy kościelne. Przypuśćmy, że Josele z noworodkiem on zabierze do siebie. A co się z dziewczynką wtedy stanie? Z chłopakiem jakoś lżej, gdy będzie duży – łatwo się ożeni, ale dziewczyna? To jest niepewny towar, któż się połakomi na nią? Ale na miły Bóg, to jednak taka sama biedna sierotka jak Josel i niemowlę. Ma również usta, które jeść muszą, i nogi, którym na święta potrzebne są buty. [...]

Około piątej po południu przyjechał karawan. Miał przyjechać o jedenastej przed południem, ale spóźnił się. Na Bałutach karawan zawsze przychodzi o pięć–sześć godzin później. Przyszedł czarny, odrapany, brudny i obłocony karawan. Lakier i czarna farba miejscami na nim starte i widać nagie deski. Karawan zajechał zuchwale z szybkością niemal galopową. O mało nie przejechał dziecka z krzywymi nóżkami, które nie zdążyło tak szybko zejść z drogi. Kurz i piach uniósł się za wozem i jak gęsta mgła przysłoniły Fajferówkę[16]. Ludziom nasypał pełno kurzu do oczu i uszu. Gdyby jakiś inny wóz w ten sposób jechał, nie przepuszczono by mu tego i pod adresem furmana padłyby ostre słowa i przekleństwa: „Do pioruna, sukinsyn, pod kołem powinieneś leżeć za taką jazdę z kobyłą". Teraz była cisza. Ludzie przecierali sobie oczy i milczeli. Przecież to jest ten wóz, który kiedyś wszystkich zawiezie tam,

na Marysińską... Do tego wozu mają ludzie szacunek i nie ośmielają się cokolwiek złego powiedzieć. Nawet Herszel Bucik, który nie pozwala sobie w kaszę dmuchać, też słówkiem się nie odezwał, lecz cierpliwie otarł oczy z kurzu.

Furman w czarnej pelerynie szybko wleciał do pokoju, złapał przy pomocy rudego Żyda trupa, wrzucił go do skrzyni i wsunął do karawanu. Jest godzina piąta. Setki syren fabrycznych rozbrzmiewają jak gwizd tysiąca lokomotyw ruszających z miejsca.

Nad Bałutami unoszą się ciężkie chmury sadzy i dymu, które potężne kominy fabryczne wypluły w niebo i przesłoniły każdy obłoczek, każdą chmurę i skrawek błękitu. Słońce jak okręt tonący zostało zalane czarnym, dławiącym morzem dymu. Pod przeraźliwym gwizdem syren, które całej Łodzi oznajmiają, że praca dzienna się zakończyła i pod niebem pełnym sadzy i dymu, które mogło się wydawać zapowiedzią pożaru całego miasta, ruszył pogrzeb wyrobnicy Zlaty.

Karawan jechał prędko i wrzynał się w piaszczystą jezdnię. Ludzie nie szli, lecz biegli, skakali za wozem, nie mogąc dotrzymać mu kroku. Na przedzie szli Josel i Mirele. Trzymali się za ręce, płakali, wpatrzeni w czarne drzwiczki karawanu. Za nimi szła Dwojra ze swoim mężem, małym reb Elim. Uszli tylko paręset kroków. Za nimi podążało kilku tkaczy, którzy pracowali w tej samej fabryce, gdzie mąż zmarłej. Potem szła sama, odseparowana od reszty Żółta Cywja, właścicielka domu publicznego, obok zaś jej trzy prostytutki. Te głośniej od innych płakały i wzdychały.

– Aj, taka porządna kobieta była ta Zlata... Niech się wstawi za nasze dusze...

– Całe 30 lat siedziała nad „weberką" i nawet na koszulę pośmiertną[17] grosza nie miała...

Dwie prostytutki, które przez cześć dla zmarłej nie namalowały się, miały żółte zwiędłe twarze. Obie trzymały ciotkę Cywię pod rękę. Jej tłuste ciało kołysało się w ich chudych rękach, a z podwójnej, grubej jej szyi wydobywał się, jak z pustego rondlu, przytłumiony głos.

– Oj wej, bracia Żydzi, co to będzie z biednymi sierotami?

Za nią szła Chana „inteligentka". Chociaż nigdy nie poważała nieboszczki Zlaty za jej pobożność i przy każdej sposobności nazywała ją świętoszką, mimo to uważała za swój obowiązek pójść na pogrzeb. Przecież 30 lat pracowała przy tkactwie, a mąż jej płuca wypluł przy tej pracy. Chana szła krokiem powolnym, poważnym, a z jej czerwonych oczy błyskał ogień wiekowej nienawiści do „pasibrzuchów".

Nute „od kinematografu" również szedł za pogrzebem. Był znajomym męża Zlaty. Kinematograf[18] zostawił jednak w domu. Na samym końcu orszaku szli dwaj kataryniarze z Fajferówki, starsi mężczyźni o wygolonych twarzach, w czapkach z błyszczącymi daszkami, ubrani w bluzki trykotowe w pasy jak koszulki więźniów. Dalej sunął Szlojme „Beczka", paralityk, który spuchł z braku ruchu, stąd nazwa jego „Beczka". Siedział we wózku, który otrzymał od fabrykanta, gdy oślepł. Na wózku wyglądał

on, jakby nóg nie miał, ponieważ dolna część jego ciała przykryta była grubym lichym płótnem. W tej ręce, którą jeszcze władał, trzymał on ogon byka i poganiał nim psa, który zaprzęgnięty był do wózka, przyczep mamrotał swymi cienkimi, sinymi wargami: „Ruszaj się, ruszaj, braciszku".

Pies niewiele sobie z tego robił, że chodzi za pogrzebem i jak zwykle miał opuszczony chudy łeb i szukał żarcia, węsząc wilgotnym pyskiem po ziemi. Rudy Żyd z rzadką bródką kręcił się w kółko i pobrzękiwał blaszaną puszką, w której dzwoniło i podskakiwało parę miedzianych monet. Wołał błagalnym, płaczliwym głosem: „Dzieci Izraela, wielkie są grzechy, ale przez ofiary możecie wykupić się od śmierci". Stukanie jego drewnianych butów, podbitych gwoździami, rozchodziło się po ulicy i zagłuszało płacz Josla i jego siostrzyczki. Karawan jechał szybko, jakby chciał jak najprędzej wyrzucić z siebie trupa na miejsce wiecznego spoczynku.

Przeraźliwy gwizd syren fabrycznych, który przeszywał uszy, ustawał. Wybrudzeni robotnicy, z twarzami i rękoma usmarowanymi oliwa i kurzem, poczęli ukazywać się na ulicy, trzymając pod pachą niebieskie dzbanki od kawy.

Pies, który woził ślepca, znalazł jakąś kość w piasku i gnoju końskim i zaczął ją gryźć. Dlatego ciągnął wózek wolniej i pozostawał w tyle za karawanem. Gdy pogrzeb był już na innej ulicy, ślepiec wciąż jeszcze mruczał i biadał: „Oj wej, tak młodo ze świata odeszła. Dużo ona ze swego życia miała, miły Boże", i świsnął batem, aby pies się pośpieszył. Pies szedł teraz za furą cegieł zamiast za karawanem, a ślepiec opłakiwał wciąż zmarłą. W pewnej chwili wytężył słuch. Wtedy dopiero zorientował się, że błądzi. Słyszał „szurganie" cegieł, a nie płacz i lamentowanie odprowadzających zwłoki. Odwrócił głowę w stronę chodnika i chorym piersiowym głosem zawołał:

– Ludzie, proszę was, powiedzcie mi, gdzie jestem?

– Na Brzezińskiej ulicy – odpowiedziano mu.

– Czy nie idzie przede mną pogrzeb?

– Nie.

– Oj, wej, zabłądziłem – zawołał i świsnął batem nad wytartą sierścią psa, krzycząc: – Do domu, ty żarłoku, darmozjadzie. Do domu, bo ci twoją trefną skórę pokroję. Niech cię piorun strzeli, żebyś nie zdążył mnie do domu zawieść.

Pies zawrócił szybko i ruszył do domu ze swym właścicielem, ciągnąc wózek przez chodnik. Drogę znał dobrze.

Tłumaczyła Helena Neuman
(Pisownię nieznacznie uwspółcześniono).

Przypisy:

1. J. Doktór, *Jaakow Ischak Ben Aszer z Przysuchy*, [w:] *Polski Słownik Judaistyczny* (http://www.jhi.pl/psj/Jaakow_Icchak_ben_Aszer_z_Przysuchy – dostęp: 22.03.2015); błędne jest zatem ustalenie, że była jego praprawnuczką (I. Olejnik, *Izrael Rabon – cudowne dziecko żydowskiej Łodzi*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Littteraria Polonica" 2013, nr 4 (22), s. 229-230). Zob. też: A. Cała, H. Węgrzynek, G. Zalewska, *Historia i kultura Żydów polskich*. Słownik, Warszawa 2000, s. 53).
2. Ch. Shmeruk, *Izrael Rabon i jego powieść „Ulica"*, [w:] *I. Rabon, Ulica*, Wrocław 1991, s. 7-20.
3. Ukazały się też tłumaczenia na język angielski i niemiecki (T. Sparr, *Die Strassen von Lodz. Israel Rabons Roman von 1928 – wiederentdeckt*, „Neue Züricher Zeitung", 24.09.1998, s. 6).
4. Ch. Shmeruk, *Historia literatury jidysz*, Wrocław 1992, s. 91.
5. I. Olejnik, dz.cyt., s. 231, z błędnym inicjałem imienia wydawcy.
6. I. Rabon, *Balut. Preface et traduction du yiddish par Rachel Ertel*, Montreuil 2006, s. 183. Wywiad z tłumaczką: http://www.ina.fr/video/3106456001.
7. I. Rabon, *Bałuty. Powieść z przedmieścia*, „Midrasz" 1999, nr 12, s. 22-23.
8. I. Olejnik, dz.cyt., s. 234. Poroku: http://www.yivoencyclopedia.org/article.aspx/Rabon_Yisroel.
9. S. Koller, *Jiddische Literatur im Krieg. Moysche Kulbak und Yisroel Rabon*, „Jahrbuch des Simon–Dubnow–Instituts",Jg 13, 2014, s. 251-253.
10. A. Paczkowski, *Prasa żydowska w II Rzeczypospolitej*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej" 1991, nr 2, s. 51-67; M. Fuks, *Prasa żydowska w Polsce lat 1918-1939. Jej rola i miejsce w życiu politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym kraju*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej" 1982, nr 3/4, s. 175-185. Zob. też: http://www.varshe.org.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=82%3Aopinia&catid=18%3Aswniczek–instytucji&Itemid=24&lang=yi.
11. I. Raban, *Śmierć wyrobnicy (fragment z powieści „Bałuty")*, „Opinia" 1936, nr 40, s. 13.
12. E. Geller, *Jidysz – język Żydów polskich*, Warszawa 1994, s xx; M. Adamczyk-Garbowska, *Literatura jidysz w polskich przekładach dawniej i dziś*, [w:] *Jidyszland – polskie przestrzenie*, red. naukowa E. Geller i M. Polit, Warszawa 2008, s. 158-169.
13. M. Fuks, *Dziennikarze prasy żydowskiej w Polsce*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej" 1985, nr 3, s. 35-52; tenże, *Poczet publicystów i dziennikarzy żydowskich*, cz. 1-2, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego" 1984, nr 3/4, s. 115-130; 1988, nr 1/2, s. 69-83.
14. Szerzej o wojennych losach I. Rabona, zob.: I. Olejnik, dz.cyt., s. 240-244.
15. To i dalsze użycia tego określenia („harować przy weberce", „siedzieć nad weberką") sugerują, że mowa jest o jakiejś maszynie. W rzeczywistości „weberką" nazywano rodzaj zajęcia – tkactwo chałupnicze przy użyciu ręcznego krosna, któremu oddawały się setki bałuckich rodzin (od niemieckiego der Weber – tkacz).
16. Oryginalny przypis: „Uliczka na Bałutach". Obecnie ul. Bolesława Prusa; północna przecznica ul. Limanowskiego, wytyczona w końcu XIX w. jako prywatna ulica na gruntach należących do Pfeiffera. W użyciu była też nazwa: ul. Fajfra (D. Bieńkowska, E. Umińska-Tytoń, Nazewnictwo miejskie Łodzi. Wydanie II poprawione i uzupełnione, Łódź 2013, s. 62, 132).
17. Tachrichim, kitel – szata pogrzebowa, która znajdowała się w posagu ślubnym, z taniego, białego płótna (A. Cała, H. Wegrzynek, G. Zalewska, dz.cyt., s. 156).
18. Mowa jest zapewne o ręcznej kamerze filmowej, aeroskopie.

Kolonizacja Bałut w drugiej połowie XIX wieku

Jak dziedzic rozstawał się z ziemią

Początki kolonizacji na terenach późniejszej dzielnicy Bałuty sięgają lat 50. XIX wieku. Inicjatorem całego przedsięwzięcia był August Zawisza, dziedzic dóbr Bałuty, w którego zamiarach było utworzenie osady fabrycznej. Najpewniej u podstaw jego decyzji leżały względy finansowe. Wcześniej dziedzic zdobywał środki w drodze cyklicznego wydzierżawiania folwarków okresowym dzierżawcom. Utworzenie osady o charakterze rolno-rzemieślniczym otwierało możliwość uzyskania źródła stałych, systematycznych dochodów z czynszów oraz propinacji (czyli opłaty ze sprzedaży trunków).

Kolonizacja została pomyślana jako parcelacja majątku dworskiego, położonego w dziedzicznych dobrach Bałuty, wchodzących w skład większej jednostki terytorialnej należącej do rodziny Zawiszów, mianowicie dóbr Łagiewniki. Dobra Bałuty w 1857 roku tworzyły zaś wsie: Bałuty, Żubardź i Doły oraz kolonię Bałuty i folwark Bałuty.

August Zawisza i jego pełnomocnicy

W kontrakcie z 3 listopada 1857 roku August Zawisza przeznaczył do kolonizacji i założenia osady fabrycznej 408 morgów ziemi. Miały to być tereny folwarczne, w tym łąki, obszary leśne i poręby, położone między południową granicą dóbr Bałuty z Łodzią, granicą północną (z dobrami Radogoszcz) i kolonią Żubardź na zachodzie. Granicę wschodnią planowanej kolonizacji stanowiły grunty wsi oraz kolonii Bałuty. To okolice dzisiejszego skrzyżowania ulic Spornej i Wojska Polskiego.

Na mocy kontraktu pełnomocnictwa do urządzenia osady fabrycznej Bałuty Nowe i administrowania nią otrzymali dwaj doświadczeni kupcy zajmujący się handlem w Łodzi i w okręgu zgierskim – Icek Bławat i Icek Birenzweig. Z terenu wydzielonego pod nową osadę obaj otrzymali 72 morgi na wyłączne użytkowanie z prawem wieczystej dzierżawy. Wieczystymi dzierżawcami zostali też wszyscy osadnicy Nowych Bałut nabywający działki i place budowlane. Kontrakt określał czynsz dzierżawny dla całego obszaru osadniczego na kwotę 17 zł czyli 2 rb., 55 kop. z każdej morgi rocznie, płaconą w dwóch ratach. Dzierżawcy powinni byli ponadto płacić podatki i ponosić

inne świadczenia gruntowe. Dziedzic zaś miał czynić starania o nadanie praw miejskich nowo powstałej osadzie. Nie było jednak żadnych gwarancji uzyskania tego przywileju. Co więcej, Zawisza uczynił nawet zastrzeżenia w kontrakcie, zwalniające go od odpowiedzialności za niespełnioną obietnicę wyjednania praw miejskich dla osady.

Nowa osada miała posiadać rynek, przy którym wszystkie domy miały być murowane, a także plac rynkowy i brukowane ulice. O miejskim charakterze osady świadczył również park spacerowy, na którego urządzenie dziedzic Zawisza przeznaczył dodatkowe sześć morgów ziemi z tym zastrzeżeniem, że drzewa rosnące w parku miały pozostać własnością dziedzica. Osadnicy nie mogli korzystać z bogactw wnętrza ziemi, wydobywać piasku oraz budować cegielni i wiatraków. Jedyną zachętą do osiedlania się rzemieślników była obietnica sprzedaży każdemu z nich po 15 sztuk drzewa z lasu żubardzkiego według taksy miejscowej, z rozłożeniem terminu płatności na pięć lat.

W założeniu kontraktu przyjęto, iż na 336 morgach przeznaczonych do kolonizacji miało być wytyczonych 136 gospodarstw. To oznaczało, że średnia wielkość jednego takiego gospodarstwa miała mieć około 2,5-3 morgi ziemi. Kolonistom wolno było odsprzedawać działki tylko za wiedzą dziedzica, któremu przy takiej operacji należała się opłata w wysokości czterech proc. wartości umowy. Administratorzy otrzymali prawo do zawierania aktów notarialnych z nowymi nabywcami, swobodnego określania wysokości czynszu w zależności od klasy ziemi i bardziej lub mniej korzystnego położenia oraz naliczania tzw. wkupnego (czyli opłaty placowej), z czego w późniejszym okresie bardzo chętnie korzystali.

Kontrakt i samowola administratorów

Cała akcja kolonizacyjna od samego początku była źle przygotowana. Nie sporządzono planu przestrzennego zagospodarowania terenu. Orientowano się jedynie z grubsza w jego wielkości. Bławat i Birenzweig, pełnomocnicy dziedzica Zawiszy, mieli wydzierżawiać działki, mimo że w terenie nie były one jeszcze wytyczone. Akcja osadnicza napotykała dodatkową przeszkodę w postaci trzyletniej karencji na wyrąb lasu żubardzkiego, co oznaczało czasowe wyłączenie z procesu kolonizacji znaczącego obszaru około 70 mórg z całego areału. Co więcej, kontrakt z listopada 1857 roku przewidywał prawie ośmiomiesięczną karencję w objęciu przez administratorów obszaru kolonizacji.

Pomimo jednak tych wszystkich problemów i ograniczeń Bławat i Birenzweig zdecydowali się na niezwłoczne rozpoczęcie akcji osadniczej. Pierwsze trzy umowy o przyznaniu areału w ramach akcji kolonizacyjnej zawarto w okresie od listopada do grudnia 1857 roku, czyli wkrótce po sporządzeniu aktu kolonizacyjnego. Ich beneficjentami zostali: łódzki lekarz Gustaw Sterzel oraz zamieszkali w Łodzi Jan Polański i Wigdor Gutgold. Sposób, w jaki Bławat i Birenzweig zawarli i przeprowadzili trzy pierwsze transakcje osadnicze, był charakterystyczny dla całego procesu kolonizacyjnego. W pierwszym przypadku administratorzy pobrali zaliczkę w wysokości

10 rubli za samą obietnicę, bez wydania placu. W drugim osadnik nabył i wszedł w posiadanie dwóch działek jedynie w drodze lakonicznej umowy prywatnej bez zawierania urzędowego kontraktu wieczysto-czynszowego. W trzecim zaś nabywca nigdy realnie nie wyegzekwował otrzymanego nadziału mimo zakupu placu i gruntu również na podstawie umowy prywatnej. Wielokrotne interwencje osadników zarówno w Piotrkowskiej Komisji Spraw Włościańskich, jak i w Komitecie Urządzającym w Królestwie Polskim nie odniosły spodziewanego efektu.

Do 1862 roku administratorzy Bławat i Birenzweig rozparcelowali praktycznie cały areał ziemi przeznaczony do kolonizacji na prawie wieczysto-czynszowym. Było to ponad 335 mórg terenów niezalesionych. Warto jednak zauważyć, że aż 210 mórg (62,5 proc. całego obszaru osadniczego) otrzymało 15 Żydów w ramach nadziału spekulacyjnego. Co ciekawe, z owych 210 mórg na rodzinę Bławata przypadło 27 proc., a na rodzinę Orbachów (z której pochodziła żona Bławata – Ruchla) 20 proc. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, iż u podstaw dążeniu tej grupy nabywców do skupienia w swoim ręku jak największego areału była nadzieja na uzyskanie ziemi na własność w ramach uwłaszczenia bądź rachuby na wzniesienie przez Bławata budynków mieszkalnych, które w późniejszym okresie przynosiłyby im zyski z tytułu komornego.

Od samego początku realizacji projektu kolonizacyjnego administratorzy (zwłaszcza Bławat) dopuszczali się nadużyć i nieprawidłowości przy nadziałach ziemskich. Samowolnie zmniejszali osadnikom wielkość działek zatwierdzonych w drodze indywidualnych umów. Koloniści często otrzymywali jedynie plac pod zabudowę z niewielkim ogródkiem, zobowiązani zaś byli do opłaty jak za normalną działkę dwu- lub trzymorgową. Dzięki samowolnemu zmniejszaniu działek Bławat i Birenzweig mogli wytyczać większą liczbę parceli i zawierać więcej umów z potencjalnymi kolonistami, z czym wiązało się pobieranie przez nich kolejnych czynszów dzierżawnych i opłat placowych.

Oszukani koloniści

Spekulacyjny obrót ziemią i działkami spowodował, że dla 80 osób, które nabyły 92 place budowlane i wniosły opłaty placowe za ziemię, zabrakło areału. Oszukani koloniści wystąpili w maju 1864 roku do Piotrkowskiej Komisji Spraw Włościańskich z żądaniem przyznania im działek dwu- i trzymorgowych, zgodnie z kontraktem osadniczym z 1857 roku. Od dziedzica Zawiszy domagali się zaś odszkodowania za straty wyrządzone im w wyniku łamania kontraktu. Piotrkowska Komisja Spraw Włościańskich uchyliła się jednak od rozstrzygania zawiłych spraw gruntowych osady fabrycznej Bałuty Nowe. Uznano, że osada ta nie kwalifikuje się do objęcia ukazem uwłaszczeniowym z 1864 roku. Wyjątek miało stanowić jedynie sześciu właścicieli gospodarstw położonych w osadzie fabrycznej Bałuty Nowe, ponieważ byli to włościanie, którym przysługiwało uwłaszczenie. Wprawdzie Piotrkowska Komisja Spraw Włościańskich już w 1869 roku wystąpiła do władz w Petersburgu o włączenie Bałut w obręb miasta Łodzi i objęcie rozrastającej

się osady ukazem z 1866 roku o uwłaszczeniu mieszczan-rolników, nie przyniosło to jednak powodzenia.

Wkrótce po zawarciu kontraktu kolonizacyjnego doszło również do konfliktu administratorów z właścicielem dóbr. W 1858 roku August Zawisza wytoczył Bławatowi i Birenzweigowi proces o unieważnienie pełnomocnictwa. Powodem było naruszanie warunków kontraktu i samowolne dysponowanie placami. Dziedzic Zawisza miał pełną świadomość, że działalność administratorów polegała głównie na pobieraniu coraz wyższego wkupnego od kolejnych kandydatów na kolonistów, którym nie zamierzali dzielić się z właścicielem. Nie szły także za tym żadne praktyczne działania w postaci wznoszenia zabudowań. Z drugiej jednak strony Bławat i Birenzweig tłumaczyli przed sądem, iż obawiając się, że dziedzic Zawisza może się rozmyślić i wycofać z procesu kolonizacyjnego, zmuszeni byli przystąpić do nadziałów ziemskich niejako z „marszu".

Sześcioletnie zmagania sądowe nie przyniosły zdecydowanego rozstrzygnięcia. W 1863 roku w drodze ugody Zawisza odkupił od Bławata i Birenzweiga za olbrzymią sumę 14 tys. rubli przyznane im 72 morgi ziemi i uzyskał wykreślenie praw administratorów z hipoteki dóbr Bałuty. Przy tym nie oznaczało to pozbycia się ich, a zwłaszcza Bławata, z pełnionej funkcji, z czego ten ostatni skwapliwie skorzystał. W latach 1865–1872 Bławat razem z żoną Ruchlą, którą ustanowił swoim pełnomocnikiem, dokonali kolonizacji działek na prawie wieczysto-czynszowym po wykarczowanym lesie Żubardź. W okresie tym zawarli 31 umów i poddali nadziałom areał 107 mórg ziemi.

Petersburg niechętny Bałutom

Stanowisko władz carskich w osobie burmistrza Łodzi Franciszka Traegera w odniesieniu do procesu kolonizacyjnego dóbr Bałuty było niejednoznaczne. W raportach do zwierzchnika, czyli naczelnika powiatu łęczyckiego Józefa Smarzyńskiego, Traeger przestrzegał przed niepokojącym stanem pośpiesznie rozwijającej się podmiejskiej osady i postulował objęcie kontrolą planu zabudowy i skierowania jej na prawidłowe tory, gdyż „stać się może dla miasta szkodliwym sąsiedztwem". Zwracał uwagę na fatalny stan nowo powstającej osady pod względem sanitarnym. Z drugiej strony podkreślał swoją i mieszkańców Łodzi życzliwość dla całego projektu kolonizacji, dopatrując się w nowo powstającej osadzie dostarczyciela produktów ogrodniczych dla Łodzi. Co więcej, postulował poddanie ludności Bałut nadzorowi policyjnemu, celem przeciwdziałaniu skupianiu na tym terenie proletariatu jako elementu niepożądanego dla zachowania spokoju społecznego w Łodzi. Z pewnością jednak Traeger nie planował podjęcia żadnych zdecydowanych kroków przeciwko nowo tworzonej osadzie fabrycznej Bałuty Nowe. Dopiero na wyraźne polecenie gubernatora warszawskiego – na którego wywierał presję dziedzic Zawisza, dążący do odsunięcia administratorów od pełnionych funkcji – w czerwcu 1860 roku nakazał wstrzymanie budowy domów w osadzie i przerwanie kolonizacji. Interwencja ta miała jednak charakter krótkotrwały, wstrzymanie bowiem akcji kolonizacyjnej nastąpiło jedynie w latach 1860–1861.

Brak uregulowanych stosunków własnościowych i nieokreślone położenie prawne nowej osady nie przeszkadzały w jej zabudowie. Podczas gdy wieś Bałuty Stare i kolonia Bałuty liczyły w 1859 roku 40 domów i 309 mieszkańców, o tyle osada fabryczna Bałuty Nowe w 1860 roku posiadała 36 domów (z czego 21 domów było już wykończonych) zamieszkałych przez 422 osoby. W ciągu następnych czterech lat liczba domów w osadzie fabrycznej Bałuty Nowe wzrosła przeszło dwukrotnie. W 1864 roku było ich 88, a w 1869 roku – 107.

Oblicze nowo powstającej osady w połowie 1860 roku było zdecydowanie rzemieślniczo-handlowe. Spośród 422 mieszkańców ponad 200 trudniło się rzemiosłem, a 55 handlem. Wśród rzemieślników najwięcej było tkaczy – 31, krawców – ośmiu, kowali i czeladników tkackich – po sześciu. Wzrost ludnościowy osady w latach 70. i 80. XIX wieku przyczynił się do rozwoju tradycyjnych form rzemiosła, takich jak: kowalstwo, szewstwo, krawiectwo czy stolarstwo. Trwałe miejsce zdobyły rzemiosła rzadko spotykane na wsi, jak piekarstwo i rzeźnictwo. Rzemiosło tkackie całkowicie zmieniło swój charakter, przekształcając się w chałupnictwo, którego produkcja opierała się na surowcu dostarczanym przez fabrykantów łódzkich i zgierskich. W 1877 roku na ogólną liczbę 1265 rzemieślników w gminie Radogoszcz tkaczy było 980.

Coraz więcej mieszkańców

W latach 80. i 90. XIX wieku można zaobserwować dynamiczny wzrost ludności osady fabrycznej Bałuty Nowe, wynikający głównie z migracji ludności. O ile w 1869 roku osada ta (po włączeniu doń gminy Radogoszcz) posiadała 1468 mieszkańców, o tyle w 1886 roku liczyła już 9800 osób. Biorąc pod uwagę kryterium wyznania, w 1886 roku największą grupę stanowiła ludność wyznania rzymsko-katolickiego – ponad 4600 mieszkańców, drugie miejsce zajmowali Żydzi, których było ponad 3600. Społeczność ewangelicka liczyła ponad 2400 osób i zajmowała trzecie miejsce. W ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku osiedlało się rocznie w osadzie ok. pięciu tys. osób, w rezultacie w 1900 roku osada fabryczna liczyła już ponad 25 tys. mieszkańców, zamieszkałych w ponad 1800 budynkach. Od początku XX wieku proces ten jeszcze bardziej przyspieszył, a liczba ludności zamieszkujących Bałuty Nowe do 1914 roku się podwoiła.

Ostatni etap zmian własnościowych w dobrach Bałuty przypadł na lata 1884-1889. Trudna sytuacja finansowa spowodowana znacznym zadłużeniem dóbr Bałuty (pod koniec lat 80. XIX wieku księga hipoteczna osady fabrycznej Bałuty Nowe wykazywała istnienie aż 146 wierzycieli) zmusiła dziedzica Zawiszę do wyprzedaży na prawach pełnej własności niewielkich areałów ziemi znajdujących się jeszcze w gestii jego rodziny. Z drugiej strony doprowadziła do wykupu przez osadników posiadanych przez nich nieruchomości wieczysto-czynszowych i przekształcenia ich w pełną własność hipoteczną. W tym drugim przypadku dotyczyło to zwłaszcza terenów w Kolonii Żubardź, stanowiącej zachodnią część osady fabrycznej Bałuty Nowe. W tym okresie

August Zawisza – samodzielnie bądź z synem Arturem – zawarł 28 umów obejmujących areał 54 mórg ziemi.

W ten sposób ziemiańska rodzina Zawiszów po ponad 30 latach od rozpoczęcia procesu osadniczego całkowicie wyzbyła się ziemi przeznaczonej do kolonizacji w dobrach Bałuty. Można więc powiedzieć, że niejako „pod bokiem" szybko rozrastającej się przemysłowej Łodzi dokonało się w ten sposób faktyczne przejście od feudalizmu do kapitalizmu. Wyrazem tej przemiany było przekształcenie prawa pełnej własności feudalnej zamożnego ziemianina w również pełną i nieograniczoną własność prywatną większej liczby nowych właścicieli typu kapitalistycznego.

Tomasz Czarnecki
historyk

Bibliografia:

1. Brodowska H., *Kształtowanie się dzielnicy Bałuty w Łodzi*, RŁ 1971, t. XV (XVIII).
2. Pełka B., *Rozwój społeczno-gospodarczy Bałut do 1914 roku. Referaty Naukowe*, APŁ 1980.
3. Puś W., *Żydzi w Łodzi w latach zaborów 1793-1914*, Łódź 1998.
4. Sygulski M., *Historia Bałut*, t. 1, *Kolonizacja*, Łódź 2003.

WBP im. J.P. w Łodzi

10671-A

Szpital Heleny Wolf

Smutny zabytek

Od lipca 1912 roku w carskim państwie rosyjskim zaczęła obowiązywać ustawa o ubezpieczeniach zdrowotnych. Na jej podstawie w łódzkich fabrykach zaczęto powoływać zakładowe kasy chorych, które były zasilane głównie składkami pracowników. W wolnej Polsce w maju 1920 roku została wydana ustawa, która regulowała tryb tworzenia i sposób funkcjonowania kas chorych. Kasy chorych przestały wtedy funkcjonować przy zakładach, a stały się instytucjami publicznymi. Główną ideą kas chorych było finansowanie leczenia ubezpieczonego i jego rodziny, hospitalizacja, dostarczanie leków, a także wypłacanie świadczeń chorobowych, jak również zasiłków pogrzebowych. W 1933 roku kasy chorych zastąpiono ubezpieczeniami społecznymi i w związku z tym został powołany Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

Na początku lat 30. ubiegłego wieku Łódzka Kasa Chorych sfinansowała wybudowanie dwóch szpitali ze środków pochodzących głównie ze składek mieszkańców. Jeden z nich powstał w 1932 roku przy ulicy Leczniczej według projektu Stefana Kraskowskiego. Obiekt zbudowany na planie litery A miał 7 tys. m^2 powierzchni. Ten budynek do tej pory służy mieszkańcom, w 2003 roku przeszedł kapitalny remont i obecnie znajdują się w nim przychodnie Podstawowej Opieki Zdrowotnej. Inaczej niestety rzecz ma się z niszczejącym obiektem przy ulicy Łagiewnickiej 34/36. Ten harmonijny budynek powstawał w latach 1927-32. Projektantem był inżynier architekt Witold Szereszewski. Kubatura budynku to prawie 40 tys m^3, a powierzchnia użytkowa to ok. 10 tys. m^2. Trzykondygnacyjny, podpiwniczony, z poddaszem, powstał na planie kwadratu z dwoma attykami na froncie, od strony wschodniej, wewnątrz zaś znajdował się dziedziniec. Powstała dość monumentalna całość, utrzymana w dobrym stylu modernistycznym.

W chwili powstania był to obiekt bardzo nowoczesny, wyposażony w instalację elektryczną, wodociągową, kanalizacyjną. Było też rozprowadzone centralne ogrzewanie, zainstalowano także windy. Do budynku prowadził wygodny podjazd dla karetek. W holu głównym umieszczono napis pochodzący z fraszki Jana Kochanowskiego: „Nic nad zdrowie, ani lepszego, ani droższego". W 1937 roku zostało dobudowane skrzydło, gdzie mieścił się oddział ginekologiczno-położniczy na 150 łóżek. W 1938 roku placówka otrzymała miano szpitala klinicznego i stała się oddziałem szpitala im. Ignacego Mościckiego – to obecnie szpital im. Norberta Barlickiego.

W momencie wybuchu wojny w 1939 roku szpital stał się lazaretem dla żołnierzy niemieckich i jeńców wojennych. W 1940 roku, po utworzeniu na Bałutach getta żydowskiego, budynek znalazł się na jego terenie. Szpital stał się najważniejszym obiektem Wydziału Zdrowia, który miał tu swoją siedzibę – pełnił funkcję szpitala nr 1 dla uwięzionej w getcie ludności żydowskiej. Również na terenie szpitala, w jego lewym skrzydle, mieszkał Chaim Mordechaj Rumkowski, przewodniczący Starszeństwa Żydów w getcie Litzmannstadt. Poprzez tzw. Centralny Sekretariat Rumkowski kierował całą wewnętrzną organizacją życia publicznego i gospodarczego getta.

We wrześniu 1942 roku szpital był miejscem najbardziej dramatycznych wydarzeń, jakie rozegrały się w getcie. Niemcy zarządzili tzw. szperę. Najpierw „oczyścili" szpitale, wywlekli z nich wszystkich chorych, zawieźli na stację Radegast, a stamtąd do obozu w Chełmie nad Nerem, gdzie chorych uśmiercano spalinami w przystosowanych do tego zbrodniczego celu ciężarówkach. Potem przyszła kolej na starców i wreszcie na dzieci. Niemcy chcieli się pozbyć wszystkich dzieci do dziesiątego roku życia, bo były one, podobnie jak starcy i chorzy, nieproduktywne. Rumkowski apelował: „Ja muszę przeprowadzić tę krwawą operację. Muszę poświęcić członki, by ratować ciało. Muszę odebrać wam dzieci, bo inaczej inni zginą wraz z nimi". Dzieci siłą odbierano rodzicom i przewożono do punktów zbornych, jednym z nich był właśnie szpital przy Łagiewnickiej. W sumie przed wywózką do obozów zagłady przez szpital przeszło ponad 6 tys. osób. Po tej ostatniej akcji szpital zlikwidowano, a w budynku urządzono zakład krawiecki, w którym szyte były mundury dla Wehrmachtu. Tym zakładem kierowała Dora Fuchs.

Pod koniec sierpnia 1944 roku getto zostało zlikwidowane. Żydów wywieziono do obozów, ostatnim transportem do Auschwitz odjechał Chaim Mordechaj Rumkowski wraz z rodziną. W gmachu szpitala pozostawiono 600 osób, tzw. Koman-

str. 2 | Szpital im. Heleny Wolf, fot. Wikimedia Commons

do, do czyszczenia opustoszałego terenu getta. Potem ci ludzie zostali wywiezieni na roboty przymusowe do Niemiec.

Tuż po zakończeniu działań wojennych budynek szpitala znów stał się placówką medyczną, najpierw służył jako lazaret dla rannych żołnierzy, a po wyleczeniu wszystkich został przekazany wraz z wyposażeniem na rzecz miasta.

Patronką szpitala została dr Helena Wolf. Urodziła się w 1915 roku, była lekarką, w czasie okupacji służyła w szeregach Armii Ludowej w stopniu porucznika. Pełniła funkcję szefowej służby sanitarnej obwodu Radomsko-Kieleckiego AL. Zginęła rozstrzelana przez Niemców w Brodach pod Iłżą. Po śmierci została awansowana do stopnia majora.

Obiekt przy Łagiewnickiej został wyremontowany i znów stał się szpitalem kliniczno-położniczym. W 1971 roku został wpisany do rejestru zabytków. Na początku lat 80. ubiegłego wieku rozpoczęto jego remont, okazało się jednak, że dalsza rozbudowa i modernizacja zabytkowego szpitala jest nieopłacalna i prace wstrzymano. I tak jest do tej pory – czyli już ponad trzydzieści lat. W 1999 roku w ramach akcji prywatyzacji budynek sprzedano i… dalej nic się nie działo. Budynek zmieniał właścicieli, było kilka koncepcji jego wykorzystania. Miała tu powstać luksusowa klinika, muzeum getta, hotel. Nic z tych pomysłów nie wyszło, a opuszczony zabytkowy gmach niszczeje.

W 1989 roku Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie poprosiło władze Łodzi o przekazanie oryginalnych drzwi wejściowych do budynku szpitalnego. Muzeum chciało, żeby drzwi były jednym z eksponatów w części ekspozycyjnej, pokazującej getta w okupowanej Europie. Władze Łodzi wyraziły na to zgodę i rok później drzwi przekazano do muzeum. Dzisiaj można je obejrzeć w Waszyngtonie.

Szpital stał się również inspiracją muzyczną oraz literacką. W 1989 roku w Łodzi powstał zespół punkrockowy 19 Wiosen. Jego wokalista Marcin Pryt w 2005 roku wydał tomik poetycki zatytułowany *Szpital Heleny Wolf*, a pod tym samym tytułem zespół 19 Wiosen nagrał również utwór muzyczny, który znalazł się na albumie *Piękno*.

Tekst tego utworu doskonale oddaje klimat pamięci i silne emocje towarzyszące tym, którym ten budynek nie jest obojętny.

Wszystko się zaczęło listopadowego poranka.
Uniosła się nad poduszką głowa matki.
Pokazała ciało matce pielęgniarka.
Ojciec wbiegł po schodach, trzymając kwiatki.
Brat czekał już w domu. Rodzina szczęśliwa.
Drugi syn na świecie dodaje męskości,
Kiedyś będzie z tego powodu stypa,
Tymczasem pretekst do przyjęcia gości.

Jest miasto. Duże miasto. Wielkie miasto.
Pełno ludzi. Jest tam ciasno. Hałas maszyn.
Raz usypia, a raz budzi.
Jest szpital. Ciemny szpital. Duże okna
W starym stylu. Tam łóżko i łóżeczko,
w nim ja bawię się piłeczką.

Stoję teraz na stopniach, po których ojciec wbiegał.
Poręcz przekrzywiona, w paru miejscach wyrwa.
Linia kabli wyszarpniętych z sufitu przebiega
Tuż nad moją głową. Między nami minimalna przerwa

[...]

Wszedłem tu w nocy przypadkiem bez latarki,
Niespodziewanie, jak zjawiłem się na świecie.
Otwarty w umyśle plik z dźwiękiem koparki
Moje myśli uciska wierci, trzęsie, gniecie.
Zaraz przeznaczony będzie do rozbiórki.
Wczołgają się dźwig, inne urządzenia, walce.
Postawią dla ekip blaszane komórki,
Architekt wytyczy nowy zarys wskazującym palcem.
Czy tak samo moje życie się cudownie zmieni?
Odblaskowe hełmy robotników wejdą w moje ciało?

Kasa Chorych Miasta Łodzi, 1930, fot. NAC

Odkują z poszarpanych myśli chore cienie czerni?
Czy czasu już mi nie zostało za mało?
Gdzie z dziury wyszedłem, szpital zrujnowany,
Czy zrównany z ziemią nie wciągnie w dół z sobą?
Czy architekci też dla mnie posiadają plany?
Chciałbym przecież też odżyć zupełnie na nowo.
[...].

Dawna Kasa Chorych przy ul. Łagiewnickiej jak każdy zabytek ma swoja historię... Dobra i złą. Prawdziwą.

Dariusz Kędzierski
publicysta, filmowiec

Bibliografia:

1. Krzysztof R. Kowalczyński, *Łódź przełomu wieków XIX/XX*, Dom Wydawniczy Księży Młyn, Łódź 2008.
2. Paweł Spodenkiewicz, *Zaginiona dzielnica. Łódź żydowska – ludzie i miejsca*, Łódzka Księgarnia Niezależna, Łódź 1998.
3. Marcin Pryt, *Szpital Heleny Wolf*, Lampa i Iskra Boża, 2005.
4. http://zabytki.ocalicodzapomnienia.eu/zabytek–2–13–1–2429.html
5. http://www.lodzgetto.pl/szpital_numer_1_i_szpital_dla_dzieci.html,18
6. https://www.youtube.com/watch?v=mvwJjwVvlX8

Piotr Wysocki

Wokół „bałuciarskiej" legendy

Pewien mój wieloletni znajomy łodzianin opowiedział mi kiedyś następujące zdarzenie. U końca lat 70. minionego wieku przybył w celach służbowych do Krakowa. Meldując się w jednym z krakowskich hoteli, musiał też podać nazwę dzielnicy, w której mieszka. Gdy padło słowo Bałuty, stojący za nim mężczyzna spojrzał na niego z widocznym niezadowoleniem i żachnął się. Jak się później okazało, zgodnie z PRL-owską praktyką zarówno mój znajomy, jak i ów mężczyzna zostali zameldowani w tym samym pokoju. Dopiero z późniejszej rozmowy wyszło na jaw, że współlokator pochodził z Poznania. Na słowo „Bałuty" reagował to oburzeniem, to strachem, ponieważ niedawno właśnie na łódzkich Bałutach skradziono mu samochód. Poznaniak, słysząc, że przyjdzie mu przez kilka dni mieszkać z „bałuciarzem", obawiał się, czy nie straci innych rzeczy. Zła sława łódzkich Bałut szerzyła się bowiem wówczas niemal w całej PRL, a ironiczna sentencja „Bałuty i Chojny to naród spokojny" prowokowała wśród przybywających do tych dzielnic lęk i niepokój, czy z bram i zaułków nie wyłonią się zaraz niebezpieczni „bałuciarze".

Skąd wzięło się to słowo-wytrych? Jak prezentuje się historia łódzkich „bałuciarzy"? Czy w XXI wieku „bałuciarz" wciąż istnieje? Niniejszy artykuł jest próbą odpowiedzi na wyżej postawione pytania.

Okiem językoznawcy

Zanim przejdę do historycznych losów „bałuciarza", winien jestem kilka słów językoznawczej analizy. Ogólnopolskie słowniki języka polskiego nie odnotowują tego hasła. Może to świadczyć albo o tym, że nie było ono wcale tak popularne, albo że po prostu nie zostało zauważone przez autorów słowników. Być może „bałuciarza" miał przyćmić „bałucianin"[1], który zgodnie z *Nowym Słownikiem Poprawnej Polszczyzny* jest wzorcową formą określającą mieszkańca Bałut. Hasło „bałuciarz" odnalazłem jedynie w specjalistycznym *Słowniku dwudziestowiecznej Łodzi*, w którym oznacza ono „mieszkańca Bałut" lub „chuligana"[2]. Słownik podaje także żeńską formę tego słowa. Nie jest to wzorcowa „bałucianka", ale „bałuciara" oznaczająca: „mieszkankę Bałut" lub „prostaczkę"[3]. Warto tu jeszcze zwrócić uwagę na słowotwórczą budowę słów „bałucianin" i „bałuciarz". Oba słowa posiadają bowiem charakterystyczne zakończenia. „Bałucianin" – zakończenie typowe dla mieszkańców miast (np. łodzianin,

warszawianin, wrocławianin, szczecinianin, lublinianin). „Bałuciarz" – zakończenie typowe dla wykonawców zawodów (np. malarz, piekarz, dorożkarz, młynarz, lekarz, piłkarz). Czyżby „bałuciarz" był zawodem? Myśl tę rozwinę później. Patrząc na „bałuciarza" okiem językoznawcy, trzeba wspomnieć jeszcze o etymologii tego słowa. Nie ulega wątpliwości, że pochodzi ono od nazwy największej dzielnicy Łodzi – Bałut.

Bałuty – rys historyczny

Wieś Bałuty została założona w XIII wieku w pobliżu rzeki Bałutki. Miejscowość ta do 1793 roku znajdowała się na terenie województwa łęczyckiego. Po drugim rozbiorze Polski Bałuty znalazły się w zaborze pruskim. W latach 1807-1815 weszły w skład ziem Księstwa Warszawskiego, a po klęsce Napoleona znalazły się w Królestwie Polskim. W latach 1815-1837 należały do województwa mazowieckiego, obwodu łęczyckiego, powiatu zgierskiego. Od 1837 roku weszły w skład utworzonej wówczas guberni mazowieckiej, którą w 1845 roku przemianowano na gubernię warszawską. Stan taki trwał do 1867 roku, kiedy wprowadzono nowy podział administracyjny. Bałuty znalazły się wówczas w guberni piotrkowskiej, w powiecie łódzkim, w którym pozostały do wybuchu pierwszej wojny światowej[4].

W połowie XIX wieku wieś Bałuty znalazła się w posiadaniu rodziny Zawiszów z Soboty pod Łowiczem. Początkowo należały one do Marii z Karnkowskich Zawiszyny, a od 1854 roku do jej syna Augusta Zawiszy[5]. Rodzinę Zawiszów rozsławił rodzony brat Augusta – Artur Zawisza nazywany Czarnym. Był on studentem Uniwersytetu Warszawskiego i uczestnikiem walk powstania listopadowego. Po klęsce powstania Artur Zawisza udał się na emigrację do Paryża. W 1833 roku wrócił jednak do kraju jako uczestnik tzw. partyzantki pułkownika Zaliwskiego. Po nieudanej próbie wznowienia walki z zaborcą Artur Zawisza Czarny został schwytany przez Rosjan i stracony na rogatkach Warszawy 26 listopada 1833 roku. Miał zaledwie 24 lata. Przed śmiercią wypowiedział pamiętne słowa: „Kiedy bym miał sto lat żyć, wszystkie bym ofiarował mojej ojczyźnie". Jego śmierć stała się tematem wielu utworów literackich, które przyczyniły się do powstania legendy tego młodego romantyka-partyzanta. Pisali o nim m.in. Konstanty Gaszyński (*Pamiątce Artura Zawiszy*), Michał Chodźko (Dziesięć obrazów z wyprawy do Polski 1833 roku), Gustaw Ehrenberg (*Szubienica Zawiszy*) czy Juliusz Słowacki (*Zawisza Czarny*)[6]. Pamięć brata postanowił uwiecznić także August Zawisza, nazywając jeden z podległych sobie majątków Arturówkiem. To dzisiejsze popularne miejsce rekreacji łodzian.

August Zawisza zamierzał uczynić z położonych na północ od Starego Miasta Łodzi Bałut osadę fabryczną. W ten sposób powstały Nowe Bałuty. W procesie kolonizacji doszło jednak do wielu nieprawidłowości. Osoby odpowiedzialne za osiedlanie się nowych przybyszów, którym Zawisza udzielił pełnomocnictwa, sprzedawały ziemię w sposób nieuczciwy. W związku z tym na przedmieściach Łodzi w ciągu kilku dziesięcioleci rozwinęła się wieś z wieloma wąskimi uliczkami i zamieszkującymi

ją tysiącami polskiej i żydowskiej biedoty, która przybywała tu z nadzieją odnalezienia w pobliskim mieście „ziemi obiecanej". Na początku XX wieku Bałuty liczyły ponad 100 tys. mieszkańców. Plany Augusta Zawiszy nie powiodły się. Wieś nie uzyskała praw miejskich. Stała się za to zapleczem mieszkaniowym robotników pracujących w łódzkich fabrykach. Włączono ją w obręb Łodzi dopiero w 1915 roku. Ponieważ warunki życia mieszkańców Bałut były niezwykle trudne, szybko rozwinęła się tam nędza i znacznie wzrosła przestępczość. Popularne stało się wówczas powiedzenie: „Bez kija i noża nie podchodź do bałuciorza"[7].

Nędza i przestępczość na Bałutach

„Nędza i przestępczość są to zjawiska społeczne, których występowanie nigdy nie rozkłada się równomiernie na obszarze miast. Istnieją miejsca zwane »złymi dzielnicami«, w których wszystkie te wstydliwe strony cywilizacji występują w wyjątkowo silnym natężeniu"[8] – pisze Kamil Śmiechowski, badacz historii XIX-wiecznej Łodzi. „Złe dzielnice" można było kiedyś, i niestety da się także dziś, z łatwością odnaleźć w niemal każdym większym mieście. Miała je i stołeczna Warszawa[9], ma je i Łódź.

W XIX wieku szczególnie złą sławą cieszyły się właśnie Bałuty. Bieda i idąca z nią w parze przestępczość panujące na przedmieściach Łodzi odbijały się szerokim echem w ówczesnej prasie. Warszawska „Prawda", przedstawiając proces sądowy przestępczej szajki Bartłomieja Mielczarka, nakreśliła taki obraz mieszkańców Bałut:

> Działaczami czynnymi byli ludzie młodzi, ale już poprzednio karani, natury zepsute lub chęcią życia popchnięte do rabunku. Nieszczęsne „Bałuty" (przedmieście

> Łodzi), jak wielka otchłań zbrodni wyziewami swymi zakażały szeroki krąg ludzi: robotnicy i stróże fabryczni, felczerzy, kucharze, pisarze gminni, najrozmaitsze pierwiastki znalazły się w sieci procesu. Główny jego bohater, liczący zaledwie 27 lat, inteligentny, śmiały, energiczny, panował nad tą spodloną czeredą, która czuła taką świerzbiącą złodziejską rękę, że okradała nawet swego przywódcę[10].

Bałuty ponownie trafiły na łamy warszawskiej prasy za sprawą broszury księdza Włodzimierza Kirchnera pt. *Walka z nędzą na Bałutach*, przedmieściu Łodzi, która ukazała się w 1901 roku[11]. Ksiądz Kirchner, autor kilku książeczek o tematyce religijno-społecznej[12], w wydanej broszurze podzielił nędzę na pięć kategorii: nędzę fałszywą – wyłudzającą wszelkie udzielone datki, nędzę wstrętną – niechlujną, z własnej winy, nędzę biedę – związaną z chorobą, brakiem pracy, nędzę niezaradną i nędzę czystą – schludną, skromną, która często jest ukryta, uczciwa i pobożna.

Najbardziej piętnowane przez Kirchnera były oczywiście dwa pierwsze rodzaje nędzy. W relacji „Głosu Robotniczego" kapłan zaliczał do nich następujące kategorie ludzi:

> Do pierwszej kategorii zalicza Autor żebraków z powołania. Są to łotry skończeni, próżniaki, wałkonie, którzy pogardzają każdą robotą uczciwą; żebrzą aby zarobić na pijaństwo, okłamują łatwowiernych ludzi, udzielających im chętnym sercem jałmużnę, a posiadających często mniej niż oni sami. Udają oni kalectwo, charakteryzując np. swe nogi mięsem lub wątrobą, aby wyglądały na poranione

nieuleczalnie. [...] Do tej kategoryi nędzarzów należą najpotworniejsze pod względem moralnym jednostki. [...] Do drugiej kategoryi nędzarzów zalicza Autor nędzę niechlujną, z własnej winy, jaką sprowadza najczęściej pijaństwo, próżniactwo i niedołęztwo[13].

Nędza spotyka także ludzi uczciwych i pracowitych. Tych ksiądz Kirchner zaliczył do pozostałych kategorii. Przykładami takich osób są m.in. wymienieni w broszurze stróże bałuccy, „którzy otrzymują tygodniowo od 1 rubla do 25 kopiejek i mieszkanie, albo nawet dopłacają za mieszkanie", oraz przykładowy szewc G., który mieszka „na poddaszu w norze podługowatej" i zarabia „rb. 1 kop. 50 tygodniowo, u Żyda". Jego matka „poszła prać Żydom brudną bielizną, od której aż skóra do krwi złazi. Pranie takie, za życie i 40 kopiejek dziennie, trafia się jej raz na dzień". Jego starsza córka, „dziewczyna 14-letnia", także pierze. Poza tym ma on jeszcze do utrzymania troje dzieci, w tym jedno chore, „całe owrzodziałe"[14].

Broszura Kirchnera rzucała określony cień na przedmieścia Łodzi. Już w pierwszych zdaniach swej pracy autor tak pisał o Bałutach, podając jednocześnie przyczyny panującej tam nędzy:

Od dawna już Bałuty stały się gniazdem nędzy materyalnej i moralnej. Fala życia zarobkowego, nurtowana niespokojną walką o byt, stale wyrzucała z miasta na przedmieście wszelkie biedactwo, co się słabiej wpiło w nabrzmiałą pierś przemysłu łódzkiego i mniej zeń dochodu dla siebie ssało. Kogo od miasta odpychała drożyzna lepszych mieszkań, tego przytulały tanie, małe, szczupłe

mieszkanka Bałuckie (od 20 rb. rocznie). Na Bałutach mniej wygodnie się żyje, ale każdy i mało zarabiający wyrobnik prędzej tu wyżyć może. Przeto Bałuty stały się miastem ubogich i nędzarzy – przedmieściem bogatej Łodzi[15].

Warszawskie tygodniki bardzo szybko podchwyciły temat bałuckiej nędzy i obszernie komentowały dziełko Kirchnera. „Gazeta Rzemieślnicza" zachęcała do lektury słowami:

Jeżeli chcesz poznać Szanowny Czytelniku okropną, wstrząsającą nędzę, jeżeli chcesz zejść na chwilę w te niziny, gdzie zacierają się granice pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, gdzie króluje głód, ciemnota, straszne przytępienie moralnych zasad, wyzysk, próżniactwo – to przeczytaj broszurkę p.t. „Walka z nędzą na Bałutach, przedmieściu Łodzi" napisaną z nadzwyczajną prostotą i przerażają prawdą, przez księdza Włodzimierza Kirchnera[16].

Problem nędzy nie był oczywiście zjawiskiem zarezerwowanym jedynie dla Bałut. Jednakże dzięki broszurze księdza Kirchnera to właśnie „bałucka nędza" szczególnie zasłynęła i stanęła na równi z „nędzami" Paryża, Londynu czy Warszawy[17]. Nie wszyscy jednak z takim jak „Gazeta Rzemieślnicza" zapałem pochwalali pracę Kirchnera. W prasie pojawiały się także nieco mniej pochlebne zdania. Na podaną w broszurze Kirchnera receptę na nędzę, którą zdaniem duchownego mają być domy pracy, redaktorzy „Przeglądu Tygodniowego" spoglądali ze sceptycyzmem. Pisali oni:

Być może, iż jest to i jeden ze środków pomocniczych, ale aby był ogólnem panaceum na dolegliwości nędzy – śmiemy wątpić. Nędza to nie sprawa, którąby można jednym pociągnięciem pióra, albo nawet jedną fundacyą społeczeństwa usunąć. Jest ona rezultatem wielu przyczyn i tylko usunięcie takowych, stopniowo może ją ograniczyć[18].

Cwaniak z Bałut

W wierszu *Moj dom* pisał zapomniany dziś poeta Motel Kozłowski[19]:

W twoich facjatkach krzywych i garbatych,
W twoich piwnicach, w godnych psa posłaniach,
U bezrobotnego i chorego taty,
U matki, która łata bieliznę – i z prania
Przy zakopconej lampie
Oślepła, bladością świeci:
Ja, dziecko twoich dzieci,
Półnagi, opuszczony,

Sytego kąska spragniony
Rosłem zawzięcie
Ku dzisiejszym dniom,
Dniom smutku, nędzy i walki od nowa,
Gdy pożądaniem ognistym płoną słowa
Rwące się do wolności.
Na ulicach twych krzyczą donośnie
Z nienawiścią,
Z odwagą przebudzoną –
O domu mój!
Bałuty!

Trudne czasy wymagają nadzwyczajnych środków. Ci, którzy umieją odpowiednio wykorzystać przeciwności losu, stają się niekiedy bohaterami. O tym, że na przełomie XIX i XX wieku na łódzkich Bałutach czasy były trudne, po wspomnianych relacjach księdza Włodzimierza Kirchnera i opisach w prasie nie trzeba przekonywać. W tych ekstremalnych warunkach rozwinął się jednak określony rodzaj postawy, podejścia do życia. Podobnie rzecz się miała z resztą w innych miastach Królestwa czy Galicji. Na łonie Warszawy karierą zaczął robić warszawski cwaniak, w Krakowie popularnością cieszył się andrus, w stolicy Galicji Lwowie zasłynęły baciary[20].

Nie inaczej rzecz miała się na Bałutach. Tu postawę „dostosowania się" do nędznych warunków życia określać się zaczęło mianem „bałuciarza". Słowo to

oznaczało wówczas rzezimieszka lub bandytę. Do złej sławy Bałut przyczyniły się jeszcze przed pierwszą wojną światową władze carskie, które podjęły decyzję o osiedlaniu tam byłych kryminalistów[21]. Punktem centralnym Bałut, a zarazem miejscem, w którym „bałuciarz" zdobywał pierwsze szlify, był Rynek Bałucki. Był on najważniejszym placem dzielnicy. To tu przybywali chłopi, aby sprzedać płody rolne i zaopatrzyć się w niezbędne ubrania czy narzędzia[22]. Często bywali oni przy tym ofiarami przyuczającej się do złodziejskiego fachu bałuckiej młodzieży.

Arnold Mostowicz w *Balladzie o Ślepym Maksie* przywołuje termin „bałuciarz" w kontekście swojego bohatera – Maksa Borensztajna zwanego Ślepym Maksem:

> Był więc dzieckiem z Bałut. Czy typowym? Zaczął już wówczas wchodzić w powszechne używanie termin „bałuciarz" – i to w najbardziej pejoratywnym znaczeniu. Ale Maks z całą pewnością nie był bałuciarzem. Zresztą… Nawet na Bałutach nikt nie rodził się bałuciarzem, a już z pewnością nie żydowskie dzieci, z których każde umiało czytać i pisać, a nawet zacytować w razie potrzeby jakiś fragment Tanachu czy Talmudu[23].

Skoro jednak Ślepy Maks nie był „bałuciarzem", kim zatem był?

Łódzki Robin Hood

Ślepy Maks, czyli Maks Borensztajn, stał się bohaterem wielu utworów literackich, spektaklu, kilku filmów. Jego skuteczność sławiono w ulicznych piosenkach:

Na Bałutach w swoim domu
Kamienicznik zwykły drań
Wdowę krzywdzi, dzieci krzywdzi,
Czy nie będzie siły nań?

Czekaj ty, kamieniczniku,
Krótka będzie władza twa,
Idzie właśnie Ślepy Maks
I ci dobrze w dupę da!

Wdowa już w swoim mieszkaniu,
Wszyscy wkoło cieszą się,
Ślepy Maks swoje zrobił,
Jak to zrobił? Każdy wie.

Kamienicznik czołga się,
Ślepy Maks mu mordę skwasił,

Oko podbił, zęby wybił.
Morał z pieśni: nie czyń zła![24]

Maks Borensztajn urodził się najprawdopodobniej w Łęczycy w 1890 roku w biednej rodzinie żydowskiej W młodości stracił ojca i szybko sam musiał zapewnić matce i siostrze przetrwanie. Podczas bójki ze stójkowym stracił jedno oko i odtąd przylgnęła do niego nazwa Ślepy Maks. W latach 30. prowadził w Łodzi Biuro Próśb i Podań „Ochrona", które słynęło z dużej skuteczności. Rzadko się zdarzało, aby ktoś, kto zwrócił się do Ślepego Maksa o pomoc, odszedł z kwitkiem. Szczególną grupą klientów byli łódzcy biedacy, których Borensztajn bronił przed bogatymi przemysłowcami. Metody jego działanie nie należały do zgodnych z prawem. Szybko okrzyknięto go więc królem łódzkiego podziemia. Maks Borensztajn przeżył Holokaust i po wojnie nadal mieszkał w Łodzi. Zmarł 18 maja 1960 roku i został pochowany na cmentarzu żydowskim na Bałutach[25].

Ślepy Maks wielokrotnie stawał przed sądem. Najczęstszym powodem były oskarżenia o pobicia, wymuszenia, szantaże. Podczas jednego z procesów sam o sobie mówił on w następujący sposób:

> Panowie redaktorzy, proszę mi nie robić więcej reklamy i nie nazywać mnie „Ślepym Maksem". Ja już byłem u pana mecenasa [...], żeby pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy mnie tak nazywają. Ja jestem Maks Borensztajn, człowiek cichy, spokojny i nie życzę sobie, żeby mnie tak nazywano[26].

Łódzkie „Echo", które racjonowało ten proces, słowa Maksa skomentowało następującym tytułem artykułu zamieszczonego na pierwszej stronie: *Groźny terrorysta Maks Borensztajn przybrał minę niewiniątka*[27].

Postać Ślepego Maksa trudno ocenić jednoznacznie. Z pewnością był przestępcą, ale wykazywał się też wielką klasą, broniąc słabych i prześladowanych. W środowisku łódzkim zasłużył sobie na miano „łódzkiego Robin Hooda". Jacek Regina-Zacharski napisał o nim: „Gangster, dobroczyńca, morderca, działacz społeczny – właściwie wszystkie te określenia pasują do tej nietuzinkowej postaci"[28].

Bałuciarz przełomu XX i XXI wieku

Wróćmy do „bałuciarza". Czy dziś, w XXI wieku, można jeszcze mówić o takim zjawisku? W XIX i na początku XX wieku specyfika Bałut wykształciła człowieka, który umiał poradzić sobie w skrajnej nędzy. Wykreowany przez biedne Bałuty „bałuciarz" funkcjonował z pewnością do końca PRL, o czym na własnej skórze mógł przekonać się mój znajomy, którego opowieść przytaczam na wstępie. Czy demokratyczna Polska sprzyja funkcjonowaniu „bałuciarza"? Wydawać się może, że zjawisko to nie jest już tak popularne, a z całą pewnością nie cieszy się ono taką sławą, jak jeszcze dwadzieścia

kilka lat temu. Czy zatem „bałuciarze" odeszli do lamusa historii razem z takimi reliktami kultury, jak np. saturatory czy czarno-białe telewizory?

Choć wydawać by się mogło, że dziś prawdziwych „bałuciarzy" już nie ma, okazuje się, że nie do końca jest to prawda. Nie tylko są, ale dodatkowo tworzą zorganizowaną grupę wyspecjalizowaną w konkretnej dziedzinie życia. Są to bowiem... kibice jednego z łódzkich klubów piłkarskich, którzy sami siebie nazywają „Bałuciarzami". Piszą oni o sobie następująco:

> „Bałuciarze Zjednoczeni" to grupa osób zajmująca się organizowaniem ruchu kibicowskiego na terenie największej łódzkiej dzielnicy – Bałut. W jej skład wchodzą osoby zamieszkujące wszystkie bałuckie osiedla – Bałuty Stare, Bałuty Nowe, Julianów, Stare Miasto, Radogoszcz, Teofilów, Żabieniec, Julianów, Żubardź, Doły, Zagaję. Oczywiście w żaden sposób nie ingerujemy w to, jak osiedla organizują się same. Naszą ideą jest po prostu promowanie Bałut. Zjednoczonych Bałut. Nasza działalność rozpoczęła się w okolicach roku 2007. Od tego czasu sporo zdążyliśmy zrobić. Poczynając od wspólnych, bałuckich gadżetów, po akcje rozwieszania transparentów z okazji Dnia Ojca w roku 2008, czy też dbanie o estetykę naszych osiedli, wspólne uczestnictwo w meczach u nas, wyjazdach, czy innych spotkaniach. Do współpracy zachęcamy wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób chcą działać. Nie ukrywamy, że sporo naszych inicjatyw wymaga wsparcia finansowego – uzyskujemy je poprzez produkcję różnorodnych gadżetów, ale także poprzez comiesięczne składki. Osoby płacące regularnie składki i wspomagające nas w ten sposób otrzymują w zamian

preferencyjne ceny niektórych gadżetów, czy też mają pierwszeństwo podczas organizowanych przez nas wyjazdów. Dodatkowo mają satysfakcję z tego, że po prostu nas wspomagają, a efekty naszej pracy często są widoczne. Mamy już na swoim koncie 2 rodzaje smyczek, 5 edycji vlepek, koszulki, czapki, szaliki, i nasz ostatni gadżet – bluzy. Nie zamierzamy poprzestać, dlatego zachęcamy Was do dalszego wspierania „Czerwonych Bałut". Nie zawiedziemy Was![29]

Trudno powiedzieć, na ile dzisiejsi „bałuciarze" nawiązują do tradycji przodków. Nie wydaje się, aby łodzianom zależało na rozwoju chuligaństwa i złodziejstwa, a takie są przecież korzenie zjawiska „bałuciarz". Być może dzięki „Bałuciarzom Zjednoczonym" mit tej dzielnicy nabierze nowego, pozytywnego znaczenia? Z pewnością przydałaby się Łodzi i poszczególnym jej dzielnicom dobra reklama, która przyciągnie do miasta zarówno turystów, jak i nowych mieszkańców. Promowanie Bałut – do czego zobowiązują się „Bałuciarze Zjednoczeni" – jest szczytnym celem i bezsprzecznie zasługuje na pochwałę. Czy jednak tylko produkcja gadżetów (smyczek, wlepek, itp.) przyczyni się do rozsławienia tej dzielnicy Łodzi, choćby tylko w kraju? Pozostaje mieć nadzieję, że „nowi bałuciarze" nie pójdą śladami przodków, a ze wzorca Ślepego Maksa wezmą jedynie pozytywne cechy tej legendarnej postaci.

Piotr Wysocki
– historyk

fot. Andrzej Janecki

Bibliografia:

1. Bieńkowska D., Cybulski M., Umińska-Tytoń E., Słownik dwudziestowiecznej Łodzi, Łódź 2007.
2. Kirchner W., Marya jako matka niebieska naszego życia pobożnego, Warszawa 1902.
3. Kirchner W., Prywatne miłosierdzie, Warszawa 1901.
4. Kirchner W., Walka z nędzą na Bałutach przedmieściu Łodzi, Łódź 1901.
5. Milewski S., W świecie występku i zbrodni. Z dziejów przestępczości i jej zwalczania, Warszawa 1996.
6. Mostowicz A., Ballada o Ślepym Maksie, Łódź 1998.
7. Nowy Słownik Poprawnej Polszczyzny, pod red. A. Markowskiego, Warszawa 2002.
8. Podolska J., Spacerownik. Łódź żydowska, Łódź 2009.
9. Podolska J., Wiewiórski J., Spacerownik. Łódź filmowa, Łódź 2010.
10. Reginia-Zacharski J., Przedwojenna Łódź. Najpiękniejsze fotografie, Warszawa 2012.
11. Sygulski M., Historia Bałut. Tom II. Osada fabryczna Bałuty Nowe. Ludność – zabudowa – posesje 1857-1915 (1939), Łódź 2006.
12. Śmiechowski K., Z perspektywy stolicy. Łódź okiem warszawskich tygodników społeczno-kulturalnych (1881-1905), Łódź 2012.
13. Uniwersalny Słownik Języka Polskiego, pod red. St. Dubisza, Warszawa 2008.
14. Blewąska J., Podolska J., Legenda Ślepego Maksa – herszta i łódzkiego Janosika. Artykuł na stronie: http://lodz.gazeta.pl/lodz/1,35136,7837591,Legenda_Slepego_Maksa___herszta_i_lodzkiego_Janosika.html#ixzz2mGqVW24k (dostęp: 3.12.2013 roku).
15. Echa warszawskie, „Przegląd Tygodniowy" 1901, nr 29, s. 340.
16. http://baluciarze.blogspot.com/ (dostęp: 3.12.2013 roku).
17. Pamiętnik [Osadzona szajka – PW], „Prawda" 1894, nr 16, s. 189.
18. Przybrał minę niewiniątka, „Echo" 1935, nr 123, s. 1.
19. Walka z nędzą, „Gazeta Rzemieślnicza" 1901, nr 37, s. 311-312.
20. Wysocki P., Legenda romantyczna Artura Zawiszy Czarnego, „Roczniki Łowickie" 2008, T. V, s. 61-88.
21. Ziemia zwana obiecaną, „Karta" 2013, nr 75, s. 2-31.

Przypisy:

1. Nowy Słownik Poprawnej Polszczyzny, pod red. A. Markowskiego, Warszawa 2002, s. 1396.
2. D. Bieńkowska, M. Cybulski, E. Umińska-Tytoń, Słownik dwudziestowiecznej Łodzi, Łódź 2007, s. 175.
3. Ibidem.
4. M. Sygulski, Historia Bałut. Tom II. Osada fabryczna Bałuty Nowe. Ludność – zabudowa – posesje 1857–1915 (1939), Łódź 2006, s. 18–22.

5. Ibidem, s. 24–25.
6. P. Wysocki, Legenda romantyczna Artura Zawiszy Czarnego, „Roczniki Łowickie", t. V, 2008, s. 61–88.
7. J. Podolska, J. Wiewiórski, Spacerownik. Łódź filmowa, Łódź 2010, s. 49.
8. K. Śmiechowski, Z perspektywy stolicy. Łódź okiem warszawskich tygodników społeczno-kulturalnych (1881–1905), Łódź 2012, s. 153.
9. S. Milewski, W świecie występku i zbrodni. Z dziejów przestępczości i jej zwalczania, Warszawa 1996, s. 59.
10. Pamiętnik [Osadzona szajka – PW], „Prawda" 1894, nr 16, s. 189.
11. K. Śmiechowski, op. cit., s. 153.
12. Vide: W. Kirchner, Marya jako matka niebieska naszego życia pobożnego, Warszawa 1902.; W. Kirchner, Prywatne miłosierdzie, Warszawa 1901.
13. Walka z nędzą, „Gazeta Rzemieślnicza" 1901, nr 37, s. 311–312.
14. Ibidem, s. 312.
15. W. Kirchner, Walka z nędzą na Bałutach przedmieściu Łodzi, Łódź 1901, s. 1.
16. Walka..., s. 311–312.
17. „Paryż ma swoje „przedmieście św. Antoniego" Londyn – West–End, Warszawa – Kamienne schodki i Nową Pragę a Łódź – Bałuty. Bałuty są siedliskiem nędzy i... nieodłącznego od nędzy występku". – Echa warszawskie, „Przegląd Tygodniowy" 1901, nr 29, s. 340.
18. Ibidem.
19. Ziemia zwana obiecaną, „Karta" 2013, nr 75, s. 20.
20. Oba terminy („andrus" i „baciar") we współczesnej polszczyźnie oznaczają: spryciarza, ulicznika, łobuza. Vide: Uniwersalny Słownik Języka Polskiego, pod red. St. Dubisza, Warszawa 2008, T. 1 (A–J), s. 78, 169.
21. J. Reginia-Zacharski, Przedwojenna Łódź. Najpiękniejsze fotografie, Warszawa 2012, s. 54.
22. J. Podolska, Spacerownik. Łódź żydowska, Łódź 2009, s. 48.
23. A. Mostowicz, Ballada o Ślepym Maksie, Łódź 1998, s. 26.
24. J. Reginia-Zacharski, op. cit., s. 15–16.
25. J. Blewąska, J. Podolska, Legenda Ślepego Maksa – herszta łódzkiego Janosika. Artykuł na stronie: http://lodz.gazeta.pl/lodz/1,35136,7837591,Legenda_Slepego_Maksa___herszta_i_lodzkiego_Janosika.html#ixzz2mGqVW24k (dostęp: 3.12.2013 roku).
26. Przybrał minę niewiniątka, „Echo" 1935, nr 123, s. 1.
27. Ibidem.
28. J. Reginia-Zacharski, op. cit., s. 15.
29. http://baluciarze.blogspot.com/ (dostęp: 3.12.2013 roku)

25 lat samorządu

Twarze Rady Miejskiej
Wspomnienia wieloletniej rzeczniczki
Anna Kuźmicka
str. 43

Prezydenci Łodzi w 25-leciu
Od Waldemara Bohdanowicza do Hanny Zdanowskiej
Paweł Patora
str. 57

Mozolnie uczyliśmy się samorządności
Ćwierć wieku temu
Grzegorz Matuszak
str. 65

Anna Kuźmicka

Twarze Rady Miejskiej

Wspomnienia wieloletniej rzeczniczki

Człowieku! gdybyś wiedział,
jaka twoja władza!
Adam Mickiewicz

Przez 24 lata los związał mnie z łódzką Radą Miejską. Niemal ćwierć wieku byłam rzecznikiem prasowym, a więc siłą rzeczy pilnym obserwatorem działania tego ważnego organu naszej lokalnej samorządności. Lata spędzone z Radą siedmiu kadencji – na sesjach, konferencjach, w kuluarach i w kontaktach osobistych z radnymi – składają się na moje pogłębione doświadczenie, które pozwala spojrzeć wstecz na jej zmieniającą się historię.

Słowa wieszcza zapisane w *Dziadach*, których użyłam jako motto, kolejny raz w naszej historii – w 1990 roku – stały się prorocze i jakby dodały Polakom sił. Uwierzyli, że mogą wiele ci wszyscy, którzy po zmianach ustrojowych zdecydowali się na tworzenie odnowionego demokratycznego samorządu. I wcale nie dlatego, żeby dzierżyć władzę, jak współcześnie sprawujący rozmaite urzędy sądzą. Wtedy, 25 lat temu, kandydowali do Rady Miejskiej ci, którzy respektując zapisy świeżo uchwalonej przez Sejm ustawy o samorządzie gminnym, zrozumieli, że mogą być autentyczną reprezentacją łodzian. Dziś, po upływie ćwierćwiecza, o tę słyszalność codziennego głosu obywateli w obawie przed centralizacją władzy i pokusą zawłaszczenia demokracji lokalnej przez jakąś partię zabiegają nadal ruchy miejskie tworzone przez coraz to nowe środowiska.

W kolejnych następujących po sobie kadencjach w łódzkiej Radzie Miejskiej dominowały różne opcje polityczne. Zależnie od osobistego temperamentu i charyzmy kolejnych osób kierujących Łodzią różne były też akcenty i podkreślana różna wyrazistość spraw miasta i kierunków jego rozwoju. Na pewno jednak początki łódzkiej samorządności zdają się tak oczywiste, jak jednoznacznie czytelne były założenia przemian ustrojowych sfinalizowanych w 1989 roku. Ówczesne przepisy ustawy o samorządzie terytorialnym określały, iż Rada Miejska miasta wielkości Łodzi ma liczyć 80 radnych. Odbyły się pierwsze wybory, a dzień 27 maja 1990 roku okazał się przełomowy dla rozwoju życia publicznego polskich miast. Po 15 latach, podkreślając znaczenie tego dnia, Sejm Rzeczypospolitej Polskiej ustanowił 27 maja Dniem Samo-

rządu Terytorialnego.

I kadencja

Rada Miejska, jak wiemy, to najwyższe przedstawicielstwo mieszkańców. To do tego organu łodzianie – podobnie jak mieszkańcy innych miast – wybierają ze swego grona tych, którzy mają wyrażać ich opinie na temat zarówno codziennego życia mieszkańców, jak też przyszłości Łodzi. Radni mają decydować o tym, co dotyczy miasta i co powinno się w nim dziać zgodnie z wolą tych, którzy ich wybrali jako swoich reprezentantów.

Każda zbiorowa społeczność wybiera ze swego grona osoby, które organizują jej pracę. Zgodnie z ustawą to przewodniczący Rady Miejskiej i trzech wiceprzewodniczących kieruje pracami łódzkich radnych. Czyli wybrani wybierają. W I kadencji Rady Miejskiej 80 radnych stanęło przed decyzją wyboru przewodniczącego, który swoją osobowością nie będzie się kojarzył z nudnym rytuałem „zasiadania" w Radzie Narodowej w czasach odchodzącej w przeszłość PRL. I wybrali ze swego grona człowieka, który w sposób zdecydowany łączony był nie tylko z łódzką, ale też z polską drogą do demokratycznego państwa, do samorządności obywateli, do wolności.

Pierwszym przewodniczącym łódzkiego demokratycznego sa-

morządu został Andrzej Ostoja-Owsiany, członek Konfederacji Polski Niepodległej. Z wykształcenia prawnik oraz czynny literat, ale przede wszystkim entuzjastyczny piłsudczyk i zagorzały patriota. I choć to ostatnie słowo właściwie jest coraz rzadziej używane, to wypada wierzyć, że jego wartość semantyczna nie jest i dziś współczesnym obca. Wszystko, co dotyczyło historii Polski, budowania tożsamości narodowej poprzez pamięć o trudach, jakie ponosili nasi przodkowie, byśmy mogli żyć w wolnym, demokratycznym kraju, było dla pierwszego przewodniczącego Rady Miejskiej w Łodzi wartością nadrzędną. Andrzej Ostoja-Owsiany nie widział drogi rozwoju miasta bez upamiętniania jego historii. A już zwłaszcza miasta bez pamięci o Marszałku Piłsudskim. Stąd szybko pojawiły się dawno oczekiwane w mieście: pomnik, ulica, kilka tablic pamięci przywołujących imię Marszałka. Dla Ostoja-Owsianego Piłsudski to symbol i wzór niedoścignionego – przywódcy, polityka, patrioty. Toteż w gabinecie przewodniczącego Rady trudno było o tym nie pamiętać. W centralnym miejscu zawisł tam olbrzymich rozmiarów portret Marszałka autorstwa łódzkiego malarza Wiesława Śniadeckiego. Portret ten pojawił się w magistracie niebawem po pierwszej sesji Rady Miejskiej, która odbyła się 6 czerwca 1990 roku. To tego dnia w obecności 70 radnych głosami 45 z nich wybrano Andrzeja Ostoja-Owsianego przewodniczącym. Iskrę nadziei dla młodej demokracji wzruszony wyborem przewodniczący upatrywał oczywiście w słowach Józefa Piłsudskiego, jak „z bezsiły uczynić siłę". I tak jak Marszałek wygrał bitwę warszawską, tak on uważał, że można będzie szybko wygrać sprawiedliwą dla wszystkich Polskę. Był też zdania, że „nie ma gorszej rzeczy jak nieprzestrzeganie prawa, które się samemu stanowi, i gorszej rzeczy jak obietnice bez pokrycia".

Już w pierwszym wystąpieniu podkreślał, że radni muszą Łódź wyciągnąć z katastrofalnej sytuacji. Podczas jednej z pierwszych sesji Rada wyraziła swą determinację dla znalezienia sposobów łagodzenia skutków bezrobocia, występując do ministra przemysłu o odpowiednie środki.

I choć to Łódzkie Porozumienie Obywatelskie było czołowym stowarzyszeniem zwycięskiej koalicji przejmującej władzę w Łodzi, to jednak znajdująca się składzie tej koalicji KPN ze stanowczym przewodniczącym Rady dyktowała w pracy samorządu wyraźną aktywność patriotyczną. Związane z tym posunięcia następowały szybko. Już podczas ósmej sesji dokonano pierwszych zmian nazw ulic. Tak m.in. zniknęły z mapy Łodzi nazwy ulic Gomułki czy ZMP.

Siła KPN z Andrzejem Ostoja-Owsianym przejawiała się w różnych oświadczeniach i stanowiskach wysyłanych do Sejmu, Senatu lub premiera – np. przeciw zmniejszonym dotacjom budżetowym dla województwa łódzkiego. Mocne wsparcie prezydenta Grzegorza Palki, partnera z ŁPO – którego również wybierała wówczas Rada Miejska – było znaczące w tworzeniu wyrazistości nowego samorządu Łodzi. Na tle ogarniającego miasto strukturalnego dramatu związanego z upadającym przemysłem włókienniczym pojawiły się nowe optymistyczne fakty. Zaczęto tworzyć np. Grupową Oczyszczalnię Ścieków, zainicjowano powstanie Banku Komunalnego

i podjęto pierwszą próbę przebudowy ul. Piotrkowskiej.

Koalicja ŁPO jako nowa siła społeczno-polityczna działała coraz aktywniej. Ale też już po niespełna roku miała do czynienia z wyraźną opozycją (WKO i SdRP). Była ona zdania, że musi się zmienić w Łodzi styl rządzenia. Przewodniczący Rady był jednak twardym partnerem nie tylko dla opozycji, ale też wobec Prezydenta Miasta. Nawet ta formalna strona miała znaczenie. To Grzegorz Palka przychodził do gabinetu Ostoja-Owsianego, by informować o swoich zamiarach, pomysłach, projektach uchwał i najpierw przekonać do nich przewodniczącego Rady. Rzadkością były wizyty odwrotne.

Prywatnie postać Andrzeja Ostoja-Owsianego kojarzy się z nieodłącznym papierosem. Choć podczas spotkań – jeśli goście nie palili – unikał nałogu. Miało to także swoje plusy, ponieważ nie lubił zbytecznego przeciągania rozmów. Potrzeba zapalenia papierosa sprawiała, że rozmowy były krótsze i rzeczowe. Krążyły też anegdoty o jego fascynacji Piłsudskim. Np. że z guzika od munduru Marszałka zrobiłby pomnik, a gdyby do tego dołożyć żyletkę, którą się Marszałek golił, to byłoby już muzeum. Trudno też nie przypomnieć o atencji do kobiet, wobec których Ostoja-Owsiany był niezwykle szarmancki. Zapewne miało to związek z jego wielką miłością do matki. Gdy zmarł w wieku 77 lat, został pochowany w jej grobie na cmentarzu rzymskokatolickim przy ul. Ogrodowej.

II kadencja

W II kadencji Rady Miejskiej spełniło się to, co nie udało się wcześniej Markowi Czekalskiemu, przedstawicielowi Wyborczego Komitetu Obywatelskiego. W 1994 roku Rada Miejska wybrała go na prezydenta Łodzi, prezydent I kadencji Grzegorz Palka został zaś przewodniczącym Rady Miejskiej. Portret Marszałka Piłsudskiego wraz z Andrzejem Ostoja-Owsianym opuścił gabinet. Nowy gospodarz gabinetu przewodniczącego Rady Miejskiej zrezygnował także ze wszystkich pofabrykanckich bogato rzeźbionych mebli. Postanowił urzędować w nowoczesnej stylistyce: proste meble, wykładzina dywanowa zamiast dywanu, jasne wnętrze. Był jednym z liderów ZChN, dynamiczny, pełen pomysłów, umocniony doświadczeniem z minionej kadencji, gdy zaczynał tworzyć zręby nowoczesnej demokracji – miał swoją wizję rozwoju Łodzi. Jako przewodniczący sprawiał wrażenie osoby nie w swojej roli i nie pomogła tu zmiana wystroju gabinetu po poprzedniku. Grzegorz Palka miał temperament menedżera. Marek Czekalski miał swoją strategię rozwoju miasta, jego priorytety były odmienne. Było to nieuchronne zderzenie dwóch nurtów ideowych, wspartych silną partyjnością każdego. Czekalski wraz z rosnącą wtedy w siłę Unią Wolności, choć nie obstawał jak jego poprzednik Palka przy haśle, że „zwycięzca bierze wszystko", nie dawał jednak złudzeń, że też tak myśli. Widać więc było jak funkcja przewodniczącego Rady Miejskiej – najbardziej prestiżowa w samorządzie – wyraźnie uwierała Palkę aż do końca jej sprawowania. Inicjatywy, które podejmował – w sposób oczywisty, bo światopoglądowy – nie zyskiwały poparcia

w Radzie Miejskiej, w której ŁPO szybko stało się mniejszością, a tym samym opozycją.

Jednak myślenie o demokratycznym samorządzie prezentowane przez Grzegorza Palkę wykraczało znacznie poza Łódź. Utworzona z jego aktywnym udziałem Unia Metropolii Polskich stała się ogólnopolskim forum, gdzie pomysły Łodzi co do sposobu funkcjonowania samorządu – kojarzone z dynamiczną osobowością Palki – zostały w kraju zauważane i docenione. I tak jak w pewnym momencie Ostoja-Owsiany był o krok od kandydatury na fotel premiera, tak samo środowisko Solidarności, z którego wprost wywodził się Palka, widziało w nim przyszłego premiera – właśnie dzięki prekursorskim inicjatywom samorządowym. Warto też przypomnieć, że wizje, pomysły, inicjatywy – na każdym etapie jego publicznej obecności – zyskiwały realizacyjne wsparcie ówczesnego sekretarza miasta Włodzimierza Tomaszewskiego, który nad zasadami przywrócenia demokratycznego samorządu pracował już w okresie pierwszej Solidarności. Miał też Grzegorz Palka ważne wsparcie Jerzego Kropiwnickiego, lidera partyjnego ZChN, bliskiego kolegi. Można było mieć pewność, że jeśli tylko szef tej partii jest w Łodzi, to na pewno w jakiejś chwili trafi do gabinetu przewodniczącego.

Swej kadencji Grzegorz Palka jednak nie dokończył. 10 lipca 1996 roku, a zatem w połowie II kadencji, złożył rezygnację z funkcji przewodniczącego Rady Miejskiej. Dwa dni później zginął tragicznie w wypadku samochodowym. W jego pogrzebie uczestniczyły setki łodzian, przyjechali także szefowie i przedstawiciele partii politycznych. Bo Grzegorz Palka nie był tylko lokalnym politykiem.

Po tym zdarzeniu Rada Miejska, mimo iż dominowali w niej radni ŁPO, nie była już w stanie wybrać kolejnego prawicowego przewodniczącego. Funkcja przewodniczącego na następne dwa lata II kadencji przypadła zatem radnemu Grzego-

rzowi Matuszakowi z SdRP. Dzięki temu prezydent Czekalski mógł liczyć na wsparcie dla swoich decyzji nie tylko ze strony radnych UW.

III kadencja

Historia łódzkiego samorządu ma swoje wyraźne wahadło. Dwie kadencje z dominacją radnych i prezydentów z rodowodem antykomunistycznym i postsolidarnościowym sprawiły, że w 1998 roku do Rady Miejskiej III kadencji łodzianie wybierali już w większości radnych z lewicy. W oczywisty więc sposób przewodniczącym Rady Miejskiej został wybrany ponownie Grzegorz Matuszak. Profesor socjologii o wyważonym, kulturalnym sposobie bycia ma odtąd stanowić pewną gwarancję dla wygaszania w sposób koncyliacyjny sporów na sali obrad, stawać się stymulatorem spokojniejszych mediacji. Matuszak skupia się jednak głównie na sprawach kultury, które są mu najbliższe, kreacja miejskiej rzeczywistości w obszarze zarządzania wydaje się go mniej fascynować. Tym bardziej nie musi tego czynić, że prezydentem radni wybierają Tadeusza Matusiaka, stającego na czele w pełni lewicowego ówczesnego Zarządu Miasta. Radni trzeciej kadencji stają się coraz bardziej przedsiębiorczy, ukierunkowani wyraźniej na materialne interesy miasta niż problematykę ideologiczną. Z ich nastawienia w pewnym momencie zaczęło się wyczuwać, że tkanka ideologiczna i pochylanie się nad kulturą mają już mniejszy wpływ na codzienność miasta i życie jego mieszkańców. Przewodniczący Matuszak częściej więc niż jego poprzednicy odwiedza gabinet prezydenta, jakby rozumiejąc, że to

tamten ma więcej spraw na głowie. Tym bardziej że wybrany przez radnych prezydentem Tadeusz Matusiak mimo wykształcenia i temperamentu ekonomisty nie stroni od wydarzeń kulturalnych i jest dobrze rozpoznawalny jako ich aktywny uczestnik. Obaj ci przedstawiciele najwyższych władz samorządowych mają świadomość, że działalność kulturalna miasta jest najmocniejszą i najtańszą formą promocji Łodzi. Ale Grzegorz Matuszak nie kończy wraz z upływem kadencji swej obecności w Radzie Miejskiej. Tę obecność przerywa udany start do parlamentu i objęcie mandatu senatora RP.

Umacniająca się lewica zdaje się mieć nie tylko coraz więcej oczekiwań i pomysłów na funkcjonowanie miasta i niebawem dla urzędującego lewicowego prezydenta Tadeusza Matusiaka szybko znajdują się następcy z jego ugrupowania. Odwołany przez radnych z funkcji prezydenta, Tadeusz Matusiak po odejściu Grzegorza Matuszaka do Senatu zostaje przewodniczącym Rady Miejskiej. W przeciwieństwie do Grzegorza Palki, który znalazł się w analogicznej sytuacji – objęcia funkcji przewodniczącego po okresie prezydentury – Tadeusz Matusiak zdaje się pamiętać o kompetencjach przewodniczącego i nie wykracza poza nie. Być może dzieje się tak także za sprawą koncepcji ugrupowania, które po odwołaniu po półtora roku urzędowania swego pierwszego kandydata, decyduje się aż dwukrotnie na wybór kolejnych prezydentów. Sam Tadeusz Matusiak jako członek rządzącej formacji zmiany te przyjął spokojnie. Odnosiło się wrażenie, że tym sumienniej sprawuje mandat radnego i wypełnia obowiązki przewodniczącego. Mając dobre relacje z rozmaitymi środowiskami, wliczając w to także biznesowo-gospodarcze, można było odnieść wrażenie, że ten przewodniczący jest prawie wszędzie, uczestnicząc w ważnych dla miasta wydarzeniach. Reprezentując

str. 7 Tadeusz Matusiak (drugi od lewej w pierwszym rzędzie) i „lewa" strona sali obrad

radnych na wszystkich znaczących spotkaniach, wyjątkowo konsekwentnie doceniał świat kultury, duże znaczenie przywiązując także do tzw. etykiety.

IV kadencja

Wybory do IV kadencji samorządu przyniosły znaczące zmiany mające zresztą swoje konsekwencje do chwili obecnej. Po raz pierwszy w myśl nowej ustawy łodzianie wybierali prezydenta w wyborach bezpośrednich, skład Rady Miejskiej został zaś zmniejszony niemal o połowę. Znalazło się w niej miejsce tylko dla 43 radnych.

I w tej kadencji dominowali radni SLD, ponieważ było ich 21. A niepisane prawo Rady stanowi, że przewodniczącym wybierany jest przedstawiciel największego klubu radnych. Został nim Sylwester Pawłowski, doświadczony samorządowiec, który był już radnym oraz wiceprezydentem w III kadencji. Jako historyk i nauczyciel jest wymagający i precyzyjny. Każdy sygnowany przez niego tekst wymaga szczególnego dopracowania. Analitycznie podchodzi do wszelkich sformułowań, chcąc dokładnie znać ich podtekst, głębsze znaczenie. Jest też Sylwester Pawłowski przewodniczącym bardzo aktywnym. Przejawia się to np. w tym, że nie pozostawia żadnego zaproszenia bez odpowiedzi. Wiadomo, że nie może wszędzie być, ale szacunek i grzeczność wobec przygotowujących jakieś wydarzenia sprawia, że zawsze kieruje do organizatorów listy. Bywa, że uczestniczy nawet w kilku wydarzeniach jednego popołudnia czy wieczoru, by nie pozostawić zaproszenia skierowanego do przewodniczącego Rady niezauważonym. Ludzie to cenią.

Ale i on nie kończy swego przewodniczenia Radzie wraz z upływem

Grupa radnych IV kadencji

kadencji. Po trzech latach kierowania pracami radnych Sylwester Pawłowski startuje do parlamentu. Zostaje wybrany posłem i radni znów stają przed koniecznością wyboru nowego przewodniczącego, oczywiście zgodnie z klubowymi parytetami.

I oto po raz pierwszy w odnowionym demokratycznym samorządzie przewodniczącą Rady zostaje kobieta – Iwona Bartosik. Nie pojawiła się na czele łódzkiego samorządu znikąd. Jako nauczycielka, dyrektorka szkoły, kurator oświaty i już kolejną kadencję radna jest osobą łodzianom dobrze znaną. Ten wybór sprawił też, że zmieniła tylko swój dotychczasowy gabinet wiceprzewodniczącej na nieco większy przewodniczącej. IV kadencja to czas, kiedy po raz pierwszy w tzw. prezydium Rady Miejskiej zasiadają dwie kobiety. Obok Iwony Bartosik wiceprzewodniczącą jest też Lidia Fido, przedstawicielka Samoobrony. Nowa przewodnicząca bardzo dba, by wszystko, co firmuje Rada Miejska, miało godną reprezentację. Jako elegancka i zwracająca uwagę na dobre maniery kobieta również swymi działaniami mającymi przełożenie na pracę radnych podnosi prestiż kierowanego przez siebie zgromadzenia. Kobieca intuicja, ale też zapewne wieloletnie doświadczenie pedagogiczne podpowiadają jej, że to konieczne przy tak wyrazistym prezydencie, jakim jest urzędujący w tej samej kadencji i wybrany po raz pierwszy w powszechnym głosowaniu przez łodzian Jerzy Kropiwnicki.

Spektakularnym działaniem podjętym przez Iwonę Bartosik, dobrze budującym wizerunek Rady Miejskiej, jest zainspirowanie przez nią radnych czterech kadencji do dobrowolnych składek na rzecz ufundowania Sztandaru Miasta. To było jedno z tych przedsięwzięć, które budowały dobrą tradycję łódzkiego samorządu. Warto je wymienić. Andrzejowi Ostoja-Owsianemu udało się w I kadencji – wraz z niestrudzonym w tym dziele wiceprzewodniczącym Rady Michałem Tośkiem – wypracować z radnymi wszystkich opcji Statut Miasta. Potem Andrzejowi Jędrzejczakowi, wiceprzewodniczącemu Rady Miejskiej II kadencji, udało się przekonać radnych, by Łódź miała swój hejnał. Podobnie zatem powiódł się zamysł Iwony Bartosik o potrzebie ufundowania Sztandaru Miasta. Dzisiaj wydaje się czymś naturalnym, że podczas ważnych wydarzeń i uroczystości miejskich wprowadzany jest ten symbol tożsamości Łodzi, a potem po hymnie państwowym rozbrzmiewa Prząśniczka – hejnał Miasta.

To była idea przewodniczącej – radni wszystkich opcji pod jednym sztandarem. Tak też starała się działać na co dzień. Koleżeńskie spotkania przy kawie i słodkich bułeczkach – najczęściej kupowanych przez samą Iwonę Bartosik – z radnymi reprezentującymi odmienne racje i przeciwstawne poglądy polityczne, z którymi wypracowywano najlepsze rozwiązania dla Łodzi, były codziennością. Różnica poglądów – być może właśnie dzięki tej atmosferze – nie powodowała, żeby radni mogli traktować się jak nieprzyjaciele.

V kadencja

Po dwóch, rzec by można, „tłustych" kadencjach dla SLD, bo klub miał większość w Radzie Miejskiej i swoich przewodniczących, nieubłagane wahadło historii przechyliło

się bardziej w prawo. W V kadencji radni Platformy Obywatelskiej stanowili największy, 15-osobowy klub. Najpierw wybrali przewodniczącym Rady Miejskiej Macieja Grubskiego. Okazał się w tej roli człowiekiem dynamicznym i bezkompromisowym. Szybki w decyzjach, szybki w ocenach, impulsywnie oczekujący, aby praktycznie wszystkie dyspozycje były realizowane „na wczoraj". Przy tym nieco „bokserskim" sposobie obecności w samorządzie potrafił mieć chwile odskoczni, znajdując zawsze czas na kontakty z autorytetami intelektualnymi, wobec których przejawiał szczególny szacunek. Miłośnik muzyki klasycznej, dla wyciszenia się słuchał radia RMF Classic. Choć pełen szacunku do urzędu prezydenta, którym na kolejną kadencję łodzianie wybierają Jerzego Kropiwnickiego, był Grubski przewodniczącym zdecydowanie broniącym pozycji Rady Miejskiej, jej autonomii, a zarazem własnego zdania.

Nie trwało to jednak długo, ponieważ Platforma Obywatelska zaproponowała mu kandydowanie do Senatu. Ostra rywalizacja dwóch kandydatów umacniającej się formacji, Macieja Grubskiego i Krzysztofa Kwiatkowskiego, sprawia, że obaj zostają senatorami. Tak więc po roku i ten przewodniczący przestaje być radnym, a klub wskazuje kolejnego kandydata na to stanowisko. To Tomasz Kacprzak, młody prawnik, mający niejako w genach samorząd, bo jego ojciec Grzegorz Kacprzak także był radnym, ale w II kadencji.

Swą obecność w Radzie Miejskiej nowy przewodniczący opiera na decyzjach Klubu Radnych PO. W kulturalny sposób spotyka się i w wyważony sposób rozmawia z radnymi pozostałych klubów, ale częściej ten mocny głos to głos przewodniczącego Klubu Radnych PO Mateusza Walaska. Najwyraziściej Tomasz Kacprzak włącza się w sprzeciw wobec proponowanych radnym rozwiązań wokół projektu Camerimage Łódź Center. Przygotowuje Białą Księgę, z którą szuka wsparcia dla Rady Miejskiej u ministra kultury. Tu jego głos jest merytoryczny i prawnie oprzyrządowany.

W zderzeniu z mocnym głosem prezydenta Jerzego Kropiwnickiego przewodniczący Rady wraz ze swymi klubowymi kolegami szuka partnera – bo zmusza go do tego matematyczny parytet głosowań – wśród innych radnych, by móc okazać sprzeciw wobec propozycji prezydenckich. Tomasz Kacprzak, choć odległy jest w swym wyborze rozwoju miasta od zamysłów Jerzego Kropiwnickiego, to jednak wraz z Klubem PO nie wykazuje determinacji, by zainicjować próbę odwołania prezydenta. Ułatwia im to wyrazistsze w tej mierze SLD.

Kiedy łodzianie odwołują w referendum prezydenta Kropiwnickiego, premier, będący jednocześnie szefem krajowych struktur PO, ze względu na nieodległy termin kolejnych wyborów samorządowych obowiązany jest wyznaczyć osobę pełniąca obowiązki prezydenta do tego czasu. Zostaje nim Tomasz Sadzyński, także prawnik, bliski kolega przewodniczącego. Wśród wiceprezydentów znajduje się też Dariusz Joński, wyrazisty młody polityk SLD, i w ten sposób Tomasz Kacprzak ma pewność sprawnego przebiegu obrad i gwarancję stanowienia prawa lokalnego według koncepcji innej, niż chciał tego poprzedni prezydent.

VI kadencja

W kilka miesięcy po referendum nastaje czas wyborów do samorządu, wybory prezydenckie wygrywa Hanna Zdanowska, szefowa struktur lokalnych PO, a Tomasz Kacprzak ponownie trafia do Rady Miejskiej. Macierzyste ugrupowanie przewodniczącego docenia jego czteroletnie przewodzenie Radzie, ale – choć się tego spodziewano – nie zostaje jednym z wiceprezydentów. Ale że PO ma większość w Radzie Miejskiej, to z rekomendacji tej partii przewodniczącym VI kadencji zostaje po raz wtóry Tomasz Kacprzak. Najbliższe, mocno odmłodzone otoczenie nowej pani prezydent widzi go nadal w tej w roli. Warto jednak zauważyć, że od czasu gdy prezydent jest wybierany w wyborach bezpośrednich, a nie przez radnych, bardziej spełnionym czuje się ten polityk, który sprawuje władzę wykonawczą. Tak więc bardzo już doświadczony mimo młodego wieku przewodniczący Kacprzak nadal zwołuje obrady Rady Miejskiej, prowadzi je, organizuje pracę radnych, jeśli trzeba reprezentuje. Cała jednak inicjatywa, wszystkie pomysły stanowiące o teraźniejszości i przyszłości, choć są realizacją koncepcji rządzącej PO, są już artykułowane przez stronę prezydencką.

Wydaje się, że ugrupowanie rządzące zapomina czasem spojrzeć analitycznie na dzieje samorządu. Warto np. zauważyć, co stało się z łódzką lewicą, która także w łódzkim samorządzie miała pełnię władzy. Formacja rządząca zapomina z czasem o potrzebie przekonywania, debaty. W I kadencji prezydent miał większość, a jednak dość często sam uczestniczył w posiedzeniach innych klubów i przekonywał.

Wówczas także podczas obrad Rady Miejskiej argumentów w imieniu prezydenta nie przedstawiał przewodniczący Rady czy któryś z radnych jego ugrupowania. Analogiczna praktyka istniała również za prezydentury Jerzego Kropiwnickiego. Kluczowe dla niego propozycje lubił prezentować radnym sam. Zdarzało się jedynie, że wcześniej podczas posiedzeń klubów radnych czy posiedzeń komisji czynił to w jego imieniu ówczesny wiceprezydent Włodzimierz Tomaszewski.

W praktyce okazywało się to dobrą metodą, aby przekonać nawet tych najbardziej nieprzekonanych, którzy np. początkowo powodowali, że projekt uchwały bywał zdejmowany kilkakrotnie z obrad Rady, aby, powiedzmy, za trzecim wprowadzeniem mógł być przyjęty jednogłośnie.

Formacja reprezentowana przez obecnego przewodniczącego obrała inną praktykę, choć wywiedzioną z historycznego stwierdzenia prezydenta Palki: „Cała władza i cała odpowiedzialność". Częste wnioski o zamknięcie debaty na dany temat, choć niezgłoszone przez samego przewodniczącego, na nim jednak skupiały nieprzyjazną reakcję radnych opozycji. Wiadomo powszechnie, że polityka, to sztuka negocjacji, debaty, argumentów, kompromisu i unikania niepotrzebnych konfrontacji. Sam przewodniczący zdawał się to dobrze wiedzieć, w publicznej debacie narzucały się jednak doraźnie inne standardy. Wśród samych radnych PO powstał na tym tle konflikt, który sprawił, że za odmienny punkt widzenia w debacie o istotnych dla miasta problemach grupa radnych została wykluczona z Klubu. Wydaje się, że takie sytuacje mogą wpływać na obniżenie rangi najwyższego przedstawicielstwa łodzian, jakim jest Rada Miejska. Odwołanie Tomasza Kacprzaka z funkcji przewodniczącego było już tylko konsekwencją narastającego kryzysu w samorządzie, gdy radni PiS i SLD zarzucili przewodniczącemu dopuszczenie do głosowania uchwały niezgodnej z prawem.

Kryzys spowodował, że prawie półtora roku przed końcem VI kadencji radni wybierają kolejnego przewodniczącego. Tym razem to Joanna Kopcińska – radna po raz pierwszy zasiadająca w ławach radnych w tej kadencji. Odbywa się to bez udziału radnych Klubu PO, którzy opuszczają salę obrad, prezydent miasta deklaruje zaś, że będzie współpracować z każdym przewodniczącym na rzecz dobra mieszkańców.

Nowa przewodnicząca to druga kobieta w dziejach odnowionego samorządu sprawująca tę funkcję. Lekarka z zawodu, swą publiczną funkcję stara się sprawować starannie. Jej gabinet, w którym zawsze dużo białych kwiatów, staje się rodzajem domu otwartego. Nieznana szerzej do tej pory Joanna Kopcińska szybko zyskuje rozpoznawalność. Łodzianie widzą w niej nie tylko nową twarz Rady Miejskiej, ale też radną otwartą na rozmowy. Przewodnicząca z ochotą odwiedza przedstawicieli różnych środowisk, odpowiadając na ich zaproszenia. W kalendarzu spotkań dominują dyżury, podczas których odbywa dziesiątki rozmów z mieszkańcami. Dzięki temu szybko zaznajamia się z tymi obszarami życia miasta, które dotąd nie były jej dobrze znane. Zdobywa opinię osoby sumiennej, rzeczowej.

Zależy jej na dobrym wizerunku Rady Miejskiej, ale nie kończy to

kryzysu. Część radni zarzuca nowej przewodniczącej, że teraz „rada grzęźnie w sporach, obrady cechuje chaos organizacyjny". Te argumenty okazują się niewystarczające, a wniosek o jej odwołanie z funkcji przewodniczącej upada. Udaje się to dopiero wtedy, gdy okaże się, że Joanna Kopcińska zostaje niespodziewanie bezpartyjnym kandydatem PiS na prezydenta Łodzi. Bezpośrednią przyczyną odwołania jej z funkcji jest kolejny wniosek radnych PO i Twojego Ruchu, związany z konfliktem wokół projektu obywatelskiego w sprawie budowy pomnika zmarłego prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego.

Zbliżają się wybory samorządowe i radni nie decydują się na wybór kolejnego przewodniczącego w tej kadencji. Jego obowiązki wypełnia do końca VI kadencji najstarszy wiekiem wiceprzewodniczący Rady Miejskiej, doświadczony samorządowiec Grzegorz Matuszak.

VII kadencja

VII kadencja, która trwa, przyniosła konieczność powstania w Radzie nowej koalicji. Prezydentem miasta już w pierwszej turze łodzianie wybrali ponownie Hannę Zdanowską (PO), kojarzoną z niewątpliwie największymi inwestycjami miejskimi w Łodzi po 1989 roku. Drugi wynik w tej rywalizacji zdobyła Joanna Kopcińska (bezpartyjna z PiS), zaś ubiegający się także o fotel prezydenta Tomasz Trela (SLD) objął jako koalicjant PO fotel wiceprezydenta. Ponieważ liczba mieszkańców Łodzi się zmniejszyła, obecna Rada Miejska ma już mniej radnych. Jest ich teraz 40. Dziś ten organ przedstawicielski samorządu Łodzi tworzą trzy ugrupowania PO – 20 radnych, PiS – 13 radnych i SLD –

str. 13 Przewodniczący RM różnych kadencji. Od lewej G. Matuszak, S. Pawłowski, I. Bartosik, T. Kacprzak, M. Grubski

7 radnych. Zatem kandydat PO w myśl zasad obowiązujących w Radzie zostaje wybrany przewodniczącym. Funkcję tę radni powierzyli ponownie Tomaszowi Kacprzakowi. Już po raz trzeci w dziejach naszej łódzkiej odbudowanej demokracji.

Każda wygrana, także i ta, jaką jest docenienie osobowości przez łodzian i przez radnych kolejnych kadencji, wyrażone wyborem na przewodniczącego Rady Miejskiej, to sukces. Można rzec, że to rodzaj szczęścia. Pewnie różnie definiowanego przez kolejnych szefów samorządu Łodzi. Warto przy tej okazji przytoczyć słowa Karla Dedeciusa, Honorowego Obywatela Miasta Łodzi, osobowości niepodważalnej w kulturze polskiej i europejskiej: „Otóż zanim człowiek osiągnie odrobinę szczęścia, musi spełniać jakieś czyny użyteczne".

Anna Kuźmicka
rzecznik prasowy Rady Miejskiej w Łodzi
(1991–2015)

Fot. archiwum autorki

Paweł Patora

Prezydenci Łodzi w 25-leciu

Od Waldemara Bohadanowicza do Hanny Zdanowskiej

Ponad ćwierć wieku po zmianie ustrojowej w Polsce przypominamy osoby, które w tym czasie pełniły urząd Prezydenta Miasta Łodzi. Nie po to, aby porównywać ich osiągnięcia i porażki. Wszak działali w różnych, wciąż zmieniających się warunkach zewnętrznych i mieli różną ilość czasu na realizację swych zamierzeń – jedni kilka lat, inni… kilka dni. Pochodzili też z różnych środowisk politycznych, w różny sposób trafiali na urząd (od mianowania, poprzez wybór przez radnych, po wybory powszechne) i w różnym wieku obejmowali władzę w mieście. Jerzy Kropiwnicki został prezydentem Łodzi, gdy miał 57 lat, Tomasz Sadzyński – gdy skończył 34 lata. Spojrzenie z perspektywy czasu na działania i dorobek kolejnych włodarzy miasta da nam pewien obraz drogi, jaką Łódź przebyła w minionym 25-leciu. W tym czasie kierowało nią aż 12 osób, w tym dziewięć przez okres co najmniej kilku miesięcy.

Bohdanowicz

Pierwszym prezydentem Łodzi po przełomowych dla naszej historii wyborach parlamentarnych z 4 czerwca 1989 r. został Waldemar Bohdanowicz. Wybrała go ustanowiona jeszcze w PRL-u Rada Narodowa miasta Łodzi. W drugiej turze tych wyborów 6 listopada 1989 roku reprezentujący Łódzkie Porozumienie Obywatelskie Waldemar Bohdanowicz pokonał kandydata Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego – Jerzego Drygalskiego. „Gdy w pierwszej turze wybory wygrałem, ale nie osiągnąłem wymaganej regulaminem większości 50 procent plus jeden głos, postanowiłem nie wystartować do drugiej tury – opowiada nam Waldemar Bohdanowicz. – Jednak radni ówczesnej Rady Narodowej zebrali, jak się później dowiedziałem z inspiracji radnych PAX-u, około 90 podpisów i wystąpili do premiera z poparciem dla mnie. Premier Tadeusz Mazowiecki zatelefonował do mnie i powiedział, że bardzo mnie prosi, abym drugi raz wystartował w tych wyborach. A że premierowi się nie odmawia, zdecydowałem się na drugą turę".

Tak zaczęła się kilkuletnia obecność Waldemara Bohdanowicza w polityce. Urodzony 2 czerwca 1941 r. w Rakowie w woj. wileńskim Waldemar Bohdanowicz od 1945 roku mieszkał w Łodzi. Po maturze w VIII LO im. Adama Asnyka rozpoczął studia na Uniwersytecie Łódzkim, które później kontynuował na Uniwersytecie Warszawskim. W 1963 roku otrzymał dyplom magistra geografii o specjalności Geo-

grafia ekonomiczna regionalna świata. Z kolei w Izbie Arbitrażowej Bawełny w Gdyni otrzymał patent rzeczoznawcy bawełny. W latach 1963–1985 pracował w Textilimpeksie (wcześniejszy Textilimport), w latach 1986-1989 był zastępcą dyrektora ds. surowców i handlu zagranicznego w Przedsiębiorstwie Polonijnym „Karimex" w Łodzi.

W 1980 roku zaangażował się w ruch Solidarności. Został zastępcą przewodniczącego Komitetu Zakładowego w Textilimpeksie i zastępcą przewodniczącego Rady Pracowniczej w tej instytucji. Następnie wybrano go na przewodniczącego Sekcji Pracowników Handlu Zagranicznego NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej i na sekretarza Krajowej Rady Pracowników Handlu Zagranicznego „Solidarności". W stanie wojennym pracował społecznie w Ośrodku Pomocy Uwięzionym i Internowanym, który działał przy kościele Ojców Jezuitów, kierowanym przez ojca Stefana Miecznikowskiego. To spowodowało, że stracił pracę. Był też członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej.

Pierwszy po transformacji ustrojowej prezydent Łodzi wspomina, że na początku nie było mu łatwo: „Pamiętam, że w pierwszych dniach mojej prezydentury, przed świętem 11 listopada w Łodzi zabrakło chleba – mówi. – Sądzę, że było to celowe działanie sił niezadowolonych z następujących w Polsce przemian. Chodziłem wtedy po sklepach i rozmawiałem z ludźmi. Byli tak wzburzeni, że mój asystent, którego odziedziczyłem po poprzedniku, bał się nawet stać przy mnie. Poprosiliśmy wtedy o pomoc piekarnię wojskową, która nieco podratowała sytuację". Po świętach prezydent zwołał zebranie osób odpowiedzialnych za handel pieczywem i zagroził im, że w przypadku powtórzenia się podobnej sytuacji nastąpią zwolnienia.

Jednak pierwsza decyzja Waldemara Bohdanowicza po objęciu stanowiska prezydenta Łodzi dotyczyła zupełnie innej sfery. „W moim gabinecie – opowiada Bohdanowicz – stało półtorametrowe, puste w środku gipsowe popiersie Lenina. Bardzo źle się czułem z obecnością wodza proletariatu za plecami. Poprosiłem wtedy do gabinetu pierwszego sekretarza miejscowej organizacji partyjnej, który do likwidacji PZPR w styczniu 1990 roku był po prezydencie najważniejszą osobą w urzędzie. Gdy przyszedł, był lekko stremowany, a ja mu powiedziałem, że gdyby zechciał zabrać popiersie, które za mną stoi, to byłbym bardzo zadowolony. Wtedy on wziął tego Lenina i trzymając go przed sobą, wychodził z gabinetu tyłem, jak gdyby kłaniając się mnie i zarazem przepraszając Lenina. Dochodząc do drzwi, musiał postawić popiersie na podłodze, aby je otworzyć, a ja siedziałem za biurkiem i obserwowałem tę historyczną scenę".

Tego samego dnia prezydent odebrał telefon z redakcji Głosu Ameryki. Trudno się dziwić, wszak Bohdanowicz, jako pierwszy solidarnościowy prezydent miasta w bloku komunistycznym budził zainteresowanie nie tylko w Polsce. Dziennikarz zapytał go o pierwszą decyzję i usłyszał, że było to wyniesienie popiersia Lenina.

Mniej zabawne były konieczne wówczas zmiany personalne. Waldemar Bohdanowicz wspomina, że wymiana urzędników następowała stopniowo. Pierwszy podał się do dymisji szef Wojewódzkiego Urzędu ds. Wyznań. Spośród zatrudnionych

już przez siebie najbliższych współpracowników z największym szacunkiem wspomina Jadwigę Off-Korbecką i Benedykta Czumę, którzy bardzo pomogli mu w pełnieniu obowiązków najpierw prezydenta, a później wojewody.

Urząd Prezydenta Miasta Łodzi Waldemar Bohdanowicz pełnił do 27 maja 1990 roku. W tym dniu został wojewodą łódzkim. Stanowisko to piastował do 28 stycznia 1994 roku. Dwukrotnie był wybierany z listy ŁPO do Rady Miejskiej, a w roku 1991 z listy Wyborczej Akcji Katolickiej do Senatu RP. Był jednym z czołowych działaczy Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. W 1997 roku ponownie, ale już bez powodzenia kandydował do Senatu i tak zakończył działalność polityczną.

Palka

Drugim w Trzeciej RP, ale wybranym już na podstawie nowej ustawy samorządowej prezydentem Łodzi został Grzegorz Palka (rocznik 1950), który stanowisko to zajmował do lipca 1994 roku. Absolwent Wydziału Chemicznego Politechniki Łódzkiej, były pracownik naukowy tej uczelni, a później Instytutu Włókien Chemicznych, w roku 1980 był współzałożycielem NSZZ „Solidarność" w Łodzi i regionie. To w jego mieszkaniu powstał Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej. Był wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu i członkiem Komisji Krajowej „S". Internowany w stanie wojennym, nie został zwolniony pod koniec 1982 roku wraz z ostatnimi internowanymi, lecz aresztowany pod zarzutem próby obalenia siłą ustroju PRL. Dopiero 26 lipca 1984 roku śledztwo umorzono na mocy amnestii i Grzegorz Palka odzyskał wolność.

W 1989 roku znalazł się wśród założycieli Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego; pełnił funkcję prezesa zarządu regionalnego tej partii. Współtworzył też Łódzkie Porozumienie Obywatelskie.

W roku 1990 w wyniku wyborów został prezydentem Łodzi. Jego niewątpliwą zasługą było odnowienie ulicy Piotrkowskiej, nadanie jej charakteru reprezentacyjnej ulicy miasta, z bogatą ofertą handlową i kulturalną, a także uczynienie z niej miejsca spacerów i spotkań towarzyskich łodzian, a także atrakcyjnego pasażu przyciągającego gości, zwłaszcza zagranicznych. W 1991 roku podczas jego kadencji zorganizowany został I Światowy Zjazd Łodzian. Przyjechali wtedy dawni łodzianie zamieszkali w kilkunastu krajach świata. Krytycy jego prezydentury wypominali mu poprzestanie na odnowieniu Piotrkowskiej, podczas gdy renowacji wymagało niemal całe centrum Łodzi. Grzegorz Palka podjął też starania o przyciągnięcie do miasta inwestorów zagranicznych, poprawił miejski budżet, redukując dług i wspierał inicjatywę budowy nowoczesnego lotniska na Lublinku.

W 1991 roku Grzegorz Palka współorganizował Unię Metropolii Polskich i do 1996 roku był jej wiceprezesem. Pełnił funkcję prezydenta do następnych wyborów w 1994 roku. Jako radny został wybrany przewodniczącym Rady Miejskiej w Łodzi. Zginął tragicznie w wypadku samochodowym 12 lipca 1996 roku.

Czekalski

Marek Czekalski (rocznik 1953), następca Grzegorza Palki na stanowisku prezydenta Łodzi, był w 1980 roku założycielem Solidarności w Przędzalni Czesankowej „Arelan", członkiem Zarządu Regionu Ziemi Łódzkiej i delegatem na I Zjazd NSZZ „Solidarność". Internowany w stanie wojennym, po wyjściu na wolność prowadził w podziemiu aktywną działalność opozycyjną. W czerwcu 1990 roku został radnym Rady Miejskiej w Łodzi. Działał w Ruchu Obywatelskim Akcja Demokratyczna (ROAD), a następnie w Unii Wolności, której został przewodniczącym w regionie.

Jako prezydent Łodzi podjął próbę utworzenia „duopolis" – łódzko-warszawskiej metropolii. Wspólnie z Marcinem Święcickim, ówczesnym prezydentem Warszawy, zorganizował w tej sprawie konferencję prasową w Łodzi. Obaj politycy podpisali wstępne porozumienie, jednak, jak się później okazało, z tej atrakcyjnej dla Łodzi koncepcji nic nie wyszło.

Deklarując „menedżerski sposób sprawowania władzy", Marek Czekalski ogłosił program *Strategia dla Łodzi*, w którym deklarował m.in. walkę z korupcją, obsadzanie ważnych stanowisk w drodze konkursów i jawne przetargi. Do najważniejszych osiągnięć z okresu swojej prezydentury Marek Czekalski zalicza przyciągnięcie inwestorów z Zachodu, m.in. firmy Bosch-Siemens Hausgeräte GmbH, która otworzyła w Łodzi fabrykę, wybudowanie estakady na alei Włókniarzy. Za sukces moralny swojej prezydentury uważa także nawiązanie przyjacielskich stosunków z byłymi łodzianami, którzy mieszkają w Izraelu, a także utworzenie (z inicjatywy Arnolda Mostowicza) fundacji Monumentum Judaicum Lodzense, służącej ratowaniu i ochronie dorobku kultury łódzkich Żydów oraz przywracaniu i utrwalaniu pamięci o nich. Podczas prezydentury Marka Czekalskiego odbył się II Światowy Zjazd Łodzian. Wzrosła atrakcyjność Łodzi jako miasta, w którym warto inwestować. Renomowana agencja ratingowa Standard and Poor's przyznała Łodzi, jako pierwszemu miastu w Polsce, najwyższą z możliwych wiarygodność finansową.

W trakcie kadencji Marka Czekalskiego zmienił się układ sił w Radzie Miejskiej. Łódzkie Porozumienie Obywatelskie przeszło do opozycji, a władzę przejęła centrolewicowa koalicja Unii Wolności z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. „Te zawirowania mogły pogrzebać moją prezydenturę, jednak trwała przez cztery lata – przypomina Marek Czekalski. – To była najważniejsza funkcja, jaką pełniłem, i był to najciekawszy okres mojego życia".

W listopadzie 1998 roku, po kolejnych wyborach do samorządu i odejściu ze stanowiska prezydenta, Czekalski został wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej. W czerwcu 2001 roku, na kilka miesięcy przed wyborami parlamentarnymi, w których miał wystartować z pierwszego miejsca okręgowej listy Unii Wolności, wskutek pomówienia oskarżono go o przyjęcie łapówki za ułatwienie inwestorom budowy centrum handlowego M1. Został zatrzymany i nawet aresztowany. Były prezydent nie przyznawał się do winy, ale zawiesił do czasu wyjaśnienia sprawy wykonywanie

wszystkich funkcji publicznych. Chociaż oświadczenia wyrażające przekonanie o jego niewinności ogłosili tak znani i szanowani obywatele, jak Marek Edelman, Jacek Kuroń i Tadeusz Mazowiecki, to jednak były prezydent Łodzi trafił przed sąd. Uniewinniony prawomocnym wyrokiem sądowym został dopiero po dziewięciu latach. Do polityki i działalności publicznej już nie wrócił.

Matusiak, Panas, Jagiełło

Kolejni prezydenci Łodzi wywodzili się z SLD. Tadeusz Matusiak, który objął to stanowisko 3 listopada 1998 roku, należał do współzałożycieli tej partii. Miał już duże doświadczenie w pracy samorządowej. 20 lat wcześniej został łódzkim radnym, a po zmianie ustroju Polski, pełnił funkcję marszałka sejmiku wojewódzkiego. Zapytany o największe osiągnięcie swojej prezydentury, Tadeusz Matusiak wymienia ściągnięcie do Łodzi firmy Apsys, która wybudowała Manufakturę. Nie zgadza się z zarzutami, jakie mu stawiano, że podpisując umowę z tym francuskim inwestorem, zgodził się na zbyt mały zakres inwestycji drogowych wokół Manufaktury, do których wykonania zobowiązał się Apsys. „Przypominam, że gdy Dell wybudował w Łodzi swoją fabrykę, to cała infrastruktura drogowa powstała na koszt miasta" – mówi Matusiak. Do swych sukcesów zalicza też stworzenie odpowiedniego klimatu, m.in. poprzez przyznanie ulg podatkowych do wybudowania w Łodzi przez włoską firmę Merloni fabryki Indesit. Dodaje, że była w tym też duża zasługa wicewojewodów – Mirosława Kołakowskiego i Cezarego Grabarczyka.

Tadeusz Matusiak mówi, iż kiedy był prezydentem, zdawał sobie sprawę, że skoro wyłoniła się możliwość uzyskania wsparcia finansowego z Unii Europejskiej, to najwięcej zyskają ci, którzy pierwsi po te unijne pieniądze sięgną. Zamierzał zdobyć je na wybudowanie szybkiego połączenia kolejowego z Warszawą. „Do tego potrzebny był jednak odpowiedni projekt i dokumentacja – zaznacza. – Stworzyłem zespół, który miał się tym zająć. Miałem kłopot ze znalezieniem do tego zespołu osób posiadających potrzebne kwalifikacje. W końcu kierowanie nim powierzyłem byłemu wiceprezesowi PKP. Później okazało się, że był on zamieszany w aferę polegającą na żyrowaniu przez zarząd PKP weksli na wielomilionowe kwoty. Zarzucono mi, że zatrudniłem przestępcę".

Zdaniem Tadeusza Matusiaka, oceniając dorobek kolejnych prezydentów Łodzi, należałoby grubą kreską oddzielić tych, którzy sprawowali ten urząd po wejściu Polski do Unii Europejskiej – dzięki czemu mogli już korzystać z funduszy unijnych – od ich poprzedników, którzy takiej możliwości nie mieli.

Po odejściu 3 marca 2001 roku z urzędu prezydenta Tadeusz Matusiak został przewodniczącym Rady Miejskiej w Łodzi, a w 2002 roku wiceministrem spraw wewnętrznych w rządzie Leszka Millera.

Następnym prezydentem Łodzi był Krzysztof Panas z SLD, absolwent Wojskowej Akademii Medycznej, z zawodu ginekolog położnik, doktor nauk

medycznych. Obejmując urząd, zapowiadał m.in. kontynuację starań o stworzenie wspólnie z Warszawą duopolis, budowę szybkiej kolei łączącej Łódź ze stolicą, a także walkę z łódzką biedą. Był autorem *Kierunków działań na rzecz zdrowia łodzian* – jedynego w Polsce dokumentu określającego priorytetowe obszary działań na rzecz zdrowia mieszkańców miasta. Podkreślał konieczność koordynowania tych działań przez instytucje oświaty i wychowania, zakłady pracy i władze miasta. Zapowiadał zapewnienie podstawowej opieki zdrowotnej i szpitalnej wszystkim mieszkańcom Łodzi. Za jego kadencji zrealizowano w Łodzi kilka zdrowotnych programów profilaktycznych. Gdy w marcu 2002 roku opuścił urząd prezydenta, został wiceministrem środowiska i głównym geologiem (!) kraju. Od października 2003 roku do marca 2004 roku był prezesem Narodowego Funduszu Zdrowia.

Krzysztof Jagiełło, następca Panasa na stanowisku prezydenta Łodzi, który kierował miastem zaledwie kilka miesięcy, od 3 lipca do 19 listopada 2002 roku, do swoich osiągnięć zalicza m.in. powołanie w Urzędzie Miasta Łodzi Wydziału Strategii Zatrudnienia, który miał być odpowiedzią na potrzeby łódzkiej gospodarki w zakresie szkoleń zawodowych. Była to, jak twierdzi, próba powrotu do zaniedbanego wówczas szkolnictwa zawodowego.

Ważnym osiągnięciem były też dwie inicjatywy promocyjne. Pierwsza to Festiwal Czterech Kultur, który miał promować Łódź także za granicą. W pierwszym festiwalu wzięli udział ambasadorowie Niemiec, Rosji i Izraela w Polsce oraz najlepsze zespoły z tych krajów. Krzysztof Jagiełło z żalem konstatuje, że teraz inicjatywa ta została praktycznie wygaszona. W okresie prezydentury Jagiełły Łódź rozwijała współpracę z inwestorami zagranicznymi, m.in. powstała fabryka sprowadzonej już wcześniej do Łodzi firmy Bosch.

Jesienią 2002 roku po zmianie ustawy samorządowej, kiedy po raz pierwszy w Trzeciej RP prezydenta Łodzi wybierano w wyborach powszechnych, Krzysztof Jagiełło, chociaż w pierwszej turze uzyskał najwięcej głosów, drugą przegrał z Jerzym Kropiwnickim. Przed drugą turą wyciągnięto Jagielle, że na skróty zdobył tytuł magistra na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego. Uważa, że było to celowe deprecjonowanie konkurenta poprzez ukazanie go jako oszusta. „Mimo że później wygrałem sprawy sądowe w dwóch instancjach Naczelnego Sądu Administracyjnego i udowodniłem, że nie było żadnej winy po mojej stronie, to jednak było to już po wyborach" – mówi dziś Krzysztof Jagiełło.

Kropiwnicki

Jerzy Kropiwnicki wygrał wybory m.in. dlatego, że był już osobą dobrze znaną łodzianom. Po ukończeniu studiów na Wydziale Handlu Zagranicznego Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie został asystentem na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ. Był tam też działaczem Związku Nauczycielstwa Polskiego. W 1980 roku został współtwórcą Solidarności na Uniwersytecie Łódzkim i w regionie.

Był rzecznikiem prasowym, a później wiceprzewodniczącym Zarządu Regionu Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność". Po wprowadzeniu stanu wojennego wraz z Andrzejem Słowikiem protestował i wzywał do strajku generalnego. Został skazany na sześć lat więzienia. Podczas odbywania wyroku brał udział w głodówkach protestacyjnych. Po odzyskaniu w 1984 roku wolności działał m.in. w podziemnej Solidarności. Był krytyczny wobec ówczesnych działań Lecha Wałęsy i umów Okrągłego Stołu. W 1989 roku należał do założycieli i czołowych działaczy Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. W latach 1991-1993 i 1997-2001 był posłem na Sejm. Kilkakrotnie sprawował też funkcję ministra i szefa urzędów centralnych w rządach Jana Olszewskiego, Hanny Suchockiej i Jerzego Buzka.

Zapytany o trzy największe osiągnięcia swojej prezydentury, Jerzy Kropiwnicki wymienia: „Po pierwsze: ściągnięcie do Łodzi markowych producentów, takich jak Philips i Dell, po drugie: zmniejszenie bezrobocia do rozmiaru jednocyfrowego, po trzecie: zmianę image'u Łodzi w środowiskach międzynarodowego biznesu i pojednanie z Izraelem, a w szczególności z dawnymi żydowskimi mieszkańcami miasta, którzy odnaleźli przychylny klimat w mieście swego urodzenia. Gdyby jednak mógł wymienić więcej sukcesów, dodałby skuteczny lobbing dotyczący drogi szybkiego ruchu S-14 i włączenia Łodzi w trasę szybkich kolei, zainicjowanie projektu Nowego Centrum Łodzi, działania na rzecz przywrócenia Łodzi filmowej dzięki festiwalowi Camerimage i planowane studio Lyncha oraz rozwinięcie Festiwalu Czterech Kultur poprzez zapewnienie mu międzynarodowej rangi i „przekształcenie go z takiego, w którym Łódź była tylko widownią, na taki, w którym była współuczestnikiem".

Jerzy Kropiwnicki ubolewa, że Łódź straciła tę szansę, a przede wszystkim Camerimage, który był jedynym w Polsce festiwalem takiej rangi, bo przyciągającym światowej sławy twórców będących u szczytu swej kariery.

Na pytanie o największą porażkę swojej prezydentury Jerzy Kropiwnicki odpowiada: „Najbardziej zmartwiło mnie to, że nie udało mi się przekonać łodzian, iż po to, aby Łódź zaistniała na liście międzynarodowych biur turystycznych i potencjalnych inwestorów zagranicznych, trzeba wyjeżdżać za granicę, bo takich rzeczy zza biurka nie da się załatwić". Właśnie z częstych wyjazdów zagranicznych prezydenta Kropiwnickiego – choć nie z kosztów tych podróży przeważnie nie obciążających budżetu Miasta – czynili mu zarzut organizatorzy referendum, w wyniku którego został on w styczniu 2010 roku odwołany ze stanowiska.

Zdanowska

Od 2 lutego 2010 roku obowiązki prezydenta Łodzi pełnił Tomasz Sadzyński, dotychczasowy sekretarz województwa łódzkiego, mianowany przez premiera Donalda Tuska jako zarządca komisaryczny. Stanowisko to zwolnił 26 listopada 2010 roku po uzyskaniu mandatu radnego Rady Miejskiej w Łodzi, z największą liczbą głosów. Obecnie Tomasz Sadzyński jest prezesem zarządu Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej. Po

jego rezygnacji obowiązki prezydenta miasta przejął Paweł Paczkowski, ale pełnił je tylko 13 dni, do rozpoczęcia kadencji Hanny Zdanowskiej, która 6 grudnia 2010 roku zwyciężyła w drugiej turze wyborów powszechnych.

Pierwsza w Trzeciej RP kobieta na stanowisku prezydenta Łodzi jest inżynierem środowiska, a przed objęciem prezydentury była posłanką na Sejm, wybraną z listy Platformy Obywatelskiej. W 2014 roku została wybrana na drugą kadencję, wygrywając już w pierwszej turze.

Po przejęciu władzy w Łodzi Hanna Zdanowska przystąpiła do gruntownej modernizacji miasta. Łódź stała się wielkim placem budowy. Powstaje Nowe Centrum Łodzi, ze zrewitalizowaną dawną elektrociepłownią EC-1, podziemny dworzec Łódź Fabryczna z tunelem dojazdowym, trasa W-Z łącząca osiedla na Retkini i Olechowie. Powstała Trasa Górna, kompleksowo zmodernizowano ulicę Piotrkowską, rozpoczęto prace mające na celu wydłużenie alei Kościuszki w kierunku południowym. Realizowany jest rewitalizacyjny program „Mia100 kamienic" mający na celu uratowanie chociaż części popadających w ruinę śródmiejskich kamienic, które po odnowieniu odzyskują piękno i walory użytkowe.

Krytycy prezydent Hanny Zdanowskiej podkreślają, że jej decyzje doprowadziły do tego, iż centrum Łodzi w godzinach szczytu komunikacyjnego jest zwykle niemal całkowicie zakorkowane. Zwracają też uwagę, że roboty, szczególnie przy budowie nowego dworca, przedłużają się, co może doprowadzić do utraty unijnego dofinansowania, dzięki któremu możliwy jest obecny boom inwestycyjny. Prezydent Zdanowska uspokaja, że mimo opóźnień utrata dofinansowania miastu nie grozi. Narzekającym na korki odpowiada, że zdaje sobie sprawę z olbrzymich obciążeń dla mieszkańców, ale – jak potwierdza – nie ma innego sposobu na odrobienie wieloletnich zaniedbań, które degradowały miasto. „Ciągi komunikacyjne mają takie znaczenie dla miasta, jak żyły dla organizmu człowieka – mówi Hanna Zdanowska – a w Łodzi ich udrożnienie jest konieczne. Przykro mi, że mieszkańcy będą musieli jeszcze przez pewien czas stać w korkach, tak jak w poprzednich latach stali mieszkańcy Wrocławia, Gdańska, Katowic i innych miast, ale jeśli nie teraz, to praktycznie już nigdy, bo nigdy nie pojawią się takie jak obecnie możliwości pozyskania finansów na inwestycje ze środków zewnętrznych".

Za najważniejsze osiągnięcie swojej prezydentury Hanna Zdanowska uznaje wyraźnie pobudzenie aktywności obywatelskiej łodzian, ich codzienne włączanie się w rozwiązywanie problemów miasta, udział w konsultacjach społecznych i w tworzeniu budżetu obywatelskiego. Prezydent podkreśla, że choć jest to tylko jeden procent całego budżetu miasta, to jednak to największy budżet obywatelski w Polsce, a jeszcze zamierza go przed końcem swojej drugiej kadencji podwoić.

Paweł Patora
dziennikarz, publicysta

Grzegorz Matuszak

Mozolnie uczyliśmy się samorządności

Ćwierć wieku temu

Ważnym i niewątpliwie udanym elementem transformacji ustrojowej w Polsce była restytucja samorządów lokalnych. Na mocy ustawy o samorządzie terytorialnym 27 maja 1990 roku odbyły się oczekiwane z nadzieją przez mieszkańców wybory do rad miast i gmin, czyli podstawowych jednostek samorządowych. W tych pierwszych wyborach do Rady Miejskiej w Łodzi o 80 mandatów ubiegało się 16 ugrupowań politycznych i społecznych, które wystawiły 422 kandydatów.

Zwyciężył blok chrześcijańsko-narodowy występujący pod szyldem Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego, uzyskując 50 mandatów. Blok ten skupiał kilkanaście partii i organizacji. Były to: Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, Konfederacja Polski Niepodległej, Chrześcijańskie Stronnictwo Pracy, Polska Partia Zielonych oraz rozmaite katolickie struktury duszpasterskie. W opozycji do zwycięzców znalazł się raczej niespodziewanie liberalno-demokratyczny Wojewódzki Komitet Wyborczy (24 mandaty), złożony głównie z członków Unii Demokratycznej i Kongresu Liberalno-Demokratycznego oraz grupa członków Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej (6 mandatów).

W 25-lecie reaktywowania samorządów jako radny wybrany w 1990 roku i pełniący mandat przez pięć kadencji w łódzkiej Radzie Miejskiej, pozwalam sobie na przypomnienie w impresyjnej formie osób i wydarzeń, które stanowiły o niepowtarzalnym kolorycie początków funkcjonowania łódzkiego samorządu. Socjologom, politologom i historykom pozostawiam uczone i poważne analizy i oceny dokonań łódzkich samorządowców. Jako radny i zarazem uczestniczący obserwator obrad Rady Miejskiej uważam, że warto przypomnieć i spojrzeć na samorząd z początku lat 90. ubiegłego wieku poprzez wydarzenia anegdotyczne. Tak jak je zapamiętałem.

Metodą prób i błędów

Wszyscy wtedy mozolnie uczyliśmy się samorządności, często metodą prób i błędów. Byli prymusi i outsiderzy, zdarzały się sukcesy i wpadki, bywały sytuacje groteskowe, a wszystko to za sprawą radnych reprezentujących łodzian, którzy poszli dość gremialnie

do urn wyborczych, aby wybrać swoich przedstawicieli w wyborach powszechnych. Sądzę, że warto je przypomnieć nie tylko dla przestrogi obecnych i przyszłych łódzkich samorządowców, ale także i dla obywatelskiej samoświadomości wyborców, którzy, jak się wydaje, powinni orientować się, kogo wybierają jako swych przedstawicieli.

Jedną z pierwszych deklaracji politycznych nowego samorządu wybranego w 1990 roku było oświadczenie prezydenta Grzegorza Palki, że jego ugrupowanie – zwycięskie ŁPO – bierze w Łodzi „całą władzę i odpowiedzialność" oraz że obsadzi swymi ludźmi wszystkie ważne funkcje w mieście. Było to zaskoczenie, szczególnie dla radnych postsolidarnościowego Wojewódzkiego Komitetu Wyborczego. Propozycję porozumienia w samorządzie ponad podziałami politycznymi w sprawach Łodzi i jej mieszkańców pan prezydent Palka odrzucił. W ówczesnym wywiadzie dla tygodnika „Wspólnota" Grzegorz Palka zapewniał, że „nie jest źle [...] wszystko jest w naszym zasięgu i w naszych rękach". Myślę, że właśnie w 1990 roku rozpoczęła się tradycja, kontynuowana i rozwijana w samorządach kolejnych kadencji, że zwycięzcy biorą „wszystko" i są przekonani o swych prawie nieograniczonych umiejętnościach i możliwościach.

W początkowym okresie działania samorządów organem wykonawczym łódzkiej Rady Miejskiej był siedmioosobowy zarząd na czele z prezydentem miasta, w większości złożony z radnych. W przypadku głosowań, na przykład w sprawie udzielenia absolutorium, radni będący członkami zarządu występowali w podwójnej roli: ocenianych przez Radę i oceniających. Argument, że dobry obyczaj nakazuje, aby nie być sędzią we własnej sprawie, spotkał się z kontrargumentem, że przecież członkowie zarządu są radnymi i nie można pozbawiać ich prawa głosu. Sprawę tę uregulowała dopiero nowelizacja ustawy o samorządzie przewidująca, że nie można łączyć funkcji wykonawczych oraz stanowiących i kontrolnych.

Z klubu do klubu, z partii do partii

W pierwszej kadencji Rady Miejskiej narodziło się też nowe zjawisko, które określam mianem turystyki politycznej. Po prostu radni wybrani z określonej listy w trakcie kadencji zmieniali z różnych powodów swoją przynależność organizacyjną. Przypominam sobie radnego Jerzego D., który w ciągu czterech lat pięciokrotnie, czyli mniej więcej co trzy kwartały, zmieniał klub radnych i przynależność partyjną. Wraz z kolejnymi kadencjami zjawisko to się nasiliło i spowszechniało, ale początki owego wędrowania z partii do partii zaczęły się tuż po wyborach w 1990 roku.

Istnieje popularne porzekadło, że tylko krowa nie zmienia poglądów. Uznaję prawo każdego człowieka do rewizji swych wyborów życiowych i modyfikacji przekonań, ale w przypadku turystyki politycznej, moim zdaniem, trzeba jeszcze zachowywać się przyzwoicie i honorowo. A to oznacza, że gdy odchodzisz z partii, bo zmieniły ci się przekonania, to złóż mandat radnego lub parlamentarzysty, który uzyskałeś z listy porzucanego ugrupowania. Przecież wyborcy głosowali na określoną listę, a nie tylko

wybierali kandydata ze względu na jego niebanalną aparycję czy deklaracje składane w czasie kampanii wyborczej. Pomilcz godnie choć przez rok lub dwa, przejdź swoistą kwarantannę, nim zaczniesz krytykować i zwalczać swych dotychczasowych kolegów partyjnych, aby wkupić się w łaski nowych.

Radni pierwszej kadencji miewali różne dziwne i wątpliwe pomysły, które nijak nie wynikały z ustawowych prerogatyw samorządowców. Na przykład kilku radnych postulowało powołanie nadzwyczajnej komisji w Radzie Miejskiej, która zbierałaby od mieszkańców miasta informacje o nadużyciach, rozkradaniu mienia państwowego oraz innych nagannych faktach z życia publicznego. Komisja zebrane donosy przekazywałaby prokuraturze i pilnowała ukarania winnych. Radnego Wacława Ł., który zgłosił ten pomysł, miłego nobliwego starszego pana, nie posądzałem, że jego ukrytym pragnieniem jest rola Sherlocka Holmesa, zwłaszcza że wnioskodawca dał do zrozumienia, że chętnie w takiej komisji będzie uczestniczył. Nie było jasne, jak komisja miała sobie poradzić z możliwą do przewidzenia falą pomówień, insynuacji i świadomego wprowadzania w błąd przez chętnych delatorów. Negatywnie do tego pomysłu odniósł się prokurator wojewódzki, zresztą także radny i ostatecznie sprawa upadła.

Roznegliżowane okładki

Innym dziwnym pomysłem były próby cenzorskie. Oto radny Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy, sędziwy mecenas Tadeusz G., odczytał na sesji oświadczenie mówiące o zagrożeniu wzbierającą falą pornografii i wzywające Radę Miejską, aby przeciwdziałała temu, na przykład poprzez składanie odpowiednich wniosków do prokuratury. Jako ilustrację swego wywodu mówca pokazał z mównicy kilka zamieszczonych w czasopismach kolorowych zdjęć skąpo ubranych modelek, jego zdaniem siejących zgorszenie. Nie da się ukryć, że wzbudziły one spore zainteresowanie znacznej części radnych, a ci, którzy siedzieli daleko od mównicy lub po prostu wzrok im już nie dopisywał, wołali: „Bliżej pokazać".

Prezydent Grzegorz Palka wystąpił wtedy jako surowy rzecznik ścigania w kioskach nadmiernej golizny, jego zdaniem gorszących dzieci i skromnych obywateli, za których postawę moralną poczuł się odpowiedzialny. Na szczęście przewodniczący obrad po spontanicznej deklaracji radnego Jacka C. z WKO: „A ja lubię pornografię", przerwał dyskusję. Sprawę okładek czasopism skierowano do komisji ładu społeczno-prawnego, gdzie bez dalszych konsekwencji pozostawiono ją ostatecznie nierozstrzygniętą.

Warto tu podnieść, że niemal po 25 latach Rada Miejska obecnej, siódmej kadencji rozpatrywała skargę obywatela zgorszonego niestosownym jego zdaniem plakatem teatralnym i bez dyskusji oddaliła sprawę, uznając jednomyślnie, że samorząd nie ma uprawnień cenzorskich. To dowód, że przez ćwierć wieku radni zrozumieli, iż walka z golizną nie jest zadaniem własnym ani zleconym samorządu terytorialnego.

Wśród radnych wybranych w 1990 roku nie brakowało osób o wątpliwych kompetencjach, ale za to pewnych swych racji. Przykładem może być radny z KPN Józef K., który w czasie dyskusji nad interpelacją dotyczącą zawieszenia w sali obrad krzyża głosił, że „wszyscy Polacy są za tym, żeby krzyże były wszędzie, bo tylko pod krzyżem jest się Polakiem". Pewną jednostronność myślenia tego radnego niech zilustruje fakt, że gdy w komisji Rady Miejskiej rozważano sprawę dofinansowania przez miasto jednej z katedr na Uniwersytecie Łódzkim, Józef K. z całą powagą wygłosił pogląd, że on jest za, bo „katedrę i inne kościoły należy jak najbardziej wspierać".

Oratorstwo popisowe

W Radzie Miejskiej pierwszej kadencji nie brakowało złotoustych oratorów. Niewątpliwie na pierwsze miejsce w tej grupie zasługiwał wiceprzewodniczący Rady Zbigniew K. Lubił on przemawiać, czynił to chętnie i z patosem, a ponieważ zwykle miał w zasięgu ręki mikrofon, to sam udzielał sobie głosu, komentował wystąpienia radnych, czego przecież powinien się wystrzegać, zwłaszcza w czasie prowadzenia obrad. Największym jego sukcesem oratorskim była parafraza barokowego kazania pogrzebowego. Przeciwstawiając się nie dość patriotycznym jego zdaniem oponentom przemianowywania nazw ulic, w lipcu 1992 roku wielkim głosem na sesji zakrzyknął: „Oto wyznanie wiary członka ZChN – panie pułkowniku Wołodyjowski! Larum grają! Wojna! Nieprzyjaciel w granicach!". Po takiej inwokacji już swobodnie mógł przystąpić do krytyki tych radnych, którzy nie chcieli dokonywać zmian nazw ulic.

Na przypomnienie zasługuje również jakże ciekawa maksyma wygłoszona przez wiceprzewodniczącego Zbigniewa K. w grudniu 1993 roku, gdy usiłował zapanować nad chaotyczną dyskusją radnych młodopolsko brzmiącą maksymą: „Bliskość ciał wywołuje szał". Żałuję, że nie rozwinął tej myśli. Mogłoby być bardzo interesujące, jakich to cielesnych szaleństw można dopuścić się w Radzie Miejskiej i to jeszcze w czasie obrad.

Nazewnictwo i emocje

Lirycznym oratorem wśród radnych pierwszej kadencji był członek KPN, orędownik i specjalista od reformy nazw łódzkich ulic Lucjan M., przewodniczący komisji do spraw nazw ulic, placów i obiektów użyteczności publicznej. Apelował o nowe nazwy, płomienne przywoływał patriotyzm. Mieszkańców osiedla na Rogach uznał za pogrobowców „komuny", bo chcieli, aby patronami uliczek na tym osiedlu byli trzeciorzędni, prawie nikomu nieznani powstańcy styczniowi. „A przecież wieje tam wiatr od Dobrej" – dowodził radny Lucjan M., choć, jak wiemy, było to miejsce, gdzie na skutek nieudolnego dowodzenia poniósł klęskę oddział powstańczy. Mieszkańcy Rogów chcieli, aby uliczki w ich osiedlu nosiły nazwy znaków Zodiaku.

W ferworze projektów nazewniczych przewodniczący komisji przekonywał radnych na sesji, że żaden Gagarin nie odbył lotu w kosmos i dlatego nie

należy mu się w Łodzi ulica. Poza tym dążył do nadawania nazw alejkom parkowym i przejściom między blokami, co wywoływało złośliwe komentarze, że niedługo każda ścieżka między trzepakiem i śmietnikiem też będzie musiała mieć swego patrona. Na sesjach trwały na ten temat wielogodzinne dyskusje, ale większość radnych skupionych w ŁPO wszystkie pomysły nazewnicze bez oporów przegłosowywała.

Zdarzały się przy tym pewne, delikatnie mówiąc, nazbyt pragmatyczne manipulacje, na przykład gdy ówczesny patron XXX Liceum Ogólnokształcącego Janek Krasicki zmienił się w księcia biskupa warmińskiego Ignacego Krasickiego. Przedziwną decyzją podjętą przez Radę Miejską było pozbawienie jednej z dłuższych łódzkich ulic patrona Stefana Przybyszewskiego, sekretarza komitetu obwodowego PPR, zamordowanego w 1943 roku przez hitlerowców, i nadanie jej jako nowego patrona: Stanisława Przybyszewskiego, dziś prawie zapomnianego wielce skandalizującego młodopolskiego pisarza, alkoholika i satanisty, który z Łodzią nie miał nigdy nic wspólnego. Może się wydawać dziwne, że taka postać nie przeszkodziła radnym w podjęciu uchwały o zmianie nazwy ulicy.

W kolejnych kadencjach łódzkiego samorządu zapał nazewniczy opadł, po roku 1998 nie powoływano już nawet komisji nazewniczej. Nie znaczy to jednak, że nie zdarzały się decyzje nadawania patronów placykom wykorzystywanym jako parkingi. Szczególnie kuriozalne było przemianowanie w piątej kadencji ulicy Spornej. Orędownikiem zmiany był ówczesny przewodniczący Rady, obecnie senator RP Maciej Grubski. Nie pomogły argumenty, że Sporna jest nazwą historyczną, używaną już w XIX wieku, że znajduje się przy niej znany szpital pediatryczny, że protestowali przeciwko zmianie nazwy dyrektor i personel szpitala oraz rodzice leczonych w nim dzieci. Dzięki tej decyzji Rada Miejska zafundowała łodzianom dziwoląg godny księgi Guinnessa. Jedna ulica ma trzy nazwy: od Źródłowej do ogródków działkowych jest Sporna, potem do ulicy Wojska Polskiego nosi nazwę błogosławionego Anastazego Pankiewicza, a od Wojska Polskiego do Zagajnikowej znów jest Sporna. Dodatkową ciekawostką jest zachowanie starej numeracji posesji z czasów, gdy Sporna była jedną ulicą. Jedyną konsekwencją tej sprawy było przyjęte w Radzie Miejskiej porozumienie w sprawie moratorium na zmiany nazw ulic, które od kilku lat jest przestrzegane.

Spośród interesujących radnych pierwszej kadencji warto przypomnieć Ryszarda W. z ŁPO, który wyróżniał się muszką w kolorze czerwonego wina. Zwracająca uwagę wytworna muszka podnosiła na sesjach standard elegancji. Pozostaje też w pamięci Kazimierz B., specjalizujący się w tym, że na sygnał od swych klubowych promotorów zgłaszał wnioski o zamknięcie dyskusji, co większość radnych przegłosowywała z ulgą.

Repliki i bon moty

Warte przypomnienia są także niektóre repliki wygłaszane w czasie obrad,. Pewnego razu radny Jacek C. na argument, że „całe społeczeństwo oczekuje i żąda" zmian

nazw ulic, z całą powagą zaproponował, aby patronem jakiejś niedużej uliczki uczynić księcia Bolesława Łysego zwanego Rogatką. W uzasadnieniu stwierdził, że ów książę był słabowity na umyśle, więc to będzie dobrze korespondowało z pracą komisji do spraw nazewniczych.

Błyskotliwą moim zdaniem repliką zabłysnął radny Andrzej T., gdy w czasie dyskusji o zajmującej się usługami pogrzebowymi spółce Klepsydra - której prezesem był inny radny Marek P. - na propozycję zgłoszenia się do firmy odpowiedział, że nie skorzysta, bo jeszcze zupełnie dobrze się czuje. Wyrafinowaną opinię wygłosił inny radny – Jerzy J., aktor z zawodu, który usłyszawszy propozycję zarządu miasta, że jego klubowy kolega z ŁPO, Ryszard M., również aktor, będzie zatrudniony w Wydziale Inżynierii Miejskiej, powiedział: „Popieram, bo aktor jest inżynierem dusz, więc inżynierii komunalnej się przyda i przynajmniej tej roli kolega M. na pewno nie położy".

Warto wreszcie wspomnieć o jednej z polemicznych replik radnego Włodzimierza R. Kiedy toczyła się burzliwa dyskusja na sesji, czy psy wyprowadzane na spacer muszą być w kagańcu i na smyczy, wprawił on w konsternację dyskutantów pytaniem: „A co zrobić z moim psem, który nie może się wysikać, gdy jest na smyczy?". Tego problemu Rada Miejska już nie podjęła się rozstrzygnąć.

Radni jak obwarzanek

Wracając we wspomnieniach do początków łódzkiego odrodzonego samorządu, pozwalam sobie przypomnieć warunki, w jakich toczyły się obrady. Na sesje zbieraliśmy się w dużej magistrackiej sali widowiskowej, ze sceną i ekranem kinowym, w której wcześniej odbywały się posiedzenia rad narodowych w okresie przed transformacją ustrojową. Około 300 ustawionych jak w kinie lub w teatrze krzeseł radni nie byli w stanie zapełnić, zwłaszcza że najczęściej w obradach uczestniczyło około 50 samorządowców. Radni zwykle zasiadali na obrzeżach i tworzyli malowniczy obwarzanek, to znaczy w środku sali było wiele pustego miejsca, a jedynie zajęte były krzesła na skraju każdego rzędu. Projekty uchwał oraz wszystkie potrzebne notatki i materiały radni trzymali na kolanach, a kiedy odkładali je na sąsiednie krzesło, to zwykle siedzenie się zamykało i wszystkie papiery lądowały na podłodze.

Dopiero po pewnym czasie sala została dostosowana do potrzeb 80-osobowej, a od 2002 roku o blisko połowę mniej liczebnej Rady Miejskiej na mocy znowelizowanej ustawy samorządowej. Liczenie głosów odbywało się „na piechotę", czynili to sekretarze obrad, nierzadko myląc się w rachunkach. O elektronicznym systemie liczenia głosów pewnie w pierwszej kadencji nikt nawet nie marzył. Tylne rzędy w sali obrad zajmowali dziennikarze i raczej niezbyt licznie przychodzący na sesje łodzianie.

Spontanicznie dokonał się podział miejsc między poszczególne kluby radnych. Patrząc od sceny, na której za masywnym stołem zasiadali przewodniczący Rady, z przodu, po prawicy – ZChN i na tej samej wysokości – jak przystało na partię współtworzącą rządzącą miastem koalicję, ale po lewicy – KPN. W środku

sali, po lewej stronie, zajmowali miejsca radni z SdRP, po prawej – bezpartyjni i Unia Demokratyczna. Z tyłu siedzieli liberałowie oraz reszta radnych z ZChN wraz ze swymi rozmaitymi aliantami. W zasadzie nikt z radnych formalnie nie był na stałe przypisany do swego miejsca, tak jak to jest w obecnej Radzie Miejskiej. Można było siadać dowolnie, ale myślę, że zajęcie miejsca w „nie swoim" rewirze wywołałoby zdziwienie, a może i krytyczne uwagi ze strony koleżanek i kolegów. Dlatego każdy pilnował przez całą kadencję „swego" fragmentu sali obrad.

Sztuka gadulstwa cechowała łódzką Radę Miejską już od pierwszej kadencji. Dyskusje na sesjach bywały nijakie i zażarte, problemowe i o niczym lub na tematy zastępcze. Zwłaszcza obecność kamery telewizyjnej skłaniała niektórych radnych do zabierania głosu. Ulubione były wypowiedzi *ad vocem*, polegające na natychmiastowym odniesieniu się do głosu przedmówcy, zwłaszcza jeśli zostało się przez niego wywołanym po nazwisku. W tego rodzaju wystąpieniach najwięcej było barwnych polemik, wycieczek osobistych, pouczeń i połajanek. Kolejne wystąpienia *ad vocem* brnęły w piętrowe dygresje i rozważania dość odległe od procedowanego przez Radę problemu.

Już w pierwszej kadencji radni odkryli, że można dużo mówić, ale niewiele powiedzieć, zwłaszcza jeśli się chce odwrócić uwagę od istoty dyskutowanej uchwały. Nie było rygorystycznego przestrzegania ograniczeń czasowych wystąpień, a ponieważ przewodniczący Rady i jego zastępcy, wszyscy z ŁPO, łagodnie traktowali swych partyjnych kolegów, a surowo napominali opozycję, zwłaszcza celowali w tym Zbigniew K. i Mieczysław M., więc bywało, że w czasie obrad iskrzyło. Bywało, że opinia publiczna, ale także sami radni, mało wytwornie określali takie sytuacje jako kabaret lub cyrk.

Desantowanie komisji

Swoistym „wynalazkiem" Rady Miejskiej pierwszej kadencji było pacyfikowanie niesubordynowanych komisji poprzez tzw. desant. Przykładem może być komisja kultury, do której akces zgłosiło 10 radnych, ale w posiedzeniach uczestniczyło zwykle siedmiu–ośmiu. To właśnie w tej komisji zdarzyło się, że w październiku 1992 roku radni wyrazili negatywną opinię o członku ZChN, jednym z wiceprzewodniczących Rady, w związku z jego kandydowaniem na fotel ministra kultury w rządzie Hanny Suchockiej. Nie dość, że komisja wyraziła opinię, ale jeszcze w dobrej wierze podała ją do publicznej wiadomości.

Za ten przejaw nadmiernej samodzielności komisja została „pokarana" desantem wypróbowanych i dyspozycyjnych radnych reprezentujących rządzące miastem ugrupowania polityczne. Do komisji zgłosiło swój akces siedmiu radnych z ZChN i KPN, aby uzyskać większość i nie dopuścić do wyrażania podobnych opinii. Na sesji Rady Miejskiej, w przyjętym stanowisku chrześcijańsko-narodowa koalicja oceniła opinie komisji kultury jako „prowokację o wyłącznie politycznym charakterze"

oraz jako „warcholstwo i przykład traktowania ciał społecznych jako parawanu dla prywaty".

Socjotechnika desantowania komisji w kolejnych kadencjach została twórczo rozwinięta i stosowana w praktyce, natomiast przyjmowania stanowisk potępiających działalność poszczególnych komisji Rada już się wystrzegała. A chodziło tylko o to, że komisja kultury wyraziła pogląd, iż Zbigniew K., wprawdzie zasłużony profesor uniwersytecki i specjalista od lodu i zlodowaceń, czyli glacjolog, może nie mieć jednak wystarczających kwalifikacji, by być ministrem kultury.

Międzynarodowe lekcje dyplomacji

Wracając pamięcią do początków łódzkiego samorządu, pozwalam sobie przypomnieć pewien epizod dotyczący współpracy międzynarodowej. Oto jesienią 1990 roku odbyły się Dni Stuttgartu w Łodzi, na które przyjechała delegacja tamtejszej Rady Miejskiej. Wyłączność na rozmowy ze stuttgartczykami zapewnił sobie zarząd miasta i była to protokolarna niezręczność, bowiem w składzie niemieckiej delegacji byli przedstawiciele wszystkich ugrupowań reprezentowanych w Radzie Miejskiej stolicy landu Nadrenia-Wirtembergia.

Prawdopodobnie na ową niezręczność zwrócili uwagę niemieccy partnerzy, jako przewodniczący klubu radnych SdRP zostałem bowiem włączony do oficjalnej delegacji łódzkiego samorządu na Dni Łodzi w Stuttgarcie w kwietniu 1991 roku. Nadburmistrz Manfred Rommel, syn feldmarszałka znanego z drugiej wojny światowej, jako dobrze wychowany dżentelmen i doświadczony polityk z partii chadeckiej (CDU) był wobec naszej delegacji bardzo uprzejmy i nieco protekcjonalny.

Prawdopodobnie powodem owego protekcyjnego dystansu były niedostatki protokolarne, jakimi grzeszyła nasza delegacja. Tak się bowiem dziwnie złożyło, że aż trzech spośród siedmiu członków delegacji aspirowało do odgrywania w niej czołowej roli i podejrzewam, że lubiący porządek Niemcy nijak nie mogli zrozumieć, dlaczego oddzielne upominki wręczają, wygłaszając niezależne oracje, wiceprezydent Janusz M., wiceprzewodniczący Rady Miejskiej Zbigniew K. i przewodniczący sejmiku Andrzej T., wszyscy radni z ŁPO. W programie wizyty nasi gospodarze zaznaczyli przy ich nazwiskach, że są z ugrupowania prezydenta Grzegorza Palki. A kiedy jeszcze na pierwszej oficjalnej kolacji pojawił się łódzki wojewoda Waldemar Bohdanowicz, także radny pierwszej kadencji, łódzkie spory kompetencyjne nabrały dodatkowych rumieńców i wprawiły naszych niemieckich gospodarzy w protokolarne zakłopotanie.

Samorządowcy ze Stuttgartu prowadzili rzeczową konwersację i słowiańska rozlewność w deklaracjach sympatii wyrażana przez niektórych członków łódzkiej delegacji nie robiła na nich większego wrażenia. A jeśli już trzeba było odpowiedzieć na przykład na dłuższy wywód o wielkiej pozytywnej roli politycznej Kościoła w Polsce, to jeden z zastępców nadburmistrza, profesor Bruckmann, dyplomatycznie oświadczył, że u nich też w okresie totalitaryzmu byli duchowni uprawiający propa-

gandę polityczną, ale on tego nie pochwala i skwapliwie podjął rozmowę na temat zalet win produkowanych w okolicach Stuttgartu. Zresztą naprawdę znakomitych. Wspominam o tym epizodzie niemieckim, bo wtedy łódzcy samorządowcy pierwszej kadencji w praktyce, czasem niezbyt umiejętnie, poznawali bowiem reguły partnerskich kontaktów międzynarodowych.

Z samorządu do parlamentu

Jak już wspomniałem na początku, mozolnie uczyliśmy się samorządności, a niektórzy radni swe doświadczenia z Rady Miejskiej dyskontowali w wyborach parlamentarnych. Z grona łódzkich radnych kolejnych kadencji wybranych zostało, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, siedmiu posłów oraz pięciu senatorów. Członkowie Rady Miejskiej zostawali prezydentami i wiceprezydentami Łodzi, marszałkami sejmiku wojewódzkiego, wiceministrami, pełnili inne ważne funkcje publiczne. Można więc powiedzieć, że samorząd jest dobrą szkołą wchodzenia do służby społecznej i że tak jak w każdej szkole obok prymusów zdarzają się i gorsi uczniowie, którzy również stanowią o atmosferze i kolorycie placówki edukacyjnej.

Oni też zasługują na wspomnienie, ale nie by wytykać im imiennie rozmaite potknięcia i niezręczności, dlatego zamiast ujawniania personaliów pozwoliłem sobie posłużyć się pierwszymi literami nazwiska. Chodzi przecież o to, aby przypomnieć, jak było, a nie by rozdawać laurki i nagany różnym uczestnikom naszej samorządowej historii, wśród których są i tacy, co odeszli już na zawsze. Po tamtych latach pozostały w archiwum protokoły z obrad Rady Miejskiej, zdjęcia, pożółkłe gazety, w których zamieszczano informacje o łódzkim samorządzie oraz... subiektywne wspomnienia uczestników.

Grzegorz Matuszak
prof. dr hab., socjolog, radny pięciu kadencji RM

Kultura

Magdalena Moskwa w Muzeum Sztuki
Nomany z relikwiarza
str. 77

Malarstwo Włodzimierza Finke
Świat udręczony
Gustaw Romanowski
str. 83

Historia Mariana Minicha
Stworzył Nowoczesne Muzeum
Błażej Filanowski
str. 88

Magdalena Moskwa w Muzeum Sztuki

Nomany z relikwiarza

Rok 2015 jest wyjątkowo ważnym w karierze Magdaleny Moskwy, jednej z najbardziej rozpoznawalnych twórczyń wywodzących się z łódzkiego środowiska plastyków. 26 kwietnia została jej wręczona nagroda „Gwarancje Kultury" za „twórcze rozwinięcie malarskiego języka i odważne eksplorowanie tematu cielesności"[1]. Tym samym dołączyła ona do grona uhonorowanych w ten sposób twórców, do którego należą także m.in. Zbigniew Libera, Wilhelm Sasnal, Artur Żmijewski czy Monika Sosnowska.

Jest to prestiżowe wyróżnienie przyznawane od dziesięciu lat przez TVP Kultura dla najciekawszych osobowości artystycznych i zjawisk kulturalnych z roku poprzedniego, a ten faktycznie był dla Magdaleny Moskwy niezwykle owocny. Jej prace prezentowane były zarówno na wystawach zbiorowych i indywidualnych organizowanych m.in. przez Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, „Zachętę", Galerię Sztuki „Wozownia" w Toruniu czy Miejską Galerię Sztuki w Łodzi. To jednak tegoroczną ekspozycję przygotowaną przez Muzeum Sztuki w Łodzi nazwać można zwieńczeniem jej bieżącej pracy twórczej. Jest to bowiem pierwsza retrospektywa jej sztuki, która w tak obszerny sposób pokazuje różne aspekty uprawianej przez nią twórczości – ogniskujące się wokół stałego motywu jej dzieł jakim jest ludzkie ciało, wraz z jego fizjologią, kruchością i całą urodą.

Na trwającej od początku marca do połowy maja wystawie można było obejrzeć zarówno jej najwcześniejsze obrazy, tworzone jeszcze podczas studiów w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi (obecnie Akademii Sztuk Pięknych), a także realizacje z ostatnich lat, mające już charakter rzeźbiarskich obiektów przestrzennych czy instalacji. Aranżacja ekspozycji pomogła zauważyć ewolucję w warsztacie artystycznym Magdaleny Moskwy a jednocześnie zaakcentować konsekwencje wynikłe z wybranej tematyki i drążonego przez lata zagadnienia jakim jest kobiecy portret i ludzkie ciało.

Tytułowe „Nomany" – zagadkowe kobiety są głównymi bohaterkami dzieł artystki, a zarazem znakiem rozpoznawczym całej jej twórczości. Kim są? Odpowiedź na to pytanie jest nieuchwytna, bowiem tworzone przez malarkę portrety to nie wizerunki konkretnych postaci, a raczej wypadkowa spotykanych na co dzień przez

artystkę ludzi... Ich oblicza stają się zatem sumą wybranych przez nią kobiecych cech, które stają się punktem wyjścia do przeprowadzonej w symbolicznym języku analizy ich cielesności. „Nomany" występują już w obrazach z lat 90., pojawiając się w zagadkowym anturażu wzorzystych draperii i wśród przedstawień aniołów. Na najstarszych pracach malowane są jeszcze szorstką linią i płaską plamą barwną, przez co ich uproszczone wizerunki kojarzyć się mogą z malarstwem prymitywistów. W późniejszych realizacjach kobiecość i fizjonomia postaci jest silniej zaakcentowana, zwykle jednak sprowadzona do pewnego symbolu, jakiejś przerysowanej cechy lub gestu.

Bohaterki obrazów Moskwy dalekie są od współczesnego ideału urody. Przypominają raczej oblicza efemerycznych świętych z gotyckich ołtarzy, ale ich odrealnione wizerunki nie pozbawione są elementów brzydoty. Niekiedy wręcz brutalnie zaakcentowane mankamenty urody (gruba szyja, nieproporcjonalna głowa, zbyt wysokie czoło) kontrastują z subtelnością kolorów, elegancją towarzyszącej im roślinności, czy misternie opracowanymi koronkami i haftami strojów. Pomimo różnorodności postaci, wydaje się, że łączy je coś w rodzaju wspólnego pokrewieństwa, a nawet rys

podobieństwa do wizerunku samej artystki. Jest to jednak element mało uchwytny. Ich zagadkowość podkreśla dodatkowo dziwne miano, nadane im przez malarkę. Imię „Nomana" przez wzgląd na swoją niejednoznaczność przylgnęło do malowanych przez nią niepokojących portretów[2]. Tą nazwą opisywany jest niemal cały zbiór jej prac a kolejne wystawy jej twórczości najczęściej również są organizowane pod tym mianem, uzupełnione jedynie numerem dodawanym zgodnie z chronologią ich realizacji.

Tajemnicze „Nomany" stały się znakiem rozpoznawczym twórczości Magdaleny Moskwy. Nie tylko z powodu kryjącej się w tych portretach zagadki ale przede wszystkim poprzez mnogość treści i odniesień do dawnej sztuki, która objawia się w obrazach Moskwy. Te cechy analizują krytycy sztuki. Maria Morzuch twarze z portretów porównuje w swej bezczasowości i zastygłej mimice to polskich portretów trumiennych[3] a Wisława Jordan widzi w nich kontynuację tradycji portretów sarmackich, przez wzgląd na ich indywidualizm, bogaty detal oraz subtelne oddanie rysu charakterologicznego postaci.

str. 3 | M. Moskwa, *Bez tytułu*, nr 53, 2009.

„Nomany" stały się również głównymi bohaterkami wystawy przygotowanej przez Muzeum Sztuki. W sterylnej białej przestrzeni została zaprezentowana cała różnorodność ich typów, których drogę rozwoju najlepiej określają słowa samej artystki: „Obserwując moje obrazy, począwszy od wczesnych, aż do obecnych, można zauważyć ciągłe zbliżanie się do człowieka, to jest jakby najazd kamery: od planu najbardziej ogólnego, czyli kadru obejmującego całą postać i jej otoczenie, poprzez ujęcie do pasa albo od pasa, fragmenty ciała, wnętrzności, aż do zbliżeń i powiększeń powierzchni skóry i jej otworów"[4]. Kiedy zaś objęło się ekspozycję jednym spojrzeniem – napotykającym nie tylko na portrety, ale również obiekty rzeźbiarskie ustawione lub zawieszone w sąsiedztwie obrazów – można było odkryć, że to nie w prezentacji zagadkowości „Noman" kryje się główny cel artystki, ale w przedstawieniu ciała kobiecego w ogóle. Choć na ekspozycji zostały zaprezentowane również wizerunki męskie jak *Portret ojca* z 2003 r. czy niezwykle intrygujący wizerunek Chrystusa z ukwieconą koroną cierniową z 1994 r.

Nawet wówczas gdy przyglądamy się jej realizacjom o charakterze bardziej przestrzennym, które artystka zaczęła tworzyć po 2004 r. zastępując płótno i olej deską pokrytą reliefem, intuicyjnie wyczuwamy, że one również przedstawiają kobiece ciało. Mięsiste w swej materii obrazy prezentują fragmenty ludzkiego organizmu, które są przestrzenią pośrednią pomiędzy jego częścią zewnętrzną a wewnętrzną. To symboliczne utożsamienie obrazu z ludzką substancją trafnie określiła Lena Wicherkiewicz pisząc, iż Magdalena Moskwa „maluje już nie obrazy ciała, ale *ciało obrazu*"[5]. Pomimo faktu, że nie posiada ono żadnych cech umożliwiających określenie jego płci, to jednak jego forma cały czas zbliża nas w stronę estetyki kobiecej. Delikatna, bladoróżowa skóra, przez którą przeświturje siatka jasnoniebieskich żyłek, połyskujące nabłonki, szklące się wnętrza odsłoniętych tkanek – to wszystko sprawia, że patrząc na prace mamy wrażenie oglądania niezwykle wysublimowanych dekoracji relikwiarzowych.

Podobne środki zostały użyte przez artystkę w zaprezentowanych na wystawie obrazach. Dominują w nich bowiem cieliste kolory zwiewnych, delikatnie marszczonych strojów, które zlewają się z bladą skórą dłoni i twarzy, rozświetlane przez lekko opalizujące, wykonane z miniatorską precyzją koronki rękawów czy kołnierzy. Kobietom towarzyszą kwiaty o pastelowych barwach i secesyjnej linii lub rozłożone dookoła nich – niczym wota na obrazach z kościelnych ołtarzy – bolesne skrawki ludzkiego wnętrza: ukryta za szybką mała nerka, zawinięte niczym sznur pereł jelito, czy oprawione filigranem, błyszczące kamienie – zastygłe krople krwi. Wszystko jakby zatrzymane w czasie i wyrzucone poza dostępny nam wymiar.

Artystka nie zatrzymuje się na sferze zewnętrznej ciała, które jest dla niej – jak podkreślała wielokrotnie w swych wypowiedziach – jedynie puszką dla ducha, wspomnianym już relikwiarzem. Co więcej: tę kobiecą kruchość i subtelność konfrontuje z niekoniecznie piękną, czasem wręcz brutalnie odsłanianą fizjologią zadrapań szyi, otarć nadgarstków czy krwawiących dłoni. I choć niejednokrotnie w pracach

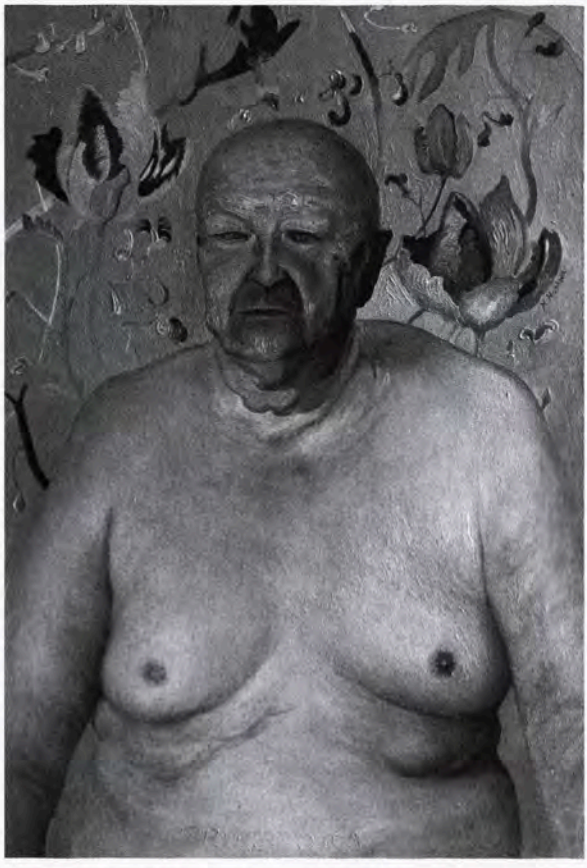

Magdaleny Moskwy widzimy ciało skrzywdzone i cierpiące, to nie znajdziemy tutaj obsceniczności, czy prowokacji, tak typowej dla sztuki krytycznej czy feministycznej, które równie często odwołują się do cielesności kobiet.

Szeroko zaprezentowany przegląd twórczości Magdaleny Moskwę z ostatnich dwudziestu lat sprawił, że przygotowana przez Muzeum Sztuki wystawa stała się wyczerpującą opowieścią o jej sztuce. Pomimo faktu, że prace artystki powinny być znane łódzkiej publiczności (jak choćby z ubiegłorocznej wystawy Rzeczywistość obrazu przygotowanej przez Miejską Galerię Sztuki w Łodzi, czy zaprezentowanej w ms^2 *Korespondencje. Sztuka nowoczesna i uniwersalizm*), to możliwość całościowego spojrzenia na jej twórczość okazała się cenna. Oprócz bowiem dzieł najbardziej znanych pojawiły się realizacje rzadziej prezentowane, a dające pełniejszy obraz artystycznych poszukiwań. Takim obiektem była m.in. instalacja (zaprezentowana po raz pierwszy w 2011 r. w Galerii El w Elblągu) przedstawiająca długi stół, pokryty białym płótnem i leżącymi na nim przyborami artystki. Narzędzia przygotowane do twórczej pracy (choć skojarzenie z chirurgiczną operacją jest tutaj silniejsze) przypominają nie

str. 5 M. Moskwa, *Portret ojca*, 2003.

tylko o kilkuletnim epizodzie pracy malarki w pracowni konserwatorskiej Muzeum Sztuki w Łodzi, ale również są dobitnym dowodem na to, jak dużą wagę do warsztatu przykłada sama artystka. Technika, we współczesnym malarstwie często jest kwestią drugo – lub czasem nawet trzeciorzędową. Jednak u Magdaleny Moskwy wypracowany przez lata, perfekcyjny styl malarski uwzględniający laserunki, werniksy, srebrzenia staje się jej znakiem rozpoznawczym i istotnym środkiem artystycznego wyrazu. Prezentacja twórczości tej artystki w Muzeum Sztuki jest zatem nie tylko wyróżnieniem jej twórczości, ale również dowodem na to, że w dobie sztuki multimedialnej i wirtualnej malarstwo wykorzystujące warsztat i spuściznę dawnych mistrzów może mieć sens i walor aktualności.

Paulina Dzwonkowska
krytyczka i historyczka sztuki

Magda Moskwa. Nomana
Muzeum Sztuki w Łodzi
ms^2,
6 marca - 16 maja 2015

Przypisy:

1. „Dziennik Łódzki", nr 97, 27 IV 2015, s. 17.
2. W. Jordan, *Nomany Magdaleny Moskwy*, „Tygiel Kultury", nr 7/9 (2004), s. 132.
3. M. Morzuch, Wietrzna wieczność, http://www.magdamoskwa.art.pl/pdf/tekst1.pdf (dostęp z dn. 16.05.2015).
4. L. Wicherkiewicz, *Moje malarstwo jest próbą zaklinania ciała...* Rozmowa z Magdaleną Moskwą, http://www.magdamoskwa.art.pl/pdf/tekst12.pdf (dostęp z dn. 16.05.2015 r.).
5. L. Wicherkiewicz, *Moc wizerunku*, „EXIT. Nowa sztuka w Polsce", nr 3 (2012), s. 6212.

Fot. archiwum Muzeum Sztuki w Łodzi

ul. Zachodnia, róg Legionów

ul. Zachodnia, róg Więckowskiego, mural MORIKA
Fot. Marcin Bałczewski

ul. Zachodnia 79

ul. Zachodnia, róg Więckowskiego

ul. Zachodnia, róg Podrzecznej

ul. Zachodnia, odsłonięte oficyny po wyburzonych pierzejach

ul. Zachodnia 54, mural Gregora Gąsiora

ul. Zachodnia 54, Akademicki Ośrodek Inicjatyw Artystycznych

ul. Zachodnia 47

ul. Zachodnia 16

Plac Piastowski, dawny plac Bazarowy

Park Staromiejski

Ulica Rybna 11

Rzeźba nieopodal Rynku Manufaktury

Ulica Zachodnia

Pałac Izraela Poznańskiego, obecnie gmach Muzeum Miasta Łodzi

Brama Manufaktury, widok od ulicy Ogrodowej

Malarstwo Włodzimierza Finkego

Świat udręczony

Pod skromnym, tytułem *Malarstwo & Ceramika* we wszystkich salach Galerii Willa trwała wiosną 2015 roku przez półtora miesiąca wystawa sztuki niezwykle charakterystycznej. Jej twórca Włodzimierz Finke, znany wcześniej przede wszystkim jako rzeźbiarz, autor sarkastycznych figur *Bohatera narodowego, Robotnika antycznego* i innych prac będących swoistym rozliczeniowym dialogiem artysty z mitem „sztuki zaangażowanej", tym razem postanowił pokazać swój znaczny dorobek malarski powstały w ciągu ostatnich kilku lat.

Finke jest łodzianinem, tu mieszka i pracuje, ale wystaw w swoim rodzinnym mieście miał dotąd niewiele. Od ukończenia studiów w 1970 roku pokazywał przede wszystkim rzeźby, ale nie w Łodzi. Wprawdzie w 1973 roku bywalcy Klubu Plastyka mogli zobaczyć niewielką rzeźbiarską prezentację prac tego artysty, ale przez następnych kilkanaście lat Finke wystawiał tylko w Niemczech, gdzie mieszkał i pracował. W 1977 roku jego rzeźby i rysunki złożyły się na wystawę towarzyszącą Dokumenta 6 w Kassel, jednego z najważniejszych europejskich przeglądów sztuki współczesnej. W Kassel prezentował swoje rzeźby jeszcze kilkakrotnie, ostatni raz w 1992 roku. Potem wrócił do kraju.

W 1997 roku osiągnął duży sukces, zdobywając jedną z głównych nagród na organizowanym przez niemieckie ministerstwo kultury konkursie *Marketing für Deutschland*. Efektem tego była wystawa w Teisendorf. W 1998 roku zaprojektował rzeźbiarską instalację *Strącenie potępionych*, inspirowaną słynnym obrazem Rubensa pod tym samym tytułem. Wprawdzie pomysł zrealizowania tej instalacji na placu św. Piotra w Rzymie nie doszedł do skutku z powodu braku wystarczających środków, ale wersję tej instalacji w zmniejszonej skali pokazał artysta w 1999 roku w Muzeum Kinematografii.

Przygotowana przez Miejską Galerię Sztuki wystawa artysty była największą jak dotąd prezentacją twórczości Finkego jako w pełni autonomicznego malarza. Bo dziś Włodzimierz Finke, choć nadal z powodzeniem uprawia sztukę rzeźbiarską, jest chyba przede wszystkim malarzem. Przecież studiował głównie malarstwo i to pod kierunkiem nieprzeciętnych polskich artystów. W latach 60. jako student krakowskiej

ASP znalazł się w pracowni Jerzego Nowosielskiego, a potem w warszawskiej ASP pozostawał pod opieką pedagogiczną Stefana Gierowskiego. To dwaj wybitni polscy malarze, choć w swojej sztuce całkowicie różni. Nie wiem więc, jaki wpływ ci pedagodzy będący twórczymi autorytetami wywarli na kształt artystyczny sztuki Finkego. Wydaje się, że dali mu tylko zachętę do samodzielnych poszukiwań własnej idei, niż byli w stanie narzucić jakikolwiek wzór kreacyjny.

Dziś jedną z najbardziej narzucających się cech malarstwa Finkego jest silna ekspresyjna figuratywność wpleciona w literackie odniesienia. Wbrew jednak tym odniesieniom malarz nie przeładowuje bynajmniej literackimi aluzjami swoich obrazów. Ich forma skoncentrowana jest na wywołaniu silnej reakcji widza najczęściej poprzez centralną figurę kompozycji – wyzywająco zdeformowaną postać ludzką, nierzadko uchwyconą przez artystę w groteskowo rozpaczliwym geście. Finke nawiązuje w swoich obrazach do pamięci zbiorowej. Tytuły obrazów: *Ukrzesłowiony Nicolo Machiavelli, Książę, Maja naga wg Goyi*, cykle: *Połamane, Drabina Jakubowa i Panny* to przeważnie oczywiste tropy kulturowe, którymi posługiwało się już wielu artystów. Finke rozszyfrowuje je jednak na własny głęboko ekspresywny sposób. W *Połamanych* motyw okaleczonego krzesła, tego najbardziej „oswojonego" sprzętu towarzyszącego człowiekowi na co dzień, przewija się przez kolejne obrazy cyklu jako symbol erupcji, katastrofy, gniewu, ślepej destrukcji, a może nawet osobliwej ucieczki przed ładem, stabilizacją, porządkiem. I choć są to tak naprawdę kompozycje oparte na elementarnych figurach geometrycznych – liniach prostych, rombach, prostokątach,

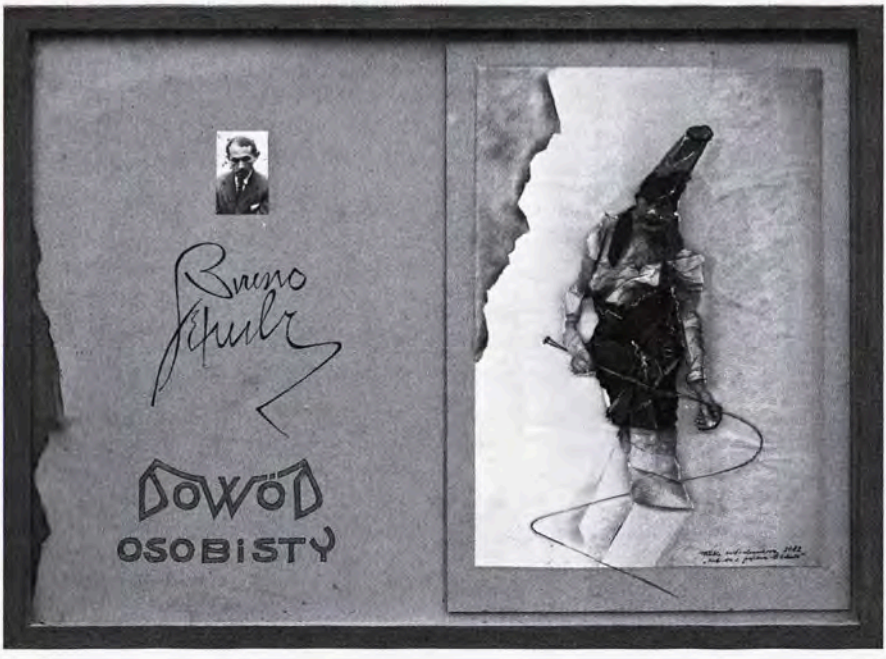

Dowód Osobisty Brunona Schulza, 2014, technika mieszana, papier, 50 x 70 cm

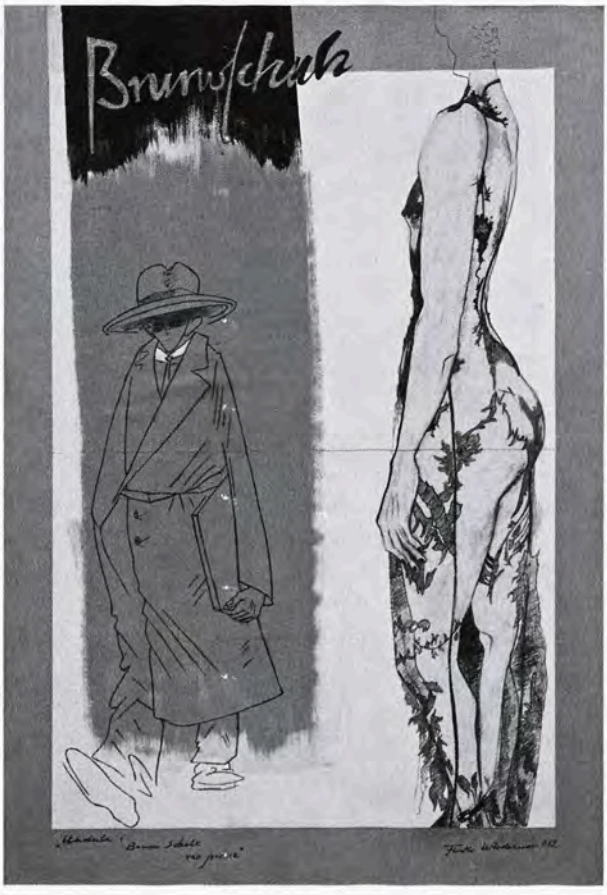

trapezach itp. – to przecież nałożona na te figury mięsista materia malarska czyni z tych obrazów dramatyczną opowieść o nieustannym zmaganiu się przeciwności.

W cyklach *Drabina Jakubowa* i *Panny* ten geometryzm zdecydowanie zanika. Obrazy sprowadzone zostają do symbolicznej sylwety pnącej się po drabinie postaci. Po obsesyjnie powtarzającym się na kolejnych obrazach tego cyklu atrybucie garderoby – obuwiu na wysokich obcasach – wiadomo, że jest to postać kobiety, którą w dramatycznej, drapieżnej formie wizja artystyczna Finkego wywyższa i jednocześnie degraduje.

Charakterystyczną cechą tego malarstwa jest emanujące z niego wrażenie pośpiechu, biegu, tymczasowości. Wydaje się, że artysta goni czas, zmaga się z nim, porzuca wyeksploatowane tematy, aby po jakimś czasie do nich powracać, jakby nie mogąc pogodzić się z nieuchronnym wyczerpaniem wizji osnutych wokół literackich inspiracji. Tak jest chyba z fascynacją zjawiskiem, jakim jest w naszej kulturze Bruno Schulz, jeden z najważniejszych polskich pisarzy XX wieku, ale też niezwykły

str. 3 *Undula i Bruno Schulz raz jeszcze*, 2012, technika mieszana, papier, tektura, 125 x 80

rysownik, grafik, malarz i osobowość. Finke odkrył Schulza dla siebie w początkach XXI wieku. Goniony potrzebą utrwalania pamięci o tym zamordowanym w 1942 roku najbardziej wyjątkowym polskim artyście międzywojnia, stworzył Finke cykl ceramicznych płaskorzeźb inspirowanych rysunkami Schulza. To jakby trójwymiarowe repliki tych rysunków wykonane ze szkliwionej kamionki, połyskliwe, nasycone kolorem. Artysta wykonał kilkadziesiąt tych płaskorzeźb, traktując je nie tyle jako hołd złożony Brunonowi Schulzowi, co raczej jako artystyczny akt stworzenia nowej pamięci o istniejącym tylko w swoich ocalonych z pożogi wojny dziełach autorze *Sklepów cynamonowych, Sanatorium pod klepsydrą* i *Xięgi Bałwochwalczej*.

Ten akt „ożywiania" Schulza poprzez wprowadzenie śladów jego wyobraźni do sztuki współczesnej zawładnął wyobraźnią łodzianina Finkego chyba nieprzypadkowo. W Łodzi mieszkali przed wojną bliscy przyjaciele Schulza, Maria Chazen, adresatka bogatej korespondencji pisarza, oraz Stanisław Weingarten, posiadacz jego licznych rysunków, ekslibrysów i rękopisów. Weingarten zginął w Litzmannstadt Ghetto, a jego zbiory sztuki i książki zostały rozkradzione. Z kolei otrzymywane od Schulza listy Maria Chazen tuż po wybuchu wojny zakopała w jednym z podwórek przy al. Kościuszki, licząc, że je w ten sposób ocali. W 1966 roku pracownicy Muzeum Archeologicznego w Łodzi próbowali je odnaleźć na prośbę pisarza Jerzego Ficowskiego. Niestety, bezskutecznie. Prawdopodobnie zostały już wcześniej zniszczone podczas przekopywania linii energetycznej.

Włodzimierz Finke swoje Schulzowskie ceramiki pokazał najpierw w 2005 roku w Muzeum Kinematografii, a rok później na dużej wystawie w Muzeum Literatury w Warszawie, którą zatytułował *Dialog – rzecz o Brunonie Schulzu*. Cały ten cykl można było zobaczyć teraz na wystawie w Galerii Willa.

Ale temat Schulzowski bynajmniej nie skończył się w twórczych planach artysty. W roku 2012 wrócił on ponownie, tym razem w obrazach. To cykl kompozycji, w których najlepiej ujawnił się wybitny rysunkowy talent Finkego. Powstały rysunkowe wariacje na wiadomy temat, łączące w sobie błyskotliwy pastisz – jak

Władysław Panas i Bruno Schulz i Witkacy, 2013, technika mieszana, papier, 115x50 cm

gdyby wyrywany fragmentami z graficznego dorobku Brunona Schulza – z plakatową, krzyczącą formą.

Pokazane na obecnej wystawie najnowsze prace Finkego, inspirowane, jak widać, niewygasłą wciąż fascynacją dziełem i życiorysem innego artysty, w efektowny sposób humanizują przestrzeń sztuki, dziś często sztandarowo bezosobowej i wypreparowanej z wszelkich emocji. Finke jest zaś artystą, dla którego emocje mają zapewne znaczenie decydujące. Dlatego jego ostatnie prace są w podtekstach gniewne, oskarżające świat o nieczułość, o łatwość zapominania i przysłowiowe przechodzenie na drugą stronę ulicy, kiedy innemu dzieje się krzywda. Upominając się o Schulza, Finke upomina się o coś głębszego – o pamięć społeczną.

Gustaw Romanowski

Włodzimierz Finke, *Malarstwo & Ceramika*, Miejska Galeria Sztuki w Łodzi – Galeria Willa, 17.04–07.06.2015.

Fot. archwum Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

Historia Mariana Minicha

Stworzył nowoczesne muzeum

Marian Minich był pierwszym dyrektorem Muzeum Sztuki w Łodzi. W czasie swojej kadencji musiał zmierzyć się z wyzwaniami kształtowania młodej instytucji, wkrótce potem ze spustoszeniami jakie przyniosła druga wojna światowa, a wreszcie z odrzucającą sztukę awangardową doktryną socrealizmu. Upór, przekonanie o słuszności swojej wizji i konsekwencja pozwoliły mu mimo tylu problemów stworzyć podstawy instytucji, której międzynarodową rangę budował jego następca, Ryszard Stanisławski. Postać i dokonania Mariana Minicha mają szansę stać się lepiej znane dzięki wydanej przez Fundację Instytut Książka i Prasa oraz Atlas Sztuki publikacji zawierającej notatki, listy i wspomnienia dyrektora i jego córki Agnieszki Minich-Scholz, a także dzięki niedawno wydanemu I tomowi monografii Muzeum Sztuki w Łodzi.

Marian Minich – pod wiatr – tytuł, który wspomnieniom o swoim ojcu nadała Agnieszka Minich-Scholz, można interpretować jako metaforę osobowości człowieka nieugiętego, nieskorumpowanego, trzymającego się zasad mimo przeciwności, ale też wyrozumiałego i wrażliwego, w głębi duszy romantyka. Obraz ten wyłania się nie tylko ze wspomnień samej autorki – które sięgają początku drugiej wojny światowej – ale też ze spisanych przez nią rodzinnych historii oraz opowieści dotyczących młodości Mariana Minicha. Dzięki temu zyskujemy szeroki obraz rzeczywistości, która go ukształtowała oraz którą on sam chciał kształtować wokół siebie. Wspomnienia ze swojej dyrektury zawarł w tekście Szalona galeria, będącym bogatym źródłem informacji o tym, jak powstawało i kształtowało się Muzeum Sztuki: na temat odbiorców, zwierzchników i artystów zainteresowanych instytucją, w tym Władysława Strzemińskiego, Katarzyny Kobro, Karola Hillera czy Jankiela Adlera. Opublikowany po raz pierwszy w 1960 roku tekst podlegał cenzurze, co w wielu sprawach wymagało od autora ostrożności i zręczności w wybieraniu i opisywaniu wydarzeń.

Agnieszka Minich-Scholz starała się uzupełnić i osadzić w szerszym kontekście wspomnienia ojca i przedstawić własną perspektywę. Dzięki temu Marian Minich – pod wiatr staje się po przeczytaniu *Szalonej galerii* ciekawym komentarzem, odsłaniającym kulisy i odkrywającym nowe wątki historii nie tylko samego bohatera, ale też ludzi, z którymi miał kontakt. Kulisy kadencji Mariana Minicha odsłania też najnowsze, liczące ponad 800 stron wydawnictwo Muzeum Sztuki w Łodzi – pierwszy tom jego monografii. Zawarte w niej teksty problemowe, opracowane przez pracowników Muzeum i niezwiązanych z nim badaczy sztuki, składają się na największe jak do tej pory opracowanie historii tej instytucji.

Na trzech frontach

Marian Minich przyjechał do Łodzi ze Lwowa i od tego momentu zaczyna się właściwa akcja *Szalonej galerii*. Rodzinna historia opracowana przez Agnieszkę Minich-Scholz pozwala jednak prześledzić początki życiowej drogi przyszłego dyrektora, którą wiązał z wojskiem, ucząc się w szkole oficerskiej w Troppau, gdzie zastała go wojna. „Wybuch I wojny światowej był końcem epoki *fin de siècle'u*. Dla Mariana i jego rodziny skończyło się życie w ich prawie idealnym świecie, w którym czas spędzano na spacerach, w kurortach, na rowerowych wycieczkach, podwieczorkach i konwersacjach, a także wyjazdach do teatrów, na koncerty, wystawy malarstwa i po stroje do Wiednia" – komentuje Agnieszka Minich-Scholz. Minich w swoim życiu doświadczył wielu kryzysowych i skrajnych sytuacji – jak walki w okopach pierwszej wojny światowej, starcia z bolszewikami w 1920 roku, odwrót w czasie kampanii wrześniowej, wydostanie się z Lwowa zajętego przez Armię Czerwoną i uwięzienie wraz z rodziną w tymczasowym obozie w okupowanej Łodzi. Jego życie przypadło na jeden z najbardziej burzliwych okresów w dziejach Europy.

Wróćmy jednak do 1920 roku, kiedy to rozpoczął dalszą naukę. Po kilku latach studiowania chemii zdecydował się podjąć studia z historii sztuki na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Specjalizacja ta w dłuższej perspektywie nie przyniosła mu jednak szans na spokojną intelektualną pracę. W 1932 roku Minich obronił doktorat, ale jego kariera załamała się, gdy zlikwidowano jego macierzystą Katedrę Historii Sztuki Nowożytnej. Zmusiło go to niejako do poszukiwań pracy poza Lwowem i aplikowania w ramach konkursu na kierownika niedawno powstałego Muzeum Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów w Łodzi. Obejmując to stanowisko, musiał zmierzyć się z wieloma wyzwaniami, z których najbardziej fascynująca była kolekcja sztuki awangardowej grupy „a.r.", od 1931 roku prezentowana przez Przecława Smolika, wielce zasłużonego dla łódzkiej kultury urzędnika i samorządowca. Warto w tym miejscu uświadomić, że samo określenie artystycznego ruchu terminem awangarda pochodzi z terminologii wojskowej i określa odziały na samym czele nacierającej armii. Radykalna sztuka zaangażowanych politycznie artystów wzbudzała wówczas ogromne kontrowersje. Minich musiał odpowiadać na oczekiwania środowisk artystycznych

(zarówno te awangardowe, jak i konserwatywne były często wobec siebie bardzo krytycznie nastawione), upowszechniać nową sztukę i budować relacje z władzami.

Szalona galeria

Tytułowa „szalona galeria" ze wspomnień Minicha to właśnie Muzeum Historii i Sztuki, które dopiero po wojnie zyska swoją dzisiejszą nazwę: Muzeum Sztuki. To on do tej zmiany doprowadzi, a będzie to nie tylko symboliczna specjalizacja, ale autentyczna przemiana. „Najistotniejszym efektem pracy Mariana Minicha stało się wyprofilowanie placówki na muzeum wyłącznie sztuki. Minich docenił znaczenie Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej i zauważył, że instytucja wymaga jasnego ukierunkowania oraz reorganizacji" – zaważa Paulina Kurc-Maj w artykule poświęconym początkom Muzeum Sztuki w I tomie monografii. Nowy szef w 1935 roku zastał muzeum z trzema pracownikami. Zbiory oparte były na donacji nestora krakowskiej rodziny Bartoszewiczów, w której znajdowały się zarówno znaczące dzieła, jak i mało wartościowe przykłady sztuki nowożytnej i XIX wieku oraz archiwalia, listy, starodruki czy pamiątki rodzinne. Zmarły przed otwarciem muzeum Kazimierz Bartoszewicz życzył sobie, poza nazwaniem nowego muzeum jego imieniem i zatrudnieniem go w roli kustosza, bezwarunkowego utrzymywania i prezentowania zbiorów w ramach jednej spójnej kolekcji.

Marian Minich nie dotrzymał tej umowy. Zdecydował się na radykalną inwentaryzację i oddanie biblioteki oraz wartościowych dokumentów do innych instytucji, tak aby ukierunkować muzeum wyłącznie na sztukę. Kolejnym krokiem było sprofesjonalizowanie placówki oraz wzmocnienie i rozwinięcie kolekcji. Minich, podobnie jak Smolik, utrzymywał relacje z artystą Władysławem Strzemińskim, inicjatorem powstania kolekcji sztuki awangardowej, oraz z rzeźbiarką Katarzyną Kobro. Dzięki temu muzeum zyskiwało kolejne prace międzynarodowej elity awangardy artystycznej. Dyrektor prowadził też odważną politykę zakupów. W *Szalonej galerii* przeczytać możemy szereg relacji ze spotkań z łódzkimi, warszawskimi i krakowskimi artystami, z którymi widywał się zarówno służbowo, jak i prywatnie. W łódzkim środowisku Minich poświęca dużo uwagi Karolowi Hillerowi, z którym łączyła go przyjaźń i wielogodzinne dyskusje o sztuce. Wyłania się z tych opowieści obraz opozycji między Hillerem i „Strzemińskimi". Stosunek Minicha do Kobro i Strzemińskiego jest tu szczególnie interesujący. Cenił ich i starał się utrzymywać z nimi poprawne relacje, w tekście przewijają się jednak krytyczne wobec nich uwagi i delikatne złośliwości. Łódzcy członkowie grupy „a.r." chcieli bowiem mieć większy wpływ na Muzeum, a Minich ogromnie cenił sobie autonomię. To między innymi z jego inicjatywy zakupione zostały prace wybitnego malarza Jankiela Adlera, pochodzącego z tradycyjnej żydowskiej rodziny, mimo że był on outsiderem środowiska artystycznego. Ale najdroższym zakupem, którego w krótkiej przedwojennej kadencji dokonał Minich, było nabycie XIX-wiecznego arcydzieła – *Portretu matki* pędzla Henryka Rodakowskiego. Nagradzany na salonach

obraz został zakupiony w październiku 1937 roku od syna artysty za ogromną na owe czasy kwotę 20 000 złotych, co stało się pretekstem do oskarżeń o zbytnią rozrzutność w wydawaniu publicznych pieniędzy. W ostatnich latach przed wojną na liście zakupów muzeum dominowały dzieła sztuki nowoczesnej.

We wrześniu 1939 roku Minich został powołany do wojska, a jego odczucia z tego okresu obrazują dzienniki. Pisane krótkimi, dosadnymi zdaniami, utrzymane w szybkim tempie, opisują wojnę błyskawiczną z perspektywy cofającej się armii. Potem przyszły ponure czasy okupacji kraju przez dwa totalitarne reżimy. Przedwojenny świat zniknął, wielu artystów (w tym Karol Hiller) nie przeżyło, ucierpiała też kolekcja, z której skradziono lub zniszczono wiele cennych prac.

Styl dyrektora

Marian Minich przejął ponownie dyrekturę w 1945 roku. Z dniem 14 grudnia 1949 roku Muzeum weszło pod zarząd Ministerstwa Kultury i Sztuki, a 1 stycznia 1950 roku zmieniło nazwę na Muzeum Sztuki w Łodzi. Był to też czas, kiedy stało się ono placówką okręgową, mającą pod opieką muzea w Łęczycy, Oporowie, Piotrkowie Trybunalskim, Tomaszowie Mazowieckim i Pabianicach. Zdziesiątkowaną kolekcję uzupełniali swoimi darami artyści i ich spadkobiercy, zwożono do muzeum także dzieła zarekwirowane przez państwo. Zaczęły się niełatwe starania o nową siedzibę – w dawnym pałacu Maurycego Poznańskiego przy ulicy Więckowskiego 36, dziś funkcjonującej pod nazwą ms[1]. Właśnie w nowym budynku powstała niezwykła przestrzeń wystawiennicza, zaprojektowana przez Władysława Strzemińskiego – Sala Neoplastyczna. W eklektycznym XIX-wiecznym pałacu pojawiała się dzięki temu enklawa na wskroś nowoczesna, która niwelowała poczucie przebywania w historyzującym budynku. W innych muzeach w tym czasie albo pozostawiano oryginalny wystrój, albo dążono do stworzenia neutralnej przestrzeni prezentacji dzieł sztuki.

Koncepcja Minicha była inna i bardzo oryginalna. Dyrektor już przed wojną aranżował ekspozycję muzealną w starej siedzibie, pokazując kolejne etapy, jakie przechodziła sztuka, aby dojść do form awangardowych. Wobec niemożności zakupu prac z zachodniej Europy obok oryginalnych dzieł umieszczał faksymilowe reprodukcje obrazów takich twórców, jak Eugčne Manet, Claude Monet, August Renoir, Paul Cézanne, Paul Gauguin czy Vincent van Gogh. Także w nowej siedzibie był wierny swojej dydaktycznej koncepcji. „Przy czym był to dydaktyzm immanentnie związany z aranżacją całej ekspozycji, sposobem prezentowania sztuki, który wynikał z logicznego ciągu powiązanych wzajemnie form, dzieł sztuki, a nie jedynie z towarzyszących im komentarzy, podpisów, informacji czy serwisu przewodnickiego oferowanego przez muzeum" – zauważa w artykule na temat tej koncepcji Marcin Szeląg, przywołując artykuł Minicha *O nową organizację muzeów sztuki*, który opublikowany został w 1966 roku, tuż po śmierci jego autora. Odsłania on konsekwentnie rozwijaną w muzealniczej metodologii koncepcję, u której podstaw leżały publikacje szwajcarskiego historyka

sztuki Heinricha Wölfflina, którymi Minich zajmował się w czasie pracy naukowej we Lwowie. Koncepcja ta kładła nacisk na formalną analizę dzieła i kategorię stylu. Każda epoka miała wypracować swoją formę, i przygotowanych do jej odbioru widzów. Minich twierdził, że współczesność w postaci sztuki nowoczesnej, awangardowej, abstrakcyjnej właśnie wypracowuje nowy styl. W ten sposób chciał pokazać awangardę nie jako „eksperyment", ale jako konsekwencję wielowiekowego rozwoju sztuki. Marcin Szeląg porównuje model współpracy Minicha ze Strzemińskim do działań Alexandra Dornera, dyrektora Landesmuseum w Hanowerze w latach 1927-1937, zleceniodawcy Gabinetu Abstrakcyjnego, który zaprojektował rosyjski awangardzista El Lissitzky. W Łodzi i Hanowerze awangardowy artysta i dyrektor stworzyli przestrzenie odpowiadające wizji sztuki jako szczególnego nośnika cech epoki. Podobnie „zastosowanie reprodukcji w Hanowerze, jak i w Łodzi, było jednak zaledwie symptomem elementarnej zmiany, którą z perspektywy historycznej można dostrzec w koncepcjach Dornera i Minicha, jaką było przełamanie dominującego modelu indywidualnej kontemplacji autonomicznie pojętych dzieł sztuki poprzez projektowane przez artystów przestrzenie ekspozycyjne" – zauważa Szeląg. W założeniu dyrektora ekspozycja budowana według kategorii stylu nie miała uczyć jedynie o historii sztuki i jej przemianach. Miała kształcić u odbiorców percepcję sztuki jako ważną, przydatną w życiu umiejętność. „W obserwacji pokrewnych sobie formalnych elementów, ujętych w łańcuch rozwojowy, będzie tkwił również ważki moment wychowawczy: możność śledzenia przeciwieństw, analogii i powiązań stylistycznych w różnych miejscach i odcinkach czasu – sposobów i stopni transformacji świata w twórczości" – zwracał uwagę Minich w tekście *O nową organizację muzeów sztuki*.

Ostatnia burza

Wprowadzona w 1949 roku doktryna realnego socrealizmu zmusiła Minicha do schowania dzieł awangardowych do magazynu i zamalowania Sali Neoplastycznej jako przykładu „formalizmu" niezaangażowanego w sprawy społeczne. Władysław Strzemiński został usunięty z uczelni i Związku Polskich Artystów Plastyków, podupadł na zdrowiu i zmarł w szpitalu w 1952 roku. To była ostania burza, przez jaką przeprowadził Muzeum Sztuki Marian Minich. Mimo narzucenia przez władze nowej ekspozycji, prowadził zajęcia na Uniwersytecie Łódzkim, na których pokazywał studentom sztukę awangardową. Dbał też o kompetencje pracowników Muzeum, co relacjonuje między innymi Wanda Nowakowska, wieloletnia kierowniczka Zakładu Historii Sztuki na UŁ, a wcześniej pracownica muzeum. Jak wspomina, Minich był wymagający, ale bardzo życzliwy i zainteresowany losem podwładnych, dzięki czemu stał się dla niej w pewnym sensie wzorcem dyrektora. Gdy przyszła polityczna odwilż, Sala Neoplastyczna zrekonstruowana została przez Bolesława Utkina, ucznia Strzemińskiego. Minich kontynuował starania na rzecz rozbudowania kolekcji i pomimo „żelaznej kurtyny" udawało mu się utrzymać relacje z sympatykami muzeum po zachodniej stronie, co dzięki kontaktom

z Henrykiem Berlewim, Denise René i Michelem Seuphorem oraz Jerzym Kujawskim zaowocowało kolejnymi cennymi darami. Jego niezachwiane przekonanie o wartości sztuki awangardowej sprawiło, że interdyscyplinarna przedwojenna placówka stała się muzeum sztuki z akcentem położonym na sztukę najnowszą, co było nie tylko precedensem w odrodzonej Polsce, ale nowatorskim podejściem na skalę światową. Powojenna aktywność Minicha ugruntowała międzynarodowy charakter kolekcji muzeum, który zainicjowała grupa „a.r.". Dzięki tej pracy jego następca przyszedł już do instytucji o określonej renomie, profilu i bogatej historii.

Błażej Filanowski
krytyk i historyk sztuki

Bibliografia:

1. Agnieszka Minich-Scholz, *Marian Minich – pod wiatr*; Marian Minich *Wspomnienia wojenne* i *Szalona galeria* [w:] tamże, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa we współpracy z Atlasem Sztuki w serii wydawniczej Le Monde diplomatique/artystyka, Warszawa 2015.
2. *Muzeum Sztuki w Łodzi. Monografia*, tom I, redakcja: Aleksandra Jach, Katarzyna Słoboda, Joanna Sokołowska, Magdalena Ziółkowska, Muzeum Sztuki w Łodzi, Łódź 2015.

Cytowane w tekście fragmenty pochodzą z: Paulina Kurc-Maj, *Jakie muzeum? – uwagi na temat historii Muzeum Sztuki w Łodzi do 1950 roku*, s. 124-176.
Marcin Szeląg, *Testament muzealny Mariana Minicha*, s. 268-302.
Marian Minich, *O nową organizację muzeów sztuki*, s. 344-360.

Opinie profesor Wandy Nowakowskiej pochodzą z jej wypowiedzi z 21 kwietnia 2015 w czasie spotkania *„Marian Minich – pod wiatr" – dyskusja o książce* w ms[2].

Historia

70 lat Łodzi akademickiej
Jak powstawały łódzkie uczelnie
Paweł Patora
str. 97

Kultura fizyczna w Łodzi w latach Wielkiej Wojny
Działalność Władysława Pytlasińskiego
Aneta Stawiszyńska
str. 103

Przetrwali na Piotrkowskiej
Mała łódzka historia
Magdalena Starzycka
str. 113

Kim była Lidia Gablerówna?
Zapomniana śpiewaczka łódzkiej sceny
Aneta Stawiszyńska
str. 118

70 lat Łodzi akademickiej

Jak powstawały łódzkie uczelnie

Akademicka Łódź obchodzi 70-lecie. Pierwsze w mieście wyższe uczelnie powstały w 1945 roku. Uniwersytet Łódzki i Politechnika Łódzka zostały utworzone dekretem Rady Państwa z 24 maja. Uroczysta inauguracja w Państwowym Konserwatorium w Łodzi (którego kontynuatorką jest Akademia Muzyczna im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów) odbyła się ponad miesiąc wcześniej – 18 kwietnia. Również wiosną 1945 roku powstała Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych (obecnie Akademia Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego).

Dlaczego tak późno Łódź stała się ośrodkiem akademickim, skoro już w 1872 roku była miastem stutysięcznym z szybko rozwijającym się przemysłem, a przed drugą wojną światową liczyła 672 tys. mieszkańców?

Bezskuteczne wysiłki

Starania władz i elit Łodzi o utworzenie wyższej uczelni rozpoczęto w drugiej połowie XIX wieku, gdy miasto stało się dużym ośrodkiem przemysłu włókienniczego. Pierwszy miał powstać instytut politechniczny, gdyż potrzebni byli inżynierowie potrafiący projektować maszyny i urządzenia przemysłowe oraz nadzorować procesy produkcyjne.

Szansa na utworzenie w Łodzi tej uczelni pojawiła się po zlikwidowaniu przez władze carskie Instytutu Politechnicznego i Górniczo-Leśnego w Puławach, którego studenci licznie uczestniczyli w powstaniu styczniowym. Postanowiono, że uczelnia ta zostanie podzielona na dwie: Instytut Rolniczo-Leśny, który miał pozostać w Puławach, oraz Instytut Politechniczny, który miał być ulokowany w Łodzi.

Przygotowano już schemat organizacyjny, budżet, projekt architektoniczny, wyznaczono plac pod budowę, wynajęto lokale pod tymczasową siedzibę, zabezpieczono pożyczkę bankową, zaczęto nawet sprowadzać książki i pomoce dydaktyczne i gdy wydawało się, że wkrótce instytut rozpocznie działalność, zaczęły się przeszkody biurokratyczne. Pokonanie jednych prowadziło do kolejnych, wreszcie w marcu 1867 roku kompletnie przygotowane dokumenty utknęły gdzieś w Petersburgu i już było wiadomo, że Instytutu Politechnicznego w Łodzi nie będzie. Zapewne władze rosyjskie obawiały się, że wyższa uczelnia w dużym polskim mieście przemysłowym może być ośrodkiem dążeń wolnościowych.

W Polsce międzywojennej były pewne szanse na utworzenie w Łodzi uniwersytetu. Po pięciu państwowych uczelniach tego typu – w Warszawie, Krakowie,

Lwowie, Poznaniu i Wilnie – szóstą miał być uniwersytet w Łodzi. Jednak była to zaledwie idea, ani państwa, ani tym bardziej miasta nie było bowiem wówczas stać na wydatki związane z jego utworzeniem. Również przyczyny finansowe przesądziły o tym, że w okresie międzywojennym nie powstała w Łodzi uczelnia techniczna.

W 1921 roku powołano tu Seminarium Duchowne. Status Szkoły Wyższej otrzymało ono jednak dopiero w roku 1938.

W styczniu 1925 roku powstała w Łodzi Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i Ekonomicznych, która była uważana za pierwszą łódzką cywilną szkołę wyższą. Niestety, po trzech latach uczelnia upadła, nigdy nie uzyskując prawa nadawania stopnia magistra.

W 1928 roku powstał łódzki oddział Wolnej Wszechnicy Polskiej, uczelni warszawskiej, zaliczanej do tzw. wolnych uniwersytetów. Uzyskał prawo nadawania magisterium i istniał do wybuchu wojny. Szybko rosła liczba studentów tej uczelni – od 160 w roku akademickim 1928/29, do ponad tysiąca w roku 1938/39.

Łódź zastąpiła Warszawę

W 1945 roku, wobec straszliwego zniszczenia Warszawy i stosunkowo niewielkich strat, jakie podczas wojny poniosła Łódź, to właśnie tutaj zaczęło odradzać się polskie życie naukowe i kulturalne.

Już w styczniu podjęto prace organizacyjne mające na celu utworzenie uniwersytetu, a 15 marca rozpoczęto zapisy na studia. Prowadzono je przy stoliku w korytarzu Szkoły Włókienniczej przy ul. Żeromskiego 115. Zapisać się mógł każdy, kto miał ochotę i świadectwo dojrzałości. Już po tygodniu rozpoczęto zajęcia na wydziałach: Humanistycznym i Matematyczno-Przyrodniczym. Pod koniec marca studenci kształcili się także na Wydziale Prawno-Ekonomicznym, a w maju również na Lekarskim. Było to prawdziwe prowizorium, ponieważ pierwsze zajęcia odbywały się bez książek, skryptów i pomocy naukowych, w salach użyczanych przez szkoły, sąd i kina. Wiosną 1945 roku studiowało na UŁ 2250, a jesienią już 6680 osób.

Organizacją uniwersytetu kierował początkowo prof. Teodor Vieweger, biolog, przed wojną rektor Wolnej Wszechnicy Polskiej. Niestety, zginął w wypadku samochodowym 22 maja 1945 roku, dwa dni przed formalnym powołaniem Uniwersytetu Łódzkiego.

W dniu 3 lipca 1945 roku nominację na rektora UŁ otrzymał prof. Tadeusz Kotarbiński, który kierował tą uczelnią do 1948 roku. Uniwersytet, zgodnie z dekretem powołującym go do życia, miał początkowo trzy wydziały: Humanistyczny, Matematyczno-Przyrodniczy i Prawno-Ekonomiczny. Wkrótce jednak dołączono następne: Lekarski, Stomatologiczny i Farmaceutyczny, z których w 1950 roku powstała Akademia Medyczna.

Powstanie Politechniki Łódzkiej jako samodzielnej uczelni jeszcze na początku 1945 roku nie było oczywiste. Władze zamierzały utworzyć w Łodzi je-

dynie filię Politechniki Warszawskiej, ponieważ w zburzonej Warszawie nie widziały możliwości odtworzenia wszystkich tamtejszych wydziałów przedwojennej uczelni technicznej. Dlatego tymczasowo w Łodzi miały zostać ulokowane trzy wydziały PW: Mechaniczny, Elektryczny i Chemiczny. Jednak gdy w Warszawie również udało się pokonać trudności i odtworzyć również te wydziały politechniki, zdecydowano się na utworzenie Politechniki Łódzkiej jako uczelni samodzielnej.

Jej organizatorem i pierwszym rektorem był prof. Bohdan Stefanowski. Dzięki jego niezwykłej pracowitości i talentom organizacyjnym, a także dzięki zapałowi i entuzjazmowi studentów i pracowników szybko pokonywano ogromne trudności towarzyszące tworzeniu tej nowej uczelni technicznej w wyniszczonym wojną kraju. Atmosferę tamtego czasu tak opisała prof. Alicja Dorabialska, uczennica Marii Skłodowskiej-Curie: „Pewnego czerwcowego dnia rektor Stefanowski załadował w Warszawie do ciężarówki grupę kilkunastu profesorów i wysypał nas na Wodnym Rynku w byłym pałacu Scheiblera. Słońce świeciło nad nami i w nas. Ci, co w trudzie i mozole przez cztery lata prowadzili tajne nauczanie, wiedzieli, że teraz będą mogli otwarcie objąć opieką tę całą młodzież ukochaną jak własne dzieci."

Na pierwszy rok studiów w Politechnice Łódzkiej zgłosiło się 700 kandydatów, spośród których przyjęto 525. Na wyższe lata przyjęto 458 osób, które studia rozpoczęły przed wojną albo konspiracyjnie, podczas okupacji.

Uczeni w zniszczonych ubraniach

Inauguracja pierwszego w historii Politechniki Łódzkiej roku akademickiego odbyła się 25 października 1945 roku w budynku szkolnym przy ul. Żeromskiego 115. Rektor Stefanowski i dziekani wydziałów dokonali uroczystej immatrykulacji studentów pierwszego roku, po trzech na każdym wydziale. We wspomnieniu z tej uroczystości, opublikowanym w „Zeszycie Historycznym PŁ", rektor Stefanowski pisał m.in.: „Na podium zasiadło 33 profesorów, wielu z Politechniki Warszawskiej, powróconych do życia naukowego i dydaktycznego. Zewnętrzny ich widok pod względem ubrania nie był na normalnym poziomie uroczystych zebrań, widać było pięcioletnie wyniszczenie przez okupację. Pod tym wrażeniem obecny na uroczystości Generalny Dyrektor Centralnego Zarządu Przemysłu Włókienniczego mgr inż. Henryk Golański po zakończeniu uroczystości poprosił o dostarczenie mu listy profesorów i w krótkim czasie wszyscy otrzymali kupony na ubrania, bieliznę, jesionki i obuwie, co wzbudziło wśród obdarowanych wzruszenie i wdzięczność dla inicjatora tego daru".

Inaugurację pierwszego w historii PŁ roku akademickiego zakończył wykład pt. *Drogi i perspektywy fizyki współczesnej*. Wygłosił go prof. Andrzej Sołtan, tworząc ważną uczelnianą tradycję. Chociaż politechnika istnieje już 70 lat, do dzisiaj uczelniane uroczystości i wykłady inauguracyjne odbywają się zawsze w audytorium noszącym imię prof. Sołtana.

Problemy mieszkaniowe

W pierwszym roku po wojnie kadra naukowa łódzkich uczelni borykała się z problemem mieszkaniowym. Część pracowników Uniwersytetu Łódzkiego ulokowano w pokojach hoteliku Monopol przy ul. Zawadzkiej (dziś Próchnika) 7. Prof. Krystyna Śreniowska tak wspominała ten okres na łamach „Tygla Kultury": „Opłat nie pobierano, mieliśmy zapewnione korzystanie ze stołówki, czystą pościel, choć od czasu do czasu odwiedzały nas pluskwy [...]. Stopniowo zapełniał się hotel, a nawet przepełniał, mimo że liczył około 60-70 pokoi. Z terenu Polski, Niemiec, wschodnich ziem Rzeczypospolitej napływały coraz liczniejsze fale wędrowców, przeważnie głodne, bezdomne, bez środków do życia. [...] Hotel »Monopol« znajdował się w nieskanalizowanej części miasta. Odpływy brudnej wody przykryte jedynie deskami wydzielały trudny do zniesienia fetor, szczególnie w dni duszne, upalne".

Uczelnia plastyczna

Powołanie wiosną 1945 roku Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (WSSP) w Łodzi było ukoronowaniem wieloletnich starań łódzkich artystów – Władysława Strzemińskiego i Stefana Wegnera, a także przybyłych do Łodzi Felicjana Szczęsnego Kowarskiego, Romana Modzelewskiego, Ludwika Tyrowicza, Władysława Daszewskiego i Stefana Byrskiego.

Najpierw utworzono tylko trzy wydziały: Włókienniczy, którym kierował Leon Ormezowski, Ceramiki, kierowany przez Julię Kotarbińską, oraz Wydział Grafiki, który prowadził Ludwik Tyrowicz. Pierwszym dyrektorem szkoły został Leon Ormezowski, malarz kolorysta. W pierwszych dwóch latach ustalono, że łódzka uczelnia plastyczna będzie kształcić studentów w zakresie sztuk użytkowych, ale również tzw. sztuk czystych. Jej głównymi specjalizacjami były: ceramika, włókiennictwo, meblarstwo oraz druk na tkaninie. Od początku istnienia szkoła ta nawiązała współpracę z lokalnym i krajowym przemysłem.

W roku szkolnym 1946/47, gdy uzyskała status państwowej szkoły wyższej (PWSSP), został utworzony nowy Wydział Plastyki Przestrzennej prowadzony przez Władysława Strzemińskiego, założyciela grupy „a.r.", wybitnego artystę nowatora, ale też teoretyka i pedagoga. Jest oczywiste, że mając skrystalizowane poglądy, jak powinien wyglądać program kształcenia nowoczesnych projektantów, szybko naraził się ideologom socrealizmu. „Jego sztuka, koncepcja dydaktyczna, a przede wszystkim śmiałość i nowatorstwo myśli określiły ówczesny charakter szkoły. W zdominowanej przez kolorystów powojennym wyższym szkolnictwie artystycznym w Polsce, łódzka placówka stanowiła wyjątkową enklawę nowoczesności. Dlatego też z końcem lat 40. jej działalność szybko została ograniczona przez realizujące stalinowski kurs polityki władze państwowe. Unikalna geneza szkoły i myśl stojąca za jej powstaniem nie zostały jednak zapomniane i stanowiły inspirację dla kolejnych pokoleń jej wykładowców, w coraz mniejszym stopniu ograniczanych przez politykę i państwową ideologię" – można przeczytać na stronie internetowej ASP w Łodzi.

Uczelnia muzyczna

Państwowe Konserwatorium w Łodzi organizował wybitny wiolonczelista, dyrygent, kompozytor i pedagog – Kazimierz Wiłkomirski. Propozycję kierowania tą szkołą otrzymał w Lublinie w lutym 1945 roku. W późniejszych *Wspomnieniach* napisał: „Kiedy [...] dyrektor departamentu szkolnictwa artystycznego Aleksander Barchacz wręczył mi nominację na dyrektora jeszcze nie istniejącego Państwowego Konserwatorium w Łodzi, które miałem dopiero zorganizować, doznałem uczucia nieopisanej radości. Znalazłem swoje miejsce na świecie, ujrzałem przed sobą umiłowany cel, który natychmiast przesłonił mi wszelkie inne sprawy".

Jeszcze w lutym Kazimierz Wiłkomirski przyleciał do Łodzi małym samolotem, który wylądował gdzieś w polu na dalekich peryferiach miasta, bo lotnisko na Lublinku nie przyjmowało wtedy samolotów cywilnych. Łódź poznał jeszcze przed wojną, gdy w latach 1925–1929 był wykładowcą prywatnego konserwatorium Heleny Kijeńskiej-Dobkiewiczowej, szkoły, która miała bardzo wysoki poziom. Jej absolwentami byli m.in. Kiejstut Bacewicz i Władysław Kędra.

Dyrektor Wiłkomirski szybko odszukał Helenę Kijeńską-Dobkiewiczową i zaproponował jej stanowisko zastępcy dyrektora Państwowego Konserwatorium, jej mężowi zaś stanowisko profesora wyższego kursu fortepianu. To właśnie tej nowo mianowanej zastępczyni dyrektora łódzka uczelnia muzyczna zawdzięcza lokalizację w pięknym pałacu Karola Poznańskiego, który jest jej główną siedzibą do dziś.

„Sprawą najpilniejszą było uzyskanie odpowiedniego lokalu – wspominał Kazimierz Wiłkomirski. – Władze miejskie proponowały nam jakieś pomieszczenie, nawet nie najgorsze, którego adresu już nie pamiętam. Byłbym zapewne na nim poprzestał, ale pani Dobkiewiczowa upatrzyła sobie inny lokal i rozpoczęła o niego walkę. Był to piękny pałac przy zbiegu ulic Gdańskiej i 3 Maja, należący przed wojną do rodziny Poznańskich [...] Sprawa zdawała się nie do wygrania, ponieważ pałac ten był już przeznaczony na tzw. Robotniczy Dom Kultury, ale energia starszej damy zwyciężyła: Dom Kultury ulokowano w gmachu przy ulicy Piotrkowskiej, w którym później mieściła się również łódzka Operetka; pałac Poznańskich stał się siedzibą dwóch szkół artystycznych: Wyższej Szkoły Teatralnej, która zajęła parter, i Konserwatorium, któremu przydzielono pierwsze i drugie piętro".

Wiosną 1945 roku profesorowi Wiłkomirskiemu udało się skompletować kadrę znakomitych kompozytorów, teoretyków, dyrygentów, wirtuozów, wokalistów i innych nauczycieli. W końcu marca odbyły się egzaminy wstępne i niezwłocznie rozpoczęto zajęcia.

Już na początku lipca 1945 roku w sali kina Bałtyk odbył się koncert uczniów Państwowego Konserwatorium w Łodzi. Wystąpili w nim m.in. bardzo młodzi skrzypkowie Wanda Wiłkomirska i Zenon Hodor oraz 19-letni Jan Krenz, który dyrygował 20-osobową orkiestrą smyczkową. Cała trójka to późniejsi absolwenci łódzkiej szkoły, wybitni artyści. Z takich absolwentów dumna byłaby każda uczelnia muzyczna na świecie.

Od 1 września 1945 roku weszła w życie ministerialna decyzja zastępująca dwustopniowy system kształcenia (niższe szkoły muzyczne i konserwatoria) trójstopniowym (niższe, średnie i wyższe szkoły muzyczne). Kazimierz Wiłkomirski musiał wykonać zarządzenie ministerstwa i podzielić Państwowe Konserwatorium na średnią i wyższą szkołę muzyczną. Sam został rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, a Helena Dobkiewiczowa – prorektorem.

Po zakończeniu pierwszego roku akademickiego rektor Wiłkomirski otrzymał propozycję objęcia stanowiska dyrektora Filharmonii i Opery we Wrocławiu. Długo się wahał, ale jesienią wyjechał z Łodzi.

Szkoła filmowa, szkoła aktorska

Wyższa Szkoła Teatralna, która wspólnie z Państwowym Konserwatorium mieściła się w pałacu Poznańskiego, była formalnie uczelnią warszawską, z tymczasową siedzibą w Łodzi. W 1949 roku przeniesiono ją do Warszawy, a w Łodzi powstała na jej miejscu Państwowa Wyższa Szkoła Aktorska, której rektorem w latach 1950–1952 był Kazimierz Dejmek. Wcześniej, w roku 1948, powstała w Łodzi Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, która po 10 latach została połączona z Państwową Szkołą Aktorską w jedną, do dziś istniejącą uczelnię znaną na świecie jako Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna. Jest słynna głównie dlatego, że wykształciła wielu wybitnych twórców filmowych, takich jak: Krzysztof Kieślowski, Juliusz Machulski, Roman Polański, Zbigniew Rybczyński, Andrzej Wajda czy Krzysztof Zanussi.

* * *

Przy okazji 70-lecia Łodzi akademickiej, warto podkreślić, że chociaż w roku 1945 wielu łodzian cieszyło się z powstania tu pierwszych wyższych uczelni, to jednak były to tylko nader skromne początki tego, co mamy dzisiaj. Oprócz Uniwersytetu Łódzkiego, Politechniki Łódzkiej, Uniwersytetu Medycznego, trzech uczelni artystycznych i Wyższego Seminarium Duchownego mamy w Łodzi kilkanaście wyższych szkół niepublicznych, oddział Polskiej Akademii Nauk, instytuty naukowe PAN oraz branżowe instytuty badawcze. Niegdysiejsze miasto robotników i przemysłu włókienniczego jest teraz miastem prawie stu tysięcy studentów i znaczącym ośrodkiem naukowym.

Paweł Patora
dziennikarz, publicysta

Aneta Stawiszyńska

Kultura fizyczna w Łodzi w latach Wielkiej Wojny

Działalność Władysława Pytlasińskiego

Lata pierwszej wojny światowej, kiedy to, począwszy od grudnia 1914 roku, Łódź pozostawała pod okupacją niemiecką, były jednym z najcięższych okresów w całej historii miasta. Pomimo ogromnej biedy, bezrobocia wynikającego z dewastacji miejscowego przemysłu, liberalna w kwestiach społecznych polityka okupanta niemieckiego[1] przyczyniła się – po początkowym okresie zastoju – do rozwoju kultury fizycznej. Powstawały nowe organizacje sportowe, zwłaszcza żydowskie[2]. Pozytywne zmiany dotyczyły też miejscowego szkolnictwa. Jednym z nowych czynników było wprowadzanie tam większej ilości godzin zajęć ruchowych. Niewątpliwy wpływ na upowszechnianie się kultury fizycznej wśród łodzian miały wybitne jednostki związane ze światem sportu. Wśród nich był urodzony w 1863 roku Władysław Pytlasiński.

Spawacz na wieży Eiffla

Sportowiec ten posiadał niezwykle interesującą biografię. W młodości pracował m.in. jako spawacz przy budowie wieży Eiffla. Przez pewien czas występował też w cyrkach, by w ten sposób zdobyć fundusze na kontynuację treningów zapaśniczych. W 1900 roku zdobył podczas zawodów organizowanych w Paryżu tytuł mistrza świata w zapasach. Oprócz trenowania zapasów był też aktywnym popularyzatorem i autorem podręczników tego sportu. Po zakończeniu kariery sportowej organizował szkoły rozwoju fizycznego m.in. w Petersburgu, Moskwie, Odessie i Łodzi[3]. Był też Pytlasiński odpowiedzialny za przygotowanie kadry zapaśniczej Finlandii i Rosji na igrzyska olimpijskie. W 1896 roku z jego inicjatywy powstało Petersburskie Towarzystwo Atletyczne[4]. Jego osobowość wykorzystywała też polska kinematografia. W 1933 roku zagrał główną rolę w filmie Eugeniusza Puchalskiego *Bartek* zwycięzca oraz epizod w ekranizacji *Pana Tadeusza*

Władysław Pytlasiński, fot. NAC

(1923)[5]. W powszechnej świadomości, nawet w wiele lat po śmierci, uchodzi za symbol siły i ogromnej witalności fizycznej. Do dziś dla uczczenia jego zasług organizowany jest Memoriał Pytlasińskiego w zapasach.

Sportowiec wizjoner

W 1908 roku Pytlasiński osiadł w Łodzi, gdzie podejmował liczne wysiłki na rzecz propagowania kultury fizycznej. Szybko stał się jednym z największych łódzkich autorytetów w tejże dziedzinie. Jego zaangażowanie dotyczyło zarówno włączania się w organizowanie imprez, jak i pełnienia funkcji planisty-wizjonera przedstawiającego konkretne postulaty dotyczące kierunku rozwoju miejscowej kultury fizycznej. W 1909 roku z jego inicjatyw powstało Towarzystwo Zwolenników Sportu, w którym prowadził też treningi. W cztery lata później sportowiec przyczynił się do powstania Towarzystwa Rozwoju Fizycznego. Przed wybuchem wojny światowej Pytlasiński organizował w Łodzi liczne imprezy promujące sport. Jego marzeniem było zorganizowanie towarzystwa skupiającego wszystkie towarzystwa zapaśnicze działające na terenie Królestwa Polskiego. Planu tego nie udało się zorganizować ze względu na nieprzychylne stanowisko władz carskich.

Działalność sportowca nie ustała po wybuchu Wielkiej Wojny. Omawiając działalność Władysława Pytlasińskiego na terenie ówczesnej Łodzi, należy przede wszystkim podkreślić jego zaangażowanie na rzecz upowszechniania sportu wśród dzieci i młodzieży. W 1915 roku wraz z żoną zaoferował pomoc przy zorganizowaniu ćwiczeń gimnastycznych dla uczniów. W tym celu starał się o pozyskanie stosownego placu od Banku Warszawskiego. Starania te nie przyniosły jednak spodziewanych efektów[6].

Twórca półkolonii

Pytlasiński był jednym z inicjatorów organizowania w miesiącach letnich na terenie łódzkich parków, m.in. w Parku Poniatowskiego, letnich półkolonii dla miejscowych dzieci, podczas których mali łodzianie mieli wypoczywać na świeżym powietrzu, a także brać udział w zabawach sportowych[7]. Istotnym elementem półkolonii wobec powszechnego niedożywienia dzieci łódzkich w czasie wojny były wydawane dwa razy dziennie posiłki, co przekładało się na poprawę kondycji zdrowotnej ich uczestników[8]. Zajmował się też obserwacją zdrowia dzieci, zapisując m.in. szczegółowe dane dotyczące wzrostu i wagi uczestników. Wedle jego relacji u niektórych dzieci odnotowano poprawę wagi ciała nawet o dwa kg, a jeden z uczestników miał urosnąć aż o 20 cm[9].

Pytlasiński chętnie włączał się w przygotowywanie wszelkich imprez sportowych. Warto tu wspomnieć chociażby o organizowanej w czerwcu 1916 roku w parku w Helenowie zabawie sportowej, której Pytlasiński był jednym z organizatorów i ufundował kilka nagród. Wspomniana impreza została przygotowana przy współudziale znanego działacza sportowego, Antoniego Lindnera[10]. Zawody, w których wzięło udział

ok. 500 uczniów, zostały zorganizowane jak na realia wojenne z ogromnym rozmachem. Na ich program składały się pokazy gimnastyczne i gry ruchowe dzieci szkolnych, przedbiegi cyklistów, pokaz ćwiczeń uczniów szkoły rzemiosł wykonywany „podług komendy muzycznej", wzorcowa lekcja gimnastyki zaprezentowana pod kierownictwem Antoniego Lindnera, mecz piłki nożnej oraz występy chóru dziecięcego. Największa atrakcją był wyścig cyklistów z przeszkodami tzw. *cross-country*[11].

Pytlasiński oprócz pomocy w kwestiach typowo organizacyjnych zadbał też wcześniej o odpowiednie przygotowanie młodych zawodników. Przed imprezą pod okiem mistrza odbyły się ćwiczenia na podwórzu jego domu przy ul. Mikołajewskiej 40 (dziś. ul. Sienkiewicza). Jak relacjonowała prasa, ćwiczenia te „oparto na wszechstronnem uwzględnieniu rozwoju fizycznego zapaśników, stanowią nowość, jakiej jeszcze w Łodzi nie widziano". Nad przebiegiem ćwiczeń czuwał wspomniany wcześniej, Antoni Lindner.

Recenzent szkolnych programów

Wiele uwagi w czasie wojny Pytlasiński poświęcał kwestii wychowania fizycznego najmłodszego pokolenia łodzian przez tutejsze szkoły. Począwszy od wiosny 1916 roku, na łamach miejscowych dzienników regularnie pojawiały się jego refleksje na ten temat. Podkreślał znaczenie wychowania fizycznego dla prawidłowego rozwoju dzieci, nie szczędząc łódzkim szkołom i ich kadrom słów krytyki. Zaznaczał, że źle dobrane ćwiczenia mają zdecydowanie negatywny wpływ na ich zdrowie. Sportowiec krytykował złe metody stosowane powszechnie w ówczesnych szkołach: „Metoda od dawna u nas przyjęta polega na poprawnem wykonywaniu przepisanych ćwiczeń, gier, o tem zaś aby śledzić skutki takowych, nie pomyślano. Słowem gimnastykuje się dzieci i młodzież szkolną lecz się nie wychowuje ich fizycznie"[12].

W artykule z kwietnia 1916 roku zatytułowanym *Wychowanie fizyczne młodzieży szkolnej* Pytlasiński podkreślał dodatnie zmiany, jakie zaszły w łódzkim szkolnictwie[13], nie szczędząc jednak słów krytyki na temat niewłaściwego jego zdaniem realizowania zajęć gimnastycznych, które nie były dostosowane do kondycji fizycznej uczniów: „Tak się dzieje [tzn. zachodzą pozytywne zmiany – A.S.] w pracy i zabiegach nad wychowaniem umysłowem, lecz to tylko jedna strona medalu; drugiej zaś, którą jest wychowanie fizyczne brak zupełnie w szkole naszej. Niektóre ze szkół, chcąc choć w części zapełnić te braki wprowadziły gimnastykę, co poniekąd osiąga cel. Takie załatwienie jest jednak tylko połowicznym środkiem zaradzenia złemu, gdyż dla racjonalnego rozstrzygnięcia kwestii nie o samą gimnastykę tu chodzi, a o wychowanie fizyczne [...]. Zadaniem szkoły powinno być polegać na fizycznem udoskonalaniu wszystkich wychowańców. Zdrowym i silnym szkoła dać może kierunek w udoskonaleniu fizycznym i poznaniu zasad odporności organizmu (...). Zaś wątłym i słabym, przez systematyczne i umiejętne stosowanie odpowiedniej metody by ukrzepić i uodpornić organizm a tymczasem przygotować do dalszych ćwiczeń cielesnych"[14].

Pytlasiński krytykował też brak nacisku na rozwój fizyczny dzieci przebywających pod opieką różnego rodzaju instytucji, np. ochronek. We wrześniu 1917 roku na łamach „Gazety Łódzkiej" ukazał się jego artykuł napisany w związku z wystawą *Dziecko*, prezentującą m.in. robótki ręczne małych łodzian z przytułków i ochronek. Podkreślając, że nie neguje sensu przykładania uwagi do rozwoju intelektualnego czy manualnego, Pytlasiński przekonywał: „Obserwując wystawione obrazy, których liczba jest dość pokaźna, nasuwa się pytanie, ile godzin nad wykonaniem tego lub owego przedmiotu twórca jego przesiedzieć musiał bez ruchu, pochylony, w skupieniu myśli, zanim doszedł do perfekcji? Czy ilość godzin, strawionych przy takiej pracy, odpowiada temperamentowi dziecka? Czy kilkugodzinna praca dziewczęcia nad wyhaftowaniem jakiegoś gałganka w pozycji zgarbionej, z zapartym po części oddechem, nie gwałci praw fizjologicznych młodego organizmu?"[15].

Pytlasiński podkreślał, że ubogim dzieciom przebywającym w takich placówkach należało stworzyć jak najlepsze warunki do rozwoju fizycznego, gdyż większość z nich w przyszłości miała zapewne ciężko pracować fizycznie. „Pomóżmy więc organizmom okrzepnąć w dziecięcych jego latach, niech nie traci przedwcześnie wzroku nad hafcikami, niechaj klatka piersiowa nie pozostaje przez kilka godzin dziennie w pozycji przeciwnej naturalnemu jej rozwojowi".

Sportowiec przestrzegał też przed nadmiernym obciążaniem dzieci wysiłkiem intelektualnym: „Obciążając umysł przedwczesnym nadmiarem wytężonej pracy, nakładamy hamulec na rozwój fizyczny dziecka, co wywrze ujemny wpływ na organach oddechowych, na prawidłowości form i budowie szkieletu, na przemianie materii i krążeniu krwi, gdyż jest to pogwałcenie młodego organizmu, dopominającego się powietrza i ruchu"[16].

W dalszej części wywodu mistrz zapaśniczy podkreślał, że nawet najlepsze pod względem edukacyjnym szkoły zaniedbywały rozwój fizyczny dzieci. Jego

Władysław Pytlasiński podczas pokazu, 1925 r., fot. NAC | str. 4

argumenty wynikały zapewne z własnych obserwacji i zapoznania się ze sprawozdaniami służb odpowiedzialnych za monitorowanie warunków bytowych i stanu zdrowia najmłodszych. W aktach archiwalnych dotyczących ówczesnej sytuacji łódzkich dzieci często bowiem przewijały się kwestie np. zasypiania na lekcji z głodu czy też faktu, że dzieci te nie były w stanie zbyt długo skupiać uwagi ani brać udziału w dłuższych pieszych wycieczkach[17].

Realizacja planu wprowadzenia skutecznego wychowania fizycznego młodzieży niemożliwa była zdaniem Pytlasińskiego bez fachowych kadr, których w Łodzi nie było. Sportowiec podkreślał, że należy wykształcić nauczycieli, by ci umiejętnie dostosowywali ćwiczenia do możliwości uczniów. Postulował, by wspomniani pedagodzy byli w na tyle młodym wieku, by dla nich samych „ruch fizyczny był przyjemnością, a nie mozolnym trudem"[18].

Twórca kursów dla nauczycieli

Niewątpliwie niektóre postulaty wysuwane przez sportowca doczekały się realizacji. Pytlasiński był stale zaangażowany w przygotowywanie nauczycieli, którzy nie mieli zwykle odpowiedniej wiedzy ani umiejętności, by móc fachowo prowadzić zajęcia ruchowe dla swoich podopiecznych. W 1916 roku był on organizatorem krótkiego kursu rozwoju fizycznego i metodyki gimnastyki, skierowanego do nauczycieli szkół średnich i ludowych. Zagadnienia obejmowały tematykę anatomii, metodyki, a także wszelkiego rodzaju środków służących do udoskonalania rozwoju fizycznego oraz higieny[19]. Wspomniane zajęcia, w których uczestniczyło około 40 miejscowych nauczycieli, odbywały się w sali przy ul. Długiej 29 (dzisiaj Gdańska)[20]. W 1916 i 1917 roku Pytlasiński był też jednym z wykładowców na Uzupełniających Kursach Pedagogiczno-Wychowawczych dla ochroniarek i nauczycieli instytucji pozostających pod nadzorem Łódzkiej Miejscowej Rady Opiekuńczej. Prowadził tam zajęcia z zakresu gimnastyki. Jego ówczesne wykłady skupiały się na tzw. gimnastyce zapobiegawczej. W 1916 roku wykładał na kursach nauczycielskich organizowanych przez Towarzystwo „Wiedza"[21]. W czasie wojny zapaśnik współpracował też z Polską Macierzą Szkolną[22].

Pytlasiński jako ceniony znawca tematyki kultury fizycznej wygłaszał liczne odczyty, także poza granicami miasta. Jesienią 1917 roku gościł z dwoma prelekcjami w warszawskim Towarzystwie Higienicznym. Pierwszy z odczytów zatytułowany *O rozwoju i sprawności fizycznej w wieku od lat dziecięcych do późnej starości* przeznaczony był dla młodzieży, rodziców i wychowawców. Drugi zaś (*O kultywowaniu ciała, pielęgnacji i prawności fizycznej dla obu płci*) przeznaczony był wyłącznie do osób dorosłych. Prelekcje spotkały się z dużym uznaniem słuchaczy[23].

„Kąpiele słoneczne"

Oprócz zachęcania łodzian do uprawiania gimnastyki Pytlasiński starał się też upowszechniać inną formę rekreacji, tj. „kąpiele słoneczne". Około 1916 roku założył

Kółko Miłośników Feba[24]. W kwietniu 1916 roku w liście skierowanym do Wydziału Zdrowotności Publicznej łódzkiego Magistratu prosił o możliwość wydzierżawienia pół morgi mniej zaciemnionej części parku przy ówczesnej ul. Pańskiej (dzisiaj Park Poniatowskiego przy ul. Żeromskiego), w którym to miejscu, pod „światłym okiem lekarskim", członkowie stowarzyszenia mieli korzystać z kąpieli powietrzno-słonecznych. Prośbę uzasadniał faktem, że wobec toczącej się wojny łodzianie mieli utrudnioną możliwość wyjazdu na letniska[25].

Zgody takiej nie udało mu się uzyskać, co nie przekreśliło planów sportowca. Niezrażony brakiem akceptacji władz miejskich, Pytlasiński postanowił użyczyć na wspomniane cele terenu własnej posesji ul. Mikołajewskiej 40, dzierżawionej w okresie wojny od rodziny Millerów. Podwórze to sąsiadowało z Parkiem Sienkiewicza. Właśnie tam latem 1918 roku odbywały się owe zalecane przez lekarzy „kąpiele słoneczne". Spotkania te odbywały się w godzinach popołudniowych[26]. Wspomniana forma rekreacji u większości łodzian budziła zapewne zdziwienie, a sam Pytlasiński niejednokrotnie musiał tłumaczyć się z tej działalności, uznawanej za niewłaściwą i sprzeczną z dobrymi obyczajami. W 1918 roku na łamach jednego z dzienników usprawiedliwiał swoich kompanów, którzy zostali posądzeni przez osoby spacerujące po sąsiadującym z posesją Pytlasińskiego Parku Sienkiewicza o obrzucenie ich kamieniami. Pytlasiński zapewniał wtedy o wysokiej moralności członków kierowanego przez siebie Kółka Miłośników Feba[27].

Społecznik, filantrop, patriota

Mistrz zapaśniczy angażował się też w Łodzi w różne inne przedsięwzięcia społeczne, niekoniecznie związane ze sportem. W 1916 roku znalazł się w składzie komisji odpowiadającej za organizację na terenie Łodzi jednej z największych imprez dobroczynnych czasów Wielkiej Wojny, tj. Wielkiej Ogólnokrajowej Kwesty „Ratujcie Dzieci"[28]. Pytlasiński w latach Wielkiej Wojny był też członkiem miejscowej Resursy Rzemieślniczej, w której pełnił rożne stanowiska. W 1930 roku, w czasie z okazji obchodów 50-lecia działalności sportowej Pytlasińskiego, Resursa nadała mu tytuł honorowego członka[29].

Tuż po odzyskaniu niepodległości Pytlasiński pełnił funkcję komendanta Straży Obywatelskiej w Łodzi, a następnie objął urząd naczelnika Policji Kryminalnej. W 1919 roku przeniósł się na stałe do Warszawy. W 1922 roku z jego inicjatywy powstało Polskie Towarzystwo Atletyczne[30].

Zaangażowanie Władysława Pytlasińskiego w trudnych latach wojny pozwala zrozumieć nie tylko dzieje rozwoju kultury fizycznej w mieście, ale i ogólną charakterystykę możliwości prowadzenia działalności społecznej w Łodzi czasów Wielkiej Wojny wbrew ciężkim realiom dnia codziennego. Wytrwałość tego wybitnego sportowca w realizacji planów przyczyniła się do pozytywnych zmian chociażby w łódzkim szkolnictwie, gdzie pod jego wpływem coraz więcej uwagi przykładano dbałości o zdrowie tutejszych dzieci. Postać Pytlasińskiego była niewątpliwie przykładem profesjonalizmu

we wszelkich formach działania. O tym, jak istotna była jego działalność na rzecz rozwoju fizycznego oraz jakim poważaniem Pytlasiński cieszył się wśród miejscowej młodzieży, świadczyć może tekst artykułu zamieszczonego w łódzkiej prasie tuż po śmierci zapaśnika w 1933 roku: „Nazwisko Pytlasińskiego było dla całego pokolenia synonimem tężyzny i siły. Zdawało się nam, wówczas dzieciom jeszcze i podrastającym młodzieńcom, że Pytlasiński potrafi wszystko, że na świecie nie ma człowieka od niego silniejszego, ani rzeczy, którejby on nie potrafi złamać, zgiąć lub unieść... Pytlasiński to była żywa legenda i duma całej młodzieży sportowej"[31].

Aneta Stawiszyńska
– historyk

Bibliografia:

Archiwalia: Akta miasta Łodzi (Wydziały: Opieki Społecznej, Oświaty i Kultury, Prezydialny, Zdrowotności Publicznej, Główny Komitet Obywatelski, Zakłady Przemysłu Bawełnianego Ludwika Geyera Spółka Akcyjna w Łodzi [APŁ]).

Prasa: „Echo", „Gazeta Łódzka", „Godzina Polski", „Nowy Kurier Łódzki", „Republika", „Niepodległość i Pamięć", „Przegląd Historyczno-Oświatowy", „Rocznik Łódzki", „Sport Wyczynowy", „Tematy i konteksty", „Ziemia Łódzka", „Vade Nobiscum".

Opracowania:

1. *75-lecie odzyskania niepodległości przez Polskę, Łódź i woj. łódzkie, Materiały z sesji naukowej*, Łódź 12 XI 1993, pod red. K. Badziaka i J. Szymczaka, Łódź 1993.
2. Armatys L., Stradomski W., *Od niewolnicy zmysłów do czarnych diamentów*, Warszawa 1988.
3. Bogusz A., *100 lat kolarstwa łódzkiego 1886-1986*, Łódź 1987, s. 17; idem, *Dawna Łódź sportowa*, Łódź 2007.
4. Bogusz A., *Sport w Łodzi wielonarodowej. Zarys dziejów (do 1939)* [w:] *Polacy, Niemcy, Żydzi. Sąsiedzi dalecy i bliscy*, pod red. P. Samusia, Łódź 1997.
5. Bogusz A., *Żydowskie stowarzyszenia sportowe Łodzi 1897-1939*, Łódź 1992.
6. Dąbrowski L, Waszkiewicz F., *Dzieje sokolstwa w Łodzi*, Łódź 1921.
7. Dorosz B., *O listach J. Lechonia i K. Wierzyńskiego (Kilka uwag krytycznych na marginesie przygotowania edycji krytycznej)*, „Tematy i konteksty" 2012, nr 2 (7).
8. *Historia polskich zapasów 1922-2012*, pod red. J. Chełmeckiego, A. Głaza i J. Lipskiego, Warszawa 2012.
9. Jurek K., *Harcerstwo łódzkie w walce o niepodległe państwo polskie* [w:] *75-lecie odzyskania niepodległości przez Polskę, Łódź i woj. łódzkie, Materiały z sesji naukowej*. Łódź 12 XI 1993, pod red. K. Badziaka i J. Szymczaka, Łódź 1993.

10. Jurek K., *Łódzki tajny skauting latach 1910-1914*, „Rocznik Łódzki" 1994, ROKU XLI.
11. Konieczna J., *Działalność kulturalno-oświatowa Towarzystwa „Wiedza" w Łodzi w latach 1908-1918*, „Rocznik Łódzki" 1994, T. XLI.
12. *Polski słownik biograficzny*, T. XXIX, Warszawa 1980.
13. Przeniosło M., *Organizacje samopomocy społecznej w Królestwie Polskim w latach I wojny światowej*, „Niepodległość i Pamięć" 2011, ROKU XXXIII.
14. Rotkiewicz M., Hądzelek K., *Powstanie i działalność polskich związków sportowych (II) 1919-1925*, „Sport Wyczynowy", 2007 nr 10-12.
15. *Sprawozdanie Kwesty „Ratujcie Dzieci"*, Łódź 1916.
16. Stawiszyńska A., *Tyle słońca w całym mieście. Rzecz o działalności Kółka Miłośników Feba*, „Ziemia Łódzka", 2012 nr 12.
17. Stawiszyńska A., *Życie codzienne mieszkańców Łodzi w czasie I wojny światowej* [w:] *Operacja Łódzka. Zapomniany fakt I wojny światowej*, pod red. J. A. Daszyńskiej, Łódź 2011.
18. *Słownik biograficzny historii Polski*, pod red. J. Chodery i F. Kiryka, t. 2, Wrocław 2007.
19. Zalewski J., *Wprowadzenie i realizacja powszechnego obowiązkowego nauczania w Łodzi*, „Przegląd Historyczno-Oświatowy" 1960, nr 3.

Przypisy:

1. Szerzej na temat realiów życia w Łodzi w latach Wielkiej Wojny: A. Stawiszyńska, *Życie codzienne mieszkańców Łodzi w czasie I wojny światowej* [w:] *Operacja Łódzka. Zapomniany fakt I wojny światowej*, pod red. J. A. Daszyńskiej, Łódź 2011, s. 105-116.
2. Szerzej na temat dziejów sportu łódzkiego w czasie wojny: A. Bogusz, *100 lat kolarstwa łódzkiego 1886-1986*, Łódź 1987, s. 17; *idem, Dawna Łódź sportowa*, Łódź 2007, s. 89-93; *idem, Sport w Łodzi wielonarodowej. Zarys dziejów (do 1939)* [w:] *Polacy, Niemcy, Żydzi. Sąsiedzi dalecy i bliscy*, pod red. P. Samusia, Łódź 1997, s. 323-337; *idem, Żydowskie stowarzyszenia sportowe Łodzi 1897-1939*, Łódź 1992, s. 4-10.
3. *Władysław Pytlasiński ps. Pytlas* [w:] *Polski Słownik biograficzny*, T. XXIX, Warszawa 1980, s. 521-522; *Słownik biograficzny historii Polski*, pod red. J. Chodery i F. Kiryka, t. 2, Wrocław 2007, s. 1251.
4. *Historia polskich zapasów 1922–2012*, pod red. J. Chełmeckiego, A. Głaza i J. Lipskiego, Warszawa 2012, s. 26.
5. http://www.filmweb.pl/person/W%C5%82adys%C5%82aw+Pytlasi%C5%84ski–106018 [dostęp:1.10.2014]; L. Armatys, W. Stradomski, *Od niewolnicy zmysłów do czarnych diamentów*, Warszawa 1988, s. 47.
6. Archiwum Państwowe w Łodzi (dalej: APŁ), Główny Komitet Obywatelski (dalej: GKO), sygn. 177, k. 98, Protokół posiedzenia Sekcji Szkolnej z dn. 6 V 1915 r.
7. APŁ, Akta miasta Łodzi (dalej: AmŁ), Wydział Prezydialny (dalej:) WP, sygn. 13.680, k.nlb, Schulwesen Juni/ September 1916.
8. APŁ, AmŁ, WP, sygn. 14.107, k. 197, Sprawozdanie Wydziału Szkolnictwa za VIII 1918 r.; A. Stawiszyńska, *Okolice Łodzi jako cel turystyki łodzian w latach I wojny światowej*, „Vade Nbiscum" 2013, T. IX, s. 266.

9. „Godzina Polski" (dalej: GP) 30 VIII 1918, nr 237, s. 6.
10. Antoni Lindner (1886-1964) – działacz „Sokoła", zaangażowany w wychowanie patriotyczne młodzieży, w latach I wojny światowej pełnił funkcję zastępcy naczelnika łódzkiego gniazda tejże organizacji, prowadził zajęcia sportowe dla młodzieży o charakterze wojskowym, w 1916 r. uzyskał uprawnienia pedagogiczne i uruchomił zakład gimnastyczny przy ul. Długiej 29 (ob. Gdańska), w listopadzie 1918 r. brał udział w rozbrajaniu Niemców na ulicach Łodzi. L. Dąbrowski, F. Waszkiewicz, *Dzieje sokolstwa w Łodzi*, Łódź 1921, s. 11; K. Jurek, *Harcerstwo łódzkie w alce o niepodległe państwo polskie.*
11. GP 24 VI 1916, nr 174, s. 4.
12. GP 23 VIII 1916, nr 234, s. 4.
13. W latach wojny znacznie wzrosła w Łodzi liczba szkół oraz uczęszczających do nich uczniów. Systematycznie prowadzono też działania na rzecz zaprowadzenia w mieście obowiązku szkolnego, szerzej: E. Podgórska, Rozwój oświaty w Łodzi do 1918 r., Łódź 1973; J. Zalewski, *Wprowadzenie i realizacja powszechnego obowiązkowego nauczania w Łodzi,* „Przegląd Historyczno-Oświatowy" 1960, nr 3, *passim.*
14. „Gazeta Łódzka" (dalej: GŁ) 25 IV 1916, nr 113, s. 3.
15. GŁ 21 IX 1917, nr 260, s. 1.
16. *Ibidem.*
17. APŁ, GKO, sygn.177, k. 97, Protokół posiedzenia Sekcji Szkolnej GKO z dn. 6 V 1915 r., Zakłady Przemysłu Bawełnianego Ludwika Geyera Spółka Akcyjna w Łodzi, sygn. 561, k. 65, Pismo dyrekcji Szkoły Miejskiej 6-klasowej do Miejscowej Rady Opiekuńczej z dn. 9 X 1916 r.
18. GŁ 25 IV 1916, nr 113, s. 3.
19. APŁ, AmŁ, Wydział Oświaty i Kultury (dalej: WOiK), sygn. 16.288, Program krótkiego kursu rozwoju fizycznego i metodyki gimnastyki dla nauczycieli szkół średnich i ludowych.
20. APŁ, AmL, WOiK, sygn. 16.288, k. 227, Pismo A. Lindnera do Wydziału Szkolnego z dn. 14 VII 1916 r.
21. Towarzystwo „Wiedza"– organizacja działająca od 1908 r., prowadziła działalność na rzecz upowszechniania wiedzy i kultury, głównie wśród robotników, prowadziła liczne biblioteki, organizowała odczyty oraz kursy, J. Konieczna, *Działalność kulturalno-oświatowa Towarzystwa „Wiedza" w Łodzi w latach 1908-1918,* „Rocznik Łódzki" 1994, T. XLI, passim; GP 20 X 1916, nr 292, s. 5.
22. *Historia polskich zapasów…, op.cit.*, s. 26.
23. Dziennikarz „Gazety Łódzkiej" odnotował: „Wykłady te […] i doniosłość celu w chwili ogólnego upadku fizycznego, posiadają pierwszorzędne znaczenie dla wiedzy i wychowania młodzieży oraz pielęgnowania wieku dojrzałego doby obecnej", GŁ 23 X 1917, nr 292, s. 3.
24. Nazwa stowarzyszenia nawiązywała do Apollina-Feba, greckiego patrona światła.
25. APŁ, AmŁ, Wydział Zdrowotności Publicznej (dalej: WZP), sygn. 18.854, k. 14, Pismo W. Pytlasińskiego do Magistratu z dn. 17 IV 1916 r.
26. GP 1 VII 1918, nr 177, s. 3; „Nowy Kurier Łódzki" (dalej: NKŁ) 14 VIII 1916, nr 221, s. 3.
27. A. Stawiszyńska, *Tyle słońca…, op. cit.*, s. 20.
28. Jedna z największych akcji dobroczynnych organizowanych na ziemiach polskich w czasie Wielkiej Wojny. Przedsięwzięcie zostało zorganizowane po raz pierwszy w 1916 r. pod auspicjami Rady Głównej Opiekuńczej i kontynuowane w latach późniejszych. W działanie te zaangażowanych było 16 590 kwestarzy. Osoby dające datki otrzymywały zazwyczaj pamiątkowe

znaczki. Pieniądze zbierano podczas specjalnie organizowanych imprez kulturalnych, odczytów, wystaw itp. Nad przebiegiem akcji na terenie Łodzi czuwała komisja pod przewodnictwem ks. H. Przeździeckiego. W 1916 r. na terenie powiatu łódzkiego zebrano 9810 rubli, M. Przeniosło, *Organizacje samopomocy społecznej w Królestwie Polskim w latach I wojny światowej*, „Niepodległość i Pamięć" 2011, R. XXXIII, s. 69-70.

29. „Echo" 12 VI 1930, nr 158, s. 5.
30. *Historia polskich zapasów..., op. cit.*, s. 3, 22; M. Rotkiewicz, K. Hądzelek, *Powstanie i działalność polskich związków sportowych (II) 1919-1925*, „Sport Wyczynowy", 2007 nr 10-12, s. 114.
31. „Republika" 12 XI 1933, nr 315, s. 4.

Przetrwali na Piotrkowskiej

Mała łódzka historia

To największą Łodzi troską,
Aby Łódź całą zmieścić na Piotrkowską.
Jan Sztaudynger

Paryż ma swoją Sekwanę, Warszawa malownicze nabrzeża Wisły, a Łódź jedynie Piotrkowską, którą też płyną od wielu pokoleń… tłumy ludzi. Zawsze: rano i wieczorem, nawet nocą, ale to było dawno, zwykle mówimy przed wojną, bo to oczywista cezura czasu. Kamienice wtedy były pojemne, jedna z nich w swym wnętrzu (razem z oficynami) ukrywała siedemnaście sklepów z tkaninami, jak przystało na miasto włókniarzy! Nawet mały lokalik przy tej ulicy był bardzo cenny. Samochody były rzadkością, za to chodniki były zaludnione gęsto, gęściej niż dziś. O tym tłoku na Piotrkowskiej opowiadał niegdyś swojemu synowi Józef Zaborski, długoletni właściciel zakładu optycznego przy Piotrkowskiej 33.

Pamiętam od dzieciństwa tę charakterystyczną, skromną wystawę z okularami. Zakład Józefa Zaborskiego już od wielu, wielu lat prowadzą jego synowie Paweł i Marek i ciągle przyciąga on klientów, pomimo działających niedaleko wielkich międzynarodowych firm optycznych. Zdumiewające, jak właściciele ci przetrwali różne, niełatwe czasy…

Optyk

Jak zaczęła się przygoda Józefa Zaborskiego z zawodem? Już przed wojną jako bardzo młody człowiek praktykował w wielkiej firmie optycznej przy ulicy Narutowicza. Tak postanowił, bo nie chciał kontynuować ciężkiej pracy ojca, właściciela zakładu mechanicznego mieszczącego się przy ulicy Wschodniej. Kiedy wybuchła wojna, Józef Zaborski razem z 18 Drużyną Harcerską poszedł na ratunek Warszawie.

Dalszy ciąg opowieści o Warszawie jest znany. Józef Zaborski przedostał się więc z powrotem do Łodzi. Tu na rodzinę od początku okupacji zaczęły spadać ciosy. Najpierw aresztowano stryja Piotra Zaborskiego, znanego adwokata Urzędu Miasta, który znajdował się na niemieckiej liście proskrypcyjnej sporządzonej już przed wojną. Lista obejmowała znamienitszych obywateli, głównie polską inteligencję. Łódzka lista musiała być przygotowana zapewne dawno, zdarzało się bowiem, że szukano osób według adresów, które od kilku lat były nieaktualne. W ten sposób

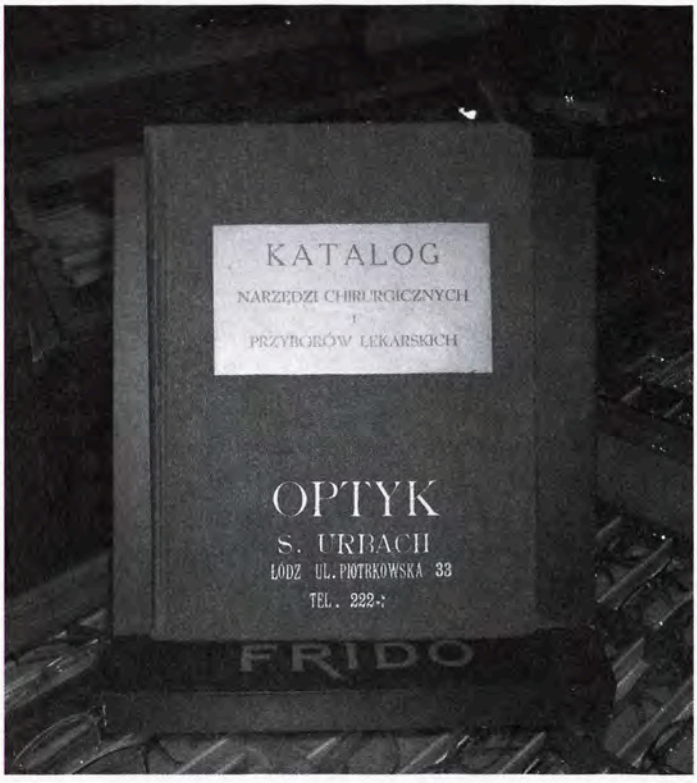

zmiana miejsca zamieszkania ratowała im życie, sąsiedzi solidarnie twierdzili, że nie wiedzą, gdzie poszukiwani potem zamieszkali.

Po jakimś czasie, w niezbyt jasnych okolicznościach, Józefa Zaborskiego aresztowano i zamknięto w osławionym obozie o długiej i zmiennej historii (od obozu przesiedleńczego do więzienia i obozu koncentracyjnego) Radegast: Erweitertes Polizeigefängnis und Arbeitserziehungslager – to znane miejsce na Radogoszczu, dziś uczczone pomnikiem i muzeum.

Gdy Józef Zaborski przebywał w obozie, Łódź nabierała coraz mocniej zewnętrznych oznak niemieckiego miasta. Po zamknięciu Żydów w getcie, przymusowym wysiedleniu Polaków do Generalnej Guberni, Litzmannstadt było już dość przestronnym miastem przeznaczonym przez rząd III Rzeszy dla osiedlenia tu niemieckich kolonistów mieszkających od wielu pokoleń na Łotwie. Jednemu z nich władze oddały do dyspozycji zakład optyczny. Nie wiemy i pewnie nigdy się nie dowiemy, czy Höppner przyjechał do Łodzi z własnej woli i ochoty, czy został przymuszony polityką władz. W każdym razie uprawiał swój zawód tutaj, o czym świadczy zachowana do dziś pożółkła koperta na okulary z nadrukiem: **Augenoptiker M.Höppner, Litzmannstadt C2, Adolf Hitler- Strasse 33**.

Uratowany z Radogoszcza

Praca optyka wówczas była żmudna. Nie było tak doskonałych maszyn jak dziś, a ręczna obróbka szkieł była bardzo czasochłonna, klientów zaś nie brakowało. Höppner potrzebował pomocy, dodatkowego pracownika, poszedł więc do odpowiedniego Arbeitsamtu, niemieckiego urzędu zatrudnienia, i złożył zapotrzebowanie. Szukano specjalisty, zapewne długo, bo w końcu znaleziono go dopiero w więzieniu na Radogoszczu.

Można sobie wyobrazić, że w sytuacji młodego człowieka była to duża zmiana. Nie narzekał na nią, cieszył się, ale dopiero potem mógł zrozumieć jakiego końca los mu oszczędził. Höppner, sam o tym nie wiedząc, uratował w ten sposób młodego adepta sztuki optycznej od strasznej śmierci w płomieniach, jaką zgotowali więźniom tego obozu Niemcy w styczniu 1945 roku.

Paweł Zaborski – starszy z jego synów – wspomina, że już po wyzwoleniu, kiedy zdarzało się jechać z rodzicami w kierunku Zgierza (a miejsce po obozie jeszcze przypominało to, co się wydarzyło, bo nie było uporządkowane, wciąż widać było sczerniałe resztki murów), ojciec zawsze wracał do tragicznej historii. Denerwował się, opowiadał o widoku ludzi spalonych żywcem, bo czuł się z ofiarami wewnętrznie związany, mówił, że tylko cudem uniknął takiego losu. Ta trauma tkwiła w nim latami.

Zaraz po 17 stycznia 1945 roku, kiedy przeszła pierwsza fala wojska Armii Czerwonej i żołnierzy generała Berlinga, ludność zaczęła pospiesznie wracać do swoich mieszkań, z których wygnał ich okupant. Był to prawdziwy exodus: paczki, wózki, dzieci, starcy, wszyscy szli w różnych kierunkach. Następna fala wojska zatrzymała się w mieście na dłużej. Wystawiano warty przed miejscami narażonymi na rabunek. Głód i chłód wygnał młodego Józefa Zaborskiego w poszukiwaniu pracy, kręcił się więc blisko zamkniętego zakładu optycznego. Zapytany przez rosyjskiego żołnierza, co tu robi, odpowiedział, że tu kiedyś pracował. Rosjanin, nie namyślając się, rozbił kłódkę i powiedział: „Masz, pracuj!". Oszołomiony pracownik Höppnera wszedł do zakładu…

Spadkobiercy Szymona Urbacha

Dziś zakład optyczny przy Piotrkowskiej 33 prowadzony jest przez następne pokolenie. Od starszego z braci, Pawła, który pamięta więcej z dawnych czasów, można dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy. Historia tego zakładu nie zaczyna się bowiem od Höppnera. Przed wojną mieścił się tu zakład optyczny Szymona Urbacha. Sprzedawano w nim wówczas także narzędzia lekarskie, o czym świadczy zachowany tekturowy szyld, który znajduje się jeszcze do dziś w zakładzie. Wisiał on we wnętrzu sklepu.

Po zakończonej wojnie wrócili do Łodzi ze Związku Radzieckiego prawowici potomkowie Szymona Urbacha. Uniknęli getta, obozów śmierci i przetrwali, ale teraz byli w oficerskich mundurach, a w ówczesnej sytuacji politycznej lepiej dla nich było nie posiadać żadnych więzi z tak zwanym drobnomieszczaństwem, jak nowa władza nazywała posiadaczy „narzędzi produkcji". Uwikłani w ideologiczną sieć nie mogli jednak sprzedać tego, do posiadania czego nie można się im było przyznać. W końcu, po

zawiłych procedurach spadkowych, pozornymi właścicielkami stały się kobiety z rodziny Urbachów, które nie miały pretensji politycznych i były mniej narażone na szykany. To one oficjalnie sprzedały w 1945 roku zakład optyczny Józefowi Zaborskiemu, który on spłacał w ratach. Nie został on bynajmniej Zaborskiemu podarowany, jak można by wnosić z jakiejś wypowiedzi Jerzego Urbana, wnuka Szymona Urbacha. Obecni właściciele posiadają odpowiednie dokumenty, a Urban, któremu zresztą rozmijanie się z prawdą nie było raczej obce, w 1945 roku był ledwie jedenastoletnim chłopczykiem, niedokładnie poinformowanym o tej sprawie.

Trwanie i przetrwanie

Pytam więc braci Zaborskich o historię późniejszą, bo uporczywe trwanie przy rodzinnej tradycji wydaje się godne podziwu. Taki upór oznaczał wówczas stałe borykanie się z zaopatrzeniem, a w obliczu niechętnej polityki władz PRL do tak zwanej „inicjatywy prywatnej" wielu likwidowało swoje zakłady. W pamięci Pawła Zaworskiego obraz tych lat to przede wszystkim atmosfera lęku i niepewności, czekania na to, kiedy przyjdą i zabiorą zakład i jak się przygotować do takiej sytuacji. Nawet w Święto Pracy trzeba było pokazać się w pochodzie, nie przeciwstawiać się niczemu; przecież komuniści mogli przyjść i zapłacić domiar. Otrzymywali skromne przydziały materiałów optycznych, zawsze niewystarczające, które rozdzielał Cech Rzemieślniczy. Szczęśliwie mogli je skrycie uzupełniać materiałami pochodzącymi jeszcze z zasobów Höppnera.

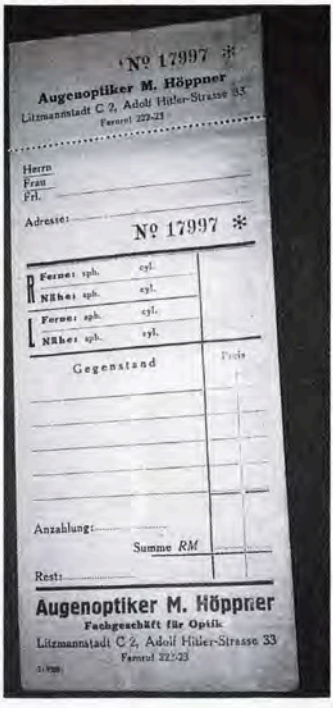

Atmosfera strachu doprowadzała nawet do zrywania przyjaznych kontaktów ze znajomymi z zagranicy, ich przesyłki też były niebezpieczne. Paweł Zaworski wspomina swoją dziecięcą radość, gdy przychodziły paczki ze smakołykami niedostępnymi i nieznanymi wówczas tutaj, pamięta, że jako dziecko czekał na nie i bardzo się cieszył niespodziankami. Przychodziły od dwóch wdzięcznych dziewcząt, które ukrył przed Niemcami dziadek. Jak? Nie wie, bo był za mały, gdy o tym mówiono. Wie natomiast z tradycji rodzinnej, że ulica Wschodnia, gdzie mieszkał dziadek, była przed wojną zamieszkała przez Żydów i Polaków i kontakty sąsiedzkie były często przyjacielskie. Niestety, w pewnym momencie powodowana strachem rodzina przestała odpisywać na zagraniczne listy i tak, ku rozczarowaniu dziecka, ta przygoda się skończyła. Pozostały jedynie imiona kobiet z listów. Jedna z nich na pewno nazywała się Masia, tyle do dziś zachowało się w pamięci.

Nic dziwnego, że wobec życia w takim świecie maturzysta Paweł zdecydował się na studia politechniczne na mechanice. Niestety, podczas studiów ojciec zaczął chorować. Trzeba go było wspomóc, bo drugi brat był jeszcze za młody. Pomoc doraźna zaczynała zamieniać się w stałą i tak powoli nastąpiło przejęcie zakładu przez młodsze pokolenie. Ojciec umarł w 1986 roku. Potem do pomocy przyszedł młodszy brat Marek i tak wespół do dziś prowadzą rodzinną firmę.

Pytam o przygotowanie do zawodu, bo pamiętam, że były jakieś szkoły kształcące optyków, i dowiaduję się, że owszem, była taka jedyna szkoła w Poznaniu. I dziś na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Adama Mickiewicza tylko tam istnieje specjalizacja optometryczna. Tam też trzeba było się doszkolić, kiedy pojawiła się elektronika wykorzystywana w tym zawodzie. Jest to dziś bowiem praca, w której należy posługiwać się skomplikowanymi urządzeniami, komputerami, bezpyłowymi tarczami diamentowymi.

Zmieniły się czasy i technologie, ale mały zakład optyczny przetrwał. Tak jak przetrwała historia rodzinna Zaborskich wpisana od „od zawsze" w szlak ulicy Piotrkowskiej.

Magdalena Starzycka
– pisarka, publicystka

Artykuł powstał dzięki informacjom udzielonym przez Pana Pawła Zaborskiego.
Link do strony ze wspomnianym wywiadem z J. Urbanem: http://lodz.gazeta.pl/lodz/1,35153,12569027,Jerzy_Urban_opowiada_o_swoim_dziecinstwie_w_Lodzi.html#ixzz3ZWtL8fVz

Kim była Lidia Gablerówna?

Zapomniana śpiewaczka łódzkiej sceny

Gdyby w czasie pierwszej wojny światowej spytać któregoś z ówczesnych łódzkich melomanów o personalia najlepiej zapowiadającej się łódzkiej śpiewaczki, ten bez wątpienia wskazałby postać Lidii Gablerówny, która od około 1913 roku święciła triumfy na tutejszych scenach. Niestety, nie zachowały się dokumenty mogące podać chociażby jej rok urodzenia[1]. Jedynym bodaj źródłem, z którego można dziś czerpać wiedzę na temat życia śpiewaczki, jest prasa łódzka, która niemal jednogłośnie nie szczędziła artystce pochwał.

Lidia Gablerówna odebrała staranne jak na łódzkie warunki wykształcenie muzyczne w Szkole Muzycznej działającej przy Towarzystwie Muzycznym im. Chopina[2]. Szkoła wzorowana była na Warszawskim Konserwatorium Muzycznym; uchodziła za najlepszą tego typu placówkę w mieście chociażby ze względu na fakt, że uczyli w niej tak cenieni łódzcy muzycy jak Gottlieb Teschner. W szkole oferowano m.in. naukę śpiewu operowego, choć za przesadne należało uznać stwierdzenie jej kierownictwa, że placówka zapewniała odbycie „pełnych studiów operowych"[3].

Uczennica Bensmana

Gablerówna była uczennicą klasy prowadzonej przez znanego nie tylko w Łodzi kompozytora prof. Mateusza Bensmana. Swoje pierwsze artystyczne kroki młoda artystka stawiała podczas koncertów organizowanych właśnie przez szkołę, a występy te były dostrzegane przez miejscowych krytyków muzycznych. Wykonywała wówczas takie arie, jak *Samson i Dalila* Camille'a Saint-Saënsa, *Ave Maria* czy *Do zasmuconej* Mieczysława Karłowicza[4]. Często występowała też w duecie z uczniem tej samej klasy śpiewu operowego, Józefem Wystopem, z którym wykonywała chociażby pieśń *Pod krucyfiksem*[5]. Po jednym z organizowanych przez szkołę rautów połączonych z koncertem obecny na występie recenzent „Rozwoju" zanotował: „Taka moc bisów była dowodem, że głos panny Gablerówny podobał się niezmiernie, jest to mezzosopran o dużej skali i uczuciowy, nadający się do poważnych kreacji operowych. Należy zwrócić wróżyć młodej adeptce sztuki młodą przyszłość [...]"[6].

Szkoła Muzyczna, do której uczęszczała Gablerówna dała jej nie tylko podstawy stricte techniczne do tego, by śpiewać, ale zapewniła młodej artystce kontakty z najważniejszymi łódzkimi muzykami, którzy niewątpliwie starali się jej dopomóc w artystycznym starcie. Bez wątpienia za odkrywcę jej talentu należy uznać

dyrektora szkoły, a zarazem cenionego kompozytora Tadeusza Joteykę[7], który wielokrotnie powierzał jej wykonywanie swoich utworów, takich jak *Wstań pieśni* do słów Lucjana Rydla czy *Króla w Thulli*[8]. Współpraca z dyrektorem szkoły dała młodej artystce szansę występów także poza granicami rodzinnego miasta. W lutym 1914 roku Lidia Gablerówna wystąpiła podczas poranka muzycznego poświęconego twórczości Joteyki, zorganizowanego w Filharmonii Warszawskiej. Tam młoda artystka wykonała pieśni z muzyką swojego mistrza, tj. *Króla w Thulli, Limbę, Morze* czy mazurka *Rozśpiewałabym się w głos*[9]. Współpraca z Joteyką nie trwała jednak długo, gdyż ten opuścił Łódź około połowy 1914 roku i przeniósł się na stale do Warszawy, gdzie dyrygował orkiestrą symfoniczną w tamtejszej Filharmonii[10].

Jak podkreślali krytycy muzyczni, kolejną postacią, która miała ogromny wpływ na rozwój artystyczny Lidii Gablerówny, był niewątpliwie kompozytor Mateusz Bensman[11]. To właśnie on nie tylko angażował Gablerównę do różnych przedsięwzięć artystycznych, ale także podejmował kroki mające na celu zapewnienie jej repertuaru na miarę talentu młodej artystki. Działaniom tym nie sprzyjała jednak ówczesna sytuacja polityczna i wybuch pierwszej wojny światowej.

Znakomite recenzje

Po chwilowym zamarciu życia kulturalnego młoda śpiewaczka powróciła na łódzką scenę na początku 1915 roku podczas wielkiego koncertu w teatrze Scala, zorganizowanego na rzecz prof. Mateusza Bensmana[12]. Jej występ był niewątpliwie jednym z najważniejszych punktów wieczoru i zarówno organizatorzy, jak i prasa podkreślali wielokrotnie udział Gablerówny w tymże przedsięwzięciu[13]. Koncert odniósł spodziewany sukces, a miejscowi krytycy muzyczni w swych recenzjach koncentrowali się niemal wyłącznie na osobie młodej śpiewaczki, zwracając uwagę na jej bogaty warsztat artystyczny:

> [...] wykonawcy programu stanęli na wysokości zadania, wykazując nadzwyczajny umiar artystyczny. W pierwszym rzędzie stanęła wybitna, mimo młodego wieku, śpiewaczka panna Gablerówna. Głos duży mezzosopranowy, który zaczyna się od dolnego, pięknie brzmiącego registru i dochodzi do najwyższych tonów, które są nader głębokie. Tony dolne brzmią czysto piersiowo, jak czysty alt. Panna Gabler panuje i włada nadzwyczajnie swym głosem, co jest wymownym dowodem doskonałej szkoły. Filowanie każdego dźwięku, poczynającego od mezzo-voce i dochodzącego do silniejszego forte, przyznać trzeba było nadzwyczajne. Talent p. G. jest dojrzały, nadaje się w zupełności do partii dramatycznych, wobec silnie brzmiącego pięknego głosu. Wrażenie, wywierane przez śpiew p. Gabler jest nader sugestywne, nic więc dziwnego, iż oklaskom i wywoływaniom nie było końca (...)[14].

Także kolejne koncerty z udziałem młodej śpiewaczki przyciągały miejscowych melomanów. W marcu 1915 roku miał miejsce występ, na który zapra-

szano poprzez znacznych rozmiarów anonse prasowe, rzadko spotykane w przypadku koncertów miejscowych muzyków. Wspomniany koncert, określany przez organizatorów jako „wielki", odniósł zapewne sukces, a o stale rosnącym gronie miłośników jej talentu świadczyły chociażby słowa recenzenta muzycznego „Gazety Łódzkiej":

> [...] Zapowiedziany na sobotę d. 20 b.m. w teatrze „Thalja" wielki koncert Lidii Gablerówny wzbudził, jak było do przewidzenia, znaczne zainteresowanie. Występy p. Gablerówny cieszą się stale powodzeniem, jest to dowód, że publiczność należycie ocenia jej talent. Pięknie brzmiący głos, ze zrozumieniem odtwarzane pieśni świadczą o nader wysokiej kulturze i inteligencji artystycznej [...][15].

Wśród miejscowej krytyki muzycznej dało się jednak słyszeć opinię, że wokół koncertu Gablerówny jego organizatorzy wytworzyli nieuzasadnione wrażenie, jakoby był on wielkim wydarzeniem kulturalnym i artystycznym. Ignacy Weinstein, krytyk związany z redakcją „Nowego Kuriera Łódzkiego", z lekkim niesmakiem zauważył:

> [...] Poprzedzony szumną reklamą wielki koncert p. L. Gablerówny – odbył się w sobotę przy słabym udziale publiczności. Pomijam względy natury materialnej, kierujące tymi, którzy koncert ten urządzili – zaznaczam tylko, że nadużywanie słowa „wielki" dla tychże celów [...] jest co najmniej niewłaściwe i bałamucące opinię publiczną [...][16].

Weinstein, zaliczający w dalszej części swego wywodu L. Gablerównę do „artystek średniej miary", a sam program określający jako „mało obiecujący", zauważył jednak niesprzyjające warunki, jakie panowały w sali koncertowej: „Co do wykonawców sobotniego koncertu – to ze względu na wyjątkowe zimno, panujące w sali teatralnej, co musiało ujemnie wpłynąć na charakter produkcji wokalnych, a specjalnie na emisję głosu – od wszelkiej oceny na razie wstrzymać się jestem zmuszony [...]"[17].

Łódzkie Kółko Operowe

Działająca w Łodzi artystka nie miała możliwości występowania na profesjonalnej scenie operowej w rodzinnym mieście, bo w Łodzi jej nie było. Pewne zmiany w tej kwestii nastąpiły w 1915 roku, kiedy to Bensman założył I Łódzkie Kółko Operowe, którego ambicją było wystawianie klasycznego repertuaru operowego. Do realizacji ambitnego zadania kompozytor angażował zarówno profesjonalnych muzyków, jak i utalentowanych amatorów. Zestawienie to nie zawsze przekładało się jednak na sukcesy artystyczne[18]. Jedną z członkiń wspomnianego Kółka została też Lidia Gablerówna[19]. Odpowiedzialny za dobór artystów do poszczególnych ról Mateusz Bensman obsadził ją m.in. w roli Cyganki w operze Verdiego *Trubadur*. Jej występ po raz kolejny spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem zarówno ze strony publiczności, jak i krytyków:

> Panna Gablerówna była przedwczoraj ozdobą całego wieczoru i ładny głos jej mezzosopranowy i gra sceniczna przypominały zawodowa śpiewaczkę, obytą już ze sceną. Szczególnie ładnie wypadł ostatni akt, w którym p. Gablerowna odśpiewała „In unser Heimat keher wir wieder" zbierając zasłużone oklaski no i wiele, wiele kwiatów[20].

I Łódzkie Kółko Operowe pozostawało jednak jedynie namiastką świata wielkiej opery i nawet najbardziej życzliwi krytycy zauważali czasem pewne niedostatki wynikające nie tylko z braku obycia scenicznego angażowanych w nim artystów, ale i ułomności natury czysto technicznej, takie jak chociażby niedostateczna charakteryzacja. Niemniej współpraca ze wspomnianym zespołem pod kierownictwem Bensmana dawała Gablerównie szansę na współpracę z wybitnymi artystami, którzy gościnnie dołączali do łódzkiego zespołu. W styczniu 1916 roku artystka wystąpiła w *Carmen* u boku gwiazd Opery Warszawskiej, takich jak Helena Tracewska czy Henryk Drzewiecki[21].

Uznanie i popularność...

Uznanie dla młodej śpiewaczki na gruncie łódzkim systematycznie rosło. O tym, że Lidia Gablerówna była najbardziej cenioną łódzką artystką, świadczyć mógł chociażby fakt, że posiadała własny, stworzony specjalnie dla niej repertuar, który opracowali wspomniany wcześniej kompozytor M. Bensman oraz współpracujący z poczytnym dziennikiem „Neue Lodzer Zeitung" ceniony literat, Heinrich Zimmermann[22]. Szczególną popularnością w czasie występów cieszył się utwór autorstwa H. Zimmermanna *Pieśń wojenna*[23]. Inną stworzoną z myślą o L. Gablerównie przez H. Zimmermanna pieśnią był utwór *Ostatnia wybiła godzina rozstania przed pójściem na wojnę*[24].

Mimo życzliwości, jaką obdarzano artystkę, gwiazda Lidii Gablerówny zniknęła nagle około 1917 roku, co mogło mieć związek z mającym w tym czasie wyjazdem z Łodzi Mateusza Bensmana.

Wobec faktu, że działalność artystyczna Lidii Gablerówny nie została w żaden sposób utrwalona i nie ma możliwości zapoznania się z jej głosem, nasuwają się pewne pytania dotyczące jej osoby. Czy faktycznie była, tak jak przedstawiało ją większość miejscowych krytyków muzycznych, niezwykle obiecującą śpiewaczką? Artystką o wielkim potencjale, która w łódzkich warunkach nie mogła się w pełni się rozwinąć? Obiecującym talentem, w który uwierzyli ludzie sztuki, tacy jak T. Joteyko, M. Bensman czy H. Zimmermann, którzy podobnie jak ona aspirowali do odniesienia sukcesów także poza Łodzią? Czy tylko średnio uzdolnioną i wykształconą dziewczyną, która wybijała się jednak ponad miejscowe amatorki, wypełniając pewną lukę na ówczesnej łódzkiej scenie muzycznej? Śpiewaczką obdarzoną zdolnością interpretacji utworów, które doskonale trafiały do łódzkiej, niekoniecznie obytej z wielkimi scenami operowymi publiczności? Czy może tylko osobą zdolną, lecz pozbawioną większej

charyzmy i sztuki przebicia, której kariera skończyła się wraz z wyjazdem z miasta jej protektora?

W 100 lat po tym, jak święcąca trumfy na łódzkich scenach panna Gablerówna była oklaskiwana przez swoich wielbicieli, trudno jednoznacznie określić poziom artystyczny reprezentowany przez młodą śpiewaczkę. Najbliższe prawdzie byłoby chyba stwierdzenie, że Lidia Gablerówna była spełnieniem oczekiwań tej części łódzkich melomanów, którzy chcieli mieć w Łodzi namiastkę wielkiej kultury muzycznej, a co za tym idzie, prawdziwą, choć również dostosowaną do łódzkich realiów gwiazdę.

Aneta Stawiszyńska
– historyk

Bibliografia:

Archiwalia:

Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta miasta Łodzi.

Czasopisma:

„Echo Muzyczne, Teatralne i Artystyczne", „Niemcy–Austria–Szwajcaria", „Zeszyty Wiejskie".

Prasa:

„Canadian Jewish Review", „Gazeta Łódzka", „Gazeta Wieczorna", „Nowy Kurier Łódzki", „Rozwój".

Opracowania:

1. *75 lat esperanta w Łodzi*, pod red. T. Szewery, Łódź 1983.
2. *Dyrygenci polscy i obcy w Polsce działający w XIX i XX w.*, pod red. W. T. Błaszczyka, Kraków 1964.
3. Dyzbardis S., *20 lat sceny operowej w Łodzi*, Łódź 1974.
4. Pellowski A., *Kultura muzyczna Łodzi do 1918 roku*, Łódź 1994.
5. Stawiszyńska A., *Bitwa Łódzka okiem łodzianina i literata. Aus unvergesslichen Tagen. Tagebuchaufzeichnungen Heinricha Zimmrmanna*, „Niemcy–Austria–Szwajcaria" 2012, T. V.
6. Stawiszyńska A., *Śpiewający doktor. Działalność medyczna, społeczna i artystyczna Lazara Prybulskiego w latach Wielkiej Wojny. Wybrane zagadnienia*, „Kronika miasta Łodzi" 2014, nr 3.
7. Stawiszyńska A., *Wiejska okolica Łodzi czasów Wielkiej Wojny w publicystyce Theodora Abla i Heinricha Zimmermanna*, „Zeszyty Wiejskie" 2013, T. XVIII.

Przypisy:

1. L. Gablerówna nie figuruje np. w Księgach Ludności Stałej miasta Łodzi.
2. Towarzystwo Muzyczne im. F. Chopina – powstało w 1910 r., w setną rocznicę urodzin kompozytora; jego założycielem był Tadeusz Joteyko. Głównym zadaniem towarzystwa było wypełnienie luki w życiu kulturalnym Łodzi, jaka powstała po zaprzestaniu działalności przez Łódzkie Towarzystwo Muzyczne. Zob.: A. Pellowski, *Kultura muzyczna Łodzi do 1918 roku*, Łódź 1994, s. 234-236.
3. Szkoła oferowała także naukę śpiewu, gry na instrumentach, kontrapunktu, sztuki dramatycznej, teorii muzyki i kompozycji. Zob.: „Rozwój" (dalej: R) 5 IX 1913, nr 204, s. 3; S. Dyzbardis, *20 lat sceny operowej w Łodzi*, Łódź 1974, s. 40.
4. R 30 XII 1913, nr 298, s. 3.
5. Imię nieznane, R 12 XII 1913, nr 285, s. 3; *Ibidem*, 30 I 1914, nr 24, s. 5.
6. R 25 XI 1913, nr 271, s. 3.
7. Tadeusz Joteyko (1872-1932) – kompozytor. W latach 1902–1903 pełnił funkcje dyrektora artystycznego Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego; dyrygent Towarzystwa Śpiewaczego „Lira" w latach 1904-1914; dyrygent i dyrektor artystyczny Towarzystwa Śpiewaczego „Arfa". Od 1910 r. pełnił funkcję dyrektora Towarzystwa Muzycznego im. Chopina; autor licznych artykułów dotyczących życia muzycznego Łodzi początków XX w. zamieszczanych m.in. na łamach łódzkiego dziennika „Rozwój" czy „Dziennika Łódzkiego". Organizator licznych imprez muzycznych w Łodzi. Około 1914 r. przeniósł się do Warszawy. Zob.: *Dyrygenci polscy i obcy w Polsce działający w XIX i XX w*, pod red. W. T. Błaszczyka, Kraków 1964, s. 116-117; A. Pellowski, *op. cit.*, s. 21, 25, 113-116, 122, 152, 173, 178, 182-183, 227-228, 232, 238-239.
8. R 30 XII 1913, nr 298, s. 3.
9. „Gazeta Łódzka" (dalej: GŁ) 11 II 1914, nr 33, s. 3.
10. http://pl.chopin.nifc.pl/chopin/persons/text/cat/3/page/8/id/3169 [dostęp 8 stycznia 2015].
11. Mateusz Bensman (uroku 1877 w Mińsku, zm. 1922 w Nowym Jorku) – absolwent Konserwatorium Muzycznego w Mediolanie. W 1905 r. M. Bensman napisał oratorium *L'annunciazione* (Zwiastowanie) z librettem Conrado Bratelliego, wystawione w tym samym roku we Włoszech. W swojej twórczości często nawiązywał do swojego żydowskiego pochodzenia (skomponował m.in. operę *Żydzi*). Za jego najważniejsze dzieło uważa się libretto do opery *Iramis*, za które muzyk otrzymał w 1905 roku nagrodę (medal) na konkursie Verdiego w Mediolanie. Około 1910 r. przybył do Łodzi, gdzie współpracował z Towarzystwem Muzyczno-Dramatycznym „Harfa". Udzielał prywatnych lekcji śpiewu, reklamując się jako „profesor z Mediolanu". Zmarł w 1922 r. na atak serca podczas pobytu w Nowym Jorku, gdzie miał wystawić w Carnegie Hall operę *Palestyna*. Do realizacji przedsięwzięcia nie doszło ze względu na zdefraudowanie pieniędzy przez organizatorów koncertu. Zob.: „Canadian Jewish Review" 9 IV 1922, s. 5.; http://composers-classical-music.com/b/BensmanMatteo.htm [dostęp: 8 stycznia 2014]; A. Pellowski, op. cit., s. 240; „Echo Muzyczne, Teatralne i Artystyczne" 1904, nr 5-6, s. 114; GŁ 25 X 1915, nr 282, s. 4.
12. „Gazeta Wieczorna" (dalej: GW) 15 I 1915, nr 12, s. 3.
13. GŁ 16 I 1915, wydanie popołudniowe, s. 4.
14. GŁ 21 I 1915, nr 8, s. 3.
15. GŁ 18 III 1915, nr 64, s. 3.
16. NKŁ 22 III 1915, nr 80, s. 3.
17. *Ibidem*.

18. A. Stawiszyńska, *Śpiewający doktor. Działalność medyczna, społeczna i artystyczna Lazara Prybulskiego w latach Wielkiej Wojny. Wybrane zagadnienia*, „Kronika miasta Łodzi" 2014, nr 3.
19. A. Pellowski, *op. cit.*, s. 324.
20. GŁ 7 VIII 1915, nr 203, s. 4.
21. GŁ 25 I 1916, nr 24, s. 3; A. Pellowski, op. cit., s. 325.
22. Heinnrich Zimmermann – dziennikarz i felietonista „Neue Lodzer Zeitung"; pisywał teksty poświęcone tematyce kulturalnej, publikował swoje wiersze. Na łamach wspomnianego dziennika ukazał się jego dziennik będący zapiskiem jego przeżyć z okresu tzw. bitwy łódzkiej w 1914 r. W 1918 r. znalazł się w zarządzie Stowarzyszenia Artystów i Zwolenników Sztuk Pięknych. Był cenionym prelegentem oraz czołowym propagatorem języka esperanto w Łodzi, autorem sztuki scenicznej *Marga* oraz skeczu *Aleksander Wielki* wystawionego przez kabaret Różowy Słoń. Redagował efemeryczne pismo „Freie Buehne" o tematyce kulturalnej. Zob.: Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta miasta Łodzi, Wydział Statystyczny, sygn. 23.576, k. 68, *Lodza Esperanto Societo*; H. Bolanowska, *Kalendarium 75-lecia esperanta w Łodzi*, [w:] *75 lat esperanta w Łodzi*, pod red. T. Szewery, Łódź 1983, s. 13; A. Stawiszyńska, *Bitwa Łódzka okiem łodzianina i literata. Aus unvergesslichen Tagen. Tagebuchaufzeichnungen Heinricha Zimmrmanna*, „Niemcy–Austria–Szwajcaria" 2012, T. V, s. 87-88; *Eadem, Wiejska okolica Łodzi czasów Wielkiej Wojny w publicystyce Theodora Abla i Heinricha Zimmermanna*, „Zeszyty Wiejskie" 2013, T. XVIII, s. 316-317.
23. Po jednym z koncertów wiosną 1915 r. krytyk muzyczny „Gazety Łódzkiej" zanotował: „Sobotni koncert p. L. Gablerówny w teatrze „Thalja" należał bezsprzecznie do rzędu najlepszych w bieżącym sezonie [...] Talent p. G. jest wybitny [...] Z wykonanych utworów wyróżniły się *Pieśń wojenna* uzdolnionego literata Henryka Zimmermanna, do której skomponował muzykę utalentowany kompozytor prof. M. Benzman". Zob.: GŁ 22 III 1915, nr 68, s. 4.
24. A. Stawiszyńska, *Bitwa łódzka...*, s. 88.

Kroniki rodzinne

Życie według Stanisława Rubacha
Cztery pokolenia łódzkiej rodziny
Maria Sondej
str. 127

Życie według Stanisława Rubacha

Cztery pokolenia łódzkiej rodziny

Stanisław Jeremi Rubach, choć skończył 91 lat, mieszka sam i doskonale sobie radzi. Bardzo lubi opowiadać o ludziach, których spotkał, i wydarzeniach, w których uczestniczył. Lubi także o nich pisać. Jego teksty regularnie publikuje łódzki kwartalnik krajoznawczy „Wędrownik", ukazują się także czasem w łódzkim wydaniu „Gazety Wyborczej".

Rozmawiamy w niewielkim pabianickim mieszkaniu. Wokół mnóstwo książek, dokumentów, gazet. Na parapecie spora kupka papierów. „To listy. Muszę je posegregować i zdecydować: wyrzucić czy komuś przekazać" – mówi gospodarz.

Kilka lat temu zmieniał mieszkanie i wtedy Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi wzbogaciło się o wiele eksponatów. Pan Stanisław przekazał do zbiorów przysłane w 1947 roku z Londynu listy wujka Michała, brata matki, w których opisywał on swój wojenny pobyt za kołem polarnym. Razem z innymi zesłańcami budował tam dla „władzy radzieckiej" lotnisko. Jak Michał Żuber trafił do tej nieprzyjaznej krainy? W sierpniu 1939 roku został powołany do wojska i zgłosił się do jednostki w polskiej wówczas Lidzie (dziś Białoruś). Po 17 września i wkroczeniu tam Armii Czerwonej polscy żołnierze wycofali się na Litwę, odpierając po drodze ataki bolszewików i dywersantów. Zostali internowani przez Litwinów, lecz w czerwcu 1940 roku – gdy Sowieci zajęli Litwę – z internowanych zmienili się w niewolników i wujek Michał znalazł się za kołem polarnym. Dopiero po podpisaniu układu Sikorski – Stalin i on, i inni polscy jeńcy, którzy przeżyli, zostali zwolnieni i dotarli do armii Andersa.

„Gdy wujek wrócił do Polski, o dziwo, odnaleźliśmy się, choć 12 grudnia 1939 roku wysiedlono nas z Łodzi i trafiliśmy do Komborni na Podkarpaciu, rodzinnej wsi profesora Stanisława Pigonia. Opisał ją w książce *Z Komborni w świat*" – opowiada Stanisław Rubach. Tyle lat minęło, a on doskonale pamięta rodzinne wakacje w 1935 roku: „Wujek Michał pracował wówczas w Gdyni, w skarbowości, i dzięki niemu ja też tam pojechałem. Gdynia miała 10 lat, ja 11 i to było pierwsze poza Łodzią miasto, które poznałem. Chłonąłem je wszystkimi zmysłami".

Stanisław Rubach nadal ma sporo interesujących dokumentów i część z nich chciałby znowu gdzieś przekazać. Jest wdzięczny ojcu, który w czasie wysiedlania zabrał i w ten sposób ocalił wszystkie dokumenty.

Groby, czyli depozyt pamięci

Poza dokumentami rodzina nie zachowała nic z przedwojennej własności. Wojnę przetrwali w Komborni, a gdy wrócili do Łodzi, mieszkanie było zajęte, mienie rozkradzione. „Zostały tylko groby na Starym Cmentarzu, które kryją szczątki pięciu osób. Każda jest w jakiś sposób zasłużona dla Polski".

Miejsce cmentarne w czerwcu 1923 roku kupił dziadek mojego rozmówcy, Józef Marceli Rubach. Miał dziewięć lat, gdy na własne oczy oglądał jedną z bitew powstania styczniowego, tę pod Sędziejowicami. Brał w niej udział jego ojciec wraz z najstarszym bratem, obaj w pułku kawalerii wystawionym przez ziemiaństwo ziemi sieradzkiej. Za grób dziadek zapłacił 424 400 marek polskich. Już kilka miesięcy później została tam pochowana babcia, Alfreda z Cygańskich Rubachowa. „Smalił do niej cholewki na starość Antoni Edward Odyniec, przyjaciel Mickiewicza. Zachowały się nawet dwa listy z kwietnia i maja 1880 roku, które Odyniec, lat 76, pisał do panny Alfredy, lat 20". Poznali się „u wód" w Szczawnicy, gdzie młodziutka Alfreda przebywała z rodzicami.

Po śmierci żony dziadek dokupił obok drugie miejsce; kosztowało już 50 milionów! Józef Marceli Rubach spoczął obok żony w 1938 roku. „Od roku 1956

leży tam także mój ojciec, Ludwik Alfred. Skończył Charkowskij Tiechnologiczeskij Instytut i odbywał praktyki inżynierskie nad Bajkałem, na wszelki wypadek pod eskortą zabajkalskich Kozaków. Miał 39 lat, gdy w 1920 roku poszedł na ochotnika do Błękitnej Armii generała Hallera". Ponieważ był nauczycielem, musiał mieć zgodę ministerstwa na porzucenie szkoły, by bronić Ojczyzny. Dostał ją, ale pod warunkiem, że pójdzie na front; gdyby trafił na tyły, musiałby wrócić do domu i uczyć dzieci. „Bo wtedy dla władz nauczanie było równie ważne, jak obrona kraju".

Kolejna pochowana w tym grobie osoba to Stanisława z domu Żuber, zmarła w 1973 roku siostra wujka Michała i matka Stanisława Rubacha. Jak z dumą opowiada jej syn, była w tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej powstałej w 1914 roku z inicjatywy Józefa Piłsudskiego. I podobno osobiście znała Marszałka! „W domu był pamiątkowy bagnet, zdobyty przez mamę w listopadzie 1918 roku w czasie rozbrajania Niemców. Obok leżał drugi, przywieziony przez ojca z wojny polsko-bolszewickiej". Obydwa zostały we wrześniu 1939 roku przekazane na rzecz wojska, a pokwitowanie z policji zachowało się do dziś.

W 2008 roku w rodzinnej mogile została pochowana starsza o dwa lata siostra Wanda Eleonora. Absolwentka biologii, razem z ojcem prowadziła tajne nauczanie w miejscu wysiedlenia, czyli w Komborni. „Jestem ostatnim z rodu. Te groby to moja jedyna własność, którą mogę przekazać w testamencie. Nie chcę, by zmarniały. Gdy umrę, opiekę nad nimi przejmą moi sukcesorzy".

Zasłużona nauczycielka

Ojciec Ludwik Alfred Rubach pierwszy angaż nauczyciela dostał w sierpniu 1919 roku w pabianickim gimnazjum im. Królowej Jadwigi, którego dyrektorką była jego siostra, Józefa Apolonia z Rubachów Jędrychowska, osoba bardzo zasłużona dla pabianickiej oświaty. To ona w 1915 roku była założycielką i pierwszą przełożoną prywatnego siedmioklasowego gimnazjum żeńskiego, które potem przekazała wolnej Polsce. Kierowała szkołą do wybuchu drugiej wojny światowej. Mimo pracy zawodowej ukończyła w 1926 roku polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, a kilka lat później uzyskała stopień doktora filozofii. Aktywnie uczestniczyła w życiu społecznym Pabianic, w czasie wojny uczyła na tajnych kompletach w Warszawie, ukrywała żydowskie dzieci.

Mimo tych zasług po drugiej wojnie światowej nie dopuszczono jej do pracy w szkolnictwie i zawodowe życie musiała kończyć jako bibliotekarka w Wytwórni Filmów Oświatowych. Pamiątki po ciotce Stanisław Rubach przekazał miejscowemu muzeum. I cieszy się, że Pabianice o niej nie zapomniały: w 2010 roku Ireneusz Jarzyński i Tomasz Zmysłowski nakręcili interesujący film dokumentalny o liczącej wtedy 95 lat szkole i jej założycielce. Jesienią 2015 roku II LO im. Królowej Jadwigi będzie hucznie obchodzić swoje stulecie.

Ludwik Rubach, czyli ojciec Stanisława, nie miał takich kłopotów jak siostra; wrócił po wojnie do zawodu. Uczył fizyki i chemii, jego uczniem był m.in.

prof. Jan Berner, onkolog, rektor Akademii Medycznej w Łodzi, później prezydent Pabianic. „Ojciec szybko przeszedł na emeryturę, a my już zostaliśmy w Pabianicach na zawsze. Ponad 44 lata dojeżdżałem do Łodzi do pracy" – wspomina pan Stanisław.

Przez całe zawodowe życie pracował w centralach handlowych. Był specjalistą do spraw zatrudnienia i płac, odpowiadał za etaty i fundusze w liczących po kilka tysięcy pracowników firmach. Dużo podróżował po Polsce służbowo, ale z upodobaniem uprawiał także turystykę pieszą. Góry Świętokrzyskie, Kotlina Kłodzka, tereny nadpilickie, szlak Hubala. Wiosną i jesienią. Działał w łódzkim PTTK, przepłynął kajakiem ponad dwa tysiące kilometrów, chodził po polskich górach, uczestniczył w niezliczonych rajdach, niektóre sam prowadził. W czasie tych wypraw często pisał kroniki. Powielał je i rozdawał współuczestnikom wypraw.

Zwiedzanie świata

Nie poprzestał na zwiedzaniu Polski, bardzo szybko udało mu się zwiedzić Czechosłowację i Węgry. W 1978 roku zorganizował pierwszy wyjazd „na Zachód" – i była to od razu Ameryka! Jak do tego doszło? „Skusiły mnie reklamy tanich lotów liniami PanAm, które reklamował krakowski »Przekrój«. Ale w 1978 roku to nie było łatwe. Najpierw trzeba było mieć zaproszenie, potem dostać paszport, następnie wizę. I dopiero wówczas można było kupić bilet".

Zacząć trzeba było od zaproszenia. Pan Stanisław miał w USA znajomą z czasów, gdy pracował w jednej z central handlowych i jeździł po całej Polsce do podległych instytucji. Hanka mieszkała w Białymstoku, wyszła za mąż za żołnierza spod

Tobruku i Monte Casino, który po wojnie pozostał w Ameryce. „Jego ojciec i trzech braci zostali deportowani aż pod Omsk, potem wszyscy poszli do armii Andersa. Można powiedzieć, że wystawili Andersowi cały pluton" – śmieje się Stanisław Rubach.

No więc odezwał się do Hanki, dostał zaproszenie i poszedł do Wydziału Paszportów, który był specjalną sekcją Komendy Milicji Obywatelskiej w Pabianicach. „Jakiś cywil za biurkiem dał mi formularz, wypełniłem. Nie wiedziałem, że to był wielki łapownik, a ja mu na pożegnanie tylko dłoń podałem. Nic więc dziwnego, że gdy przyszedłem po dwóch tygodniach, jak kazał, to mnie przegonił. »Jakie dwa tygodnie, co najmniej sześć trzeba czekać. I to nie na paszport. Na odpowiedź«. No to już wiedziałem, że nie mam szans". Znowu pomogła koleżanka z pracy, żona zastępcy komendanta wojewódzkiego MO. Pogadała z mężem i po trzech dniach paszport czekał w Pabianicach. „Zaskoczony funkcjonariusz Wydziału Paszportówm nie mógł pojąć, jakim cudem to załatwiłem".

W tamtych czasach każdy Polak, który chciał wyjechać „na Zachód", musiał mieć tzw. konto dewizowe, bo tylko takie pieniądze wolno było wywozić z kraju. I kolejny raz pomógł panu Stanisławowi dawny znajomy z pracy. „Właściwie przyjaciel, który w 1957 roku wyjechał do Australii. To on założył mi takie konto i tym samym otworzył okno na świat. Gdy zmarł, przez lata jego żona przysyłała mi co roku po 25 dolarów australijskich. W ten sposób mogłem systematycznie zasilać moje » konto dewizowe«". A pieniądze na wyjazd miał ze sprzedaży znaczków pocztowych, bo zebrał 56 klaserów marek z całego świata! „Starczyło na Amerykę i na Ziemię Świętą, a także na trzykrotny wyjazd do sanatorium".

W 1988 roku rozpoczęło się pana Stanisława pielgrzymkowe zwiedzanie świata. Najpierw Włochy, w 1989 – Litwa (Wilno i Troki), w 1990 – Francja, a po drodze Niemcy, Szwajcaria, Austria. W 1999 wyprawa życia, czyli Ziemia Święta. „Widziałem katedrę św. Wita w Pradze, św. Szczepana w Wiedniu i św. Patryka w Nowym Jorku, na Manhattanie. Byłem w katedrze Notre Dame w Paryżu, w bazylice św. Piotra w Rzymie, w Padwie, Loreto, Lourdes, Betlejem, Nazarecie, Jerozolimie. Zwiedzałem świat szlakiem świątyń". Z tych wypraw także sporządzał dla współuczestników pisemne relacje. „Te niby-biuletyny tytułowałem *Na pielgrzymim szlaku*, wydawałem własnym sumptem w kilkudziesięciu egzemplarzach i rozdawałem".

Pisać, utrwalać, publikować

Wiele lat temu przyniósł do łódzkiej redakcji „Gazety Wyborczej" pierwszy tekst, w którym wspominał życie i działalność zmarłych znajomych. Jego bohaterami byli *Trzej przyjaciele z boiska... pana Boga*, wszyscy związani z Pabianicami. Ks. infułat Stanisław Świerczek – więzień Dachau, ks. infułat Lucjan Jaroszka – więzień Mauthausen i Dachau, przez 24 lata kapelan w Australii, oraz Jan Mędrzak – prawnik, działacz katolicki, który w1988 roku reaktywował w Łodzi Klub Inteligencji Katolickiej i był jego prezesem aż do śmierci w 1996 roku.

„Napisałem tych wspomnień ponad 80. W większości o ludziach przeciętnych, ale dla mnie bliskich i ważnych". Jego „Pożegnania" (taki tytuł nosi rubryka) uznano w Gazecie za ważne i do dziś są chętnie publikowane.

Poza tym przez 20 lat prowadził kronikę parafialną w nieodległej Górce Pabianickiej. „Zostawiłem tam 1665 kart pisanych na maszynie. Ciekaw jestem, co się z nimi dzieje..." Nawiązał także współpracę z „Wędrownikiem". „Mam tam stały kącik, podobno czytelnicy mnie lubią. A na 50-lecie pisma zostałem nawet wyróżniony!"

Pisze arcyciekawie o wydarzeniach, w których uczestniczył, przywołuje ludzi, których spotkał, wzbogaca wspomnienia o współczesną refleksję. Pamięta wszystko. W rozmowie podaje nazwiska, daty, fakty, i to z nadzwyczajną precyzją. Pamięta, co przeczytał, co usłyszał, co sam przeżył. Potrafi opowiadać o kamienicy, w której mieszkał w dzieciństwie, o współpracownikach, o wędrówkach. „Ja to widzę. Zamykam oczy i widzę, bez żadnego wysilania pamięci. Mogę przywołać każde słowo i człowieka, który to mówił. Taki fenomen" – tłumaczy, bo z niedowierzaniem przyjmuję jego opowieści. Choćby tę o znajomym z Saksonii. Warto ją przytoczyć w całości:

„W 1962 roku wybraliśmy się niewielką grupką w Tatry Słowackie, w tzw. pas konwencji. Schroniska opłacone, trasy wyznaczone. Niestety, w ostatnim dniu nie zdążyliśmy dojść do Śląskiego Domu pod Gerlachem, bo dziewczyny za długo zabawiły w sklepach i musieliśmy się zatrzymać w pierwszym napotkanym schronisku

wysokogórskim. Była to Bilikowa Chata. Za ostatnie korony opłaciliśmy nocleg. Była wieloosobowa sala, w której już się rozlokowała niemiecka rodzina z dwojgiem dzieci. To był Freimunt Hille, architekt budowanej w Brnie opery, potem nadzorował odbudowę opery drezdeńskiej, zbombardowanej przez aliantów w kwietniu 1945 roku Pogadaliśmy trochę wieczorem, a gdy my wcześnie rano wychodziliśmy, wystawił spod koca rękę z wizytówką i poprosił o kontakt. Od tego czasu minęły 53 lata, a kontakt trwa. Mam cały album zdjęć tej rodziny; dorastały na nich dzieci, rodzice się starzeli. Jest pierwsza długa sukienka córki, są uwiecznione małżeństwa dzieci, potem wnuki. Hille w międzyczasie zmarł i poświęciłem mu wspomnienie w »Gazecie«, z jego żoną ciągle koresponduję. Napisałem też wspomnienie o Gretce Fischer, mojej rówieśnicy, córce niemieckich przyjaciół moich rodziców. Od pani Fischerowej dostałem jako dzieciak pierwsze w życiu łyżwy. A gdy w 1942 roku mama przedostała się nielegalnie do Łodzi przez zieloną granicę, żeby zdobyć jakieś rzeczy dla dzieci, to Fischerowa, ryzykując głową, przechowała mamę przez kilka dni w swoim domu. Obie panie korespondowały do śmierci, potem ja z Gretką... Ot, typowe losy typowych łodzian".

Niesłabnący optymizm

Czy nadal będzie pisał? „Chyba już wyczerpałem wszystkie tematy. Chociaż... Właśnie wygrzebałem stare zdjęcia klasowe z lat 1932-1934, gdy zaczynałem edukację, mam nawet swoją legitymację szkolną. Może to kogoś zainteresuje?" Pan Stanisław spisuje także wspomnienia z młodości, ma ich cały segregator. „Trochę poszło do »Wędrownika«, trochę do szuflady. Może się jeszcze komuś przydadzą?"

Całe życie zbiera i kolekcjonuje rozmaite przedmioty, w tym monety z całego świata. Od kilku lat bezskutecznie usiłuje zdobyć wszystkie jednocentówki euro. Większość ma, ale choć pomagają znajomi i znajomi znajomych, nadal w kolekcji kilku monet brakuje. „Nie mam Monako, San Marino i Łotwy, nie dotarłem do ani jednej monety państwa Watykan, a były emitowane aż cztery. Na dodatek ciągle dochodzą nowe państwa, które wprowadzają u siebie walutę europejską. Zaczynam się bać, czy zdążę" – mówi Stanisław Rubach, nie tracąc przecież swego optymizmu, bo uważa, że czas bywał dla niego łaskawy nawet w najtrudniejszych chwilach.

Maria Sondej
– dziennikarka

Fot. z archiwum rodziny Rubachów

Recenzje

Niedola Dawida Sierakowiaka
Marcin Kieruzel
str. 137

Życie Aliny Szapocznikow
Była stąd, była z Łodzi
Gustaw Romanowski
str. 142

Łódzki strajk studencki '81
Spojrzenie po latach
Tomasz Czarnecki
str. 147

Marcin Kieruzel

Niedola Dawida Sierakowiaka

Po raz pierwszy w Polsce ukazał się zbiór wszystkich pięciu ocalałych zeszytów dziennika Dawida Sierakowiaka z łódzkiego getta. Choć to rzeczywiście niezwykłe świadectwo Zagłady, porównywane często do *Dzienników* Anny Frank, zastanawiać może fakt, że książka w pełnej formie została wydana u nas tak późno. Minęło ponad 70. lat od tragicznych wydarzeń drugiej wojny światowej, które są kanwą książki, ale też już blisko dwie dekady od pierwszego jej wydania w Stanach Zjednoczonych, wiele lat od wydań; francuskiego, szwedzkiego czy włoskiego.

Powojenne losy zapisków Sierakowiaka z całą pewnością stanowią osobną ciekawą historię. Odnalezione po wojnie przez Wacława Szkudlarka, przedwojennego lokatora bałuckiego mieszkania, gdzie w czasie wojny ulokowano Sierakowiaków, długo czekały na publikację. W 1960 roku dwa bruliony zostały opracowane i wydane przez doktora Lucjana Dobroszyckiego, historyka Zagłady, ocalałego z Litzmannstadt Ghetto – oryginały tych zeszytów znajdują się dziś w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Trzy kolejne bruliony w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach nabył Konrad Turowski, popularny łódzki dziennikarz. Wydaniu całości spuścizny Sierakowiaka w Polsce przeszkodzić miała antysemicka nagonka w 1968 roku. Cztery lata później bruliony nabyte przez Turowskiego zostały opublikowane w odcinkach w „Fołks Sztyme" – żydowskim tygodniku ukazującym się w Polsce. I znów minęły dekady. W latach 80. syn Konrada Turowskiego, Kamil, zabrał zeszyty do Stanów Zjednoczonych. Był to okres wzmożonego zainteresowania historią Zagłady, do czego wymiernie przyczynił się słynny film Claude Lanzmanna *Shoah*. Turowscy sprzedali bruliony do United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie. Dopiero w 1996 roku całość rozczłonkowanej spuścizny Dawida Sierakowiaka ukazała się w jednym tomie. I to nie bez kontrowersji, które towarzyszą również obecnemu polskiemu wydaniu. *Dziennik* Sierakowiaka został bowiem opracowany z perspektywy amerykańskiej, pomijając w dużej mierze stan badań historycznych czy w ogóle warsztat historyczny polskich badaczy dziejów Litzmannstadt Ghetto. Ten zarzut pojawia się dziś w większości komentarzy formułowanych przez polskich historyków Zagłady.

Kim był Dawid Sierakowiak?

Lektura *Dziennika* ma dzisiaj dwa zasadnicze wymiary, które zapewne są też przyczyną większości kontrowersji wokół ich obecnej polskiej edycji. Jako takie są ważnym do-

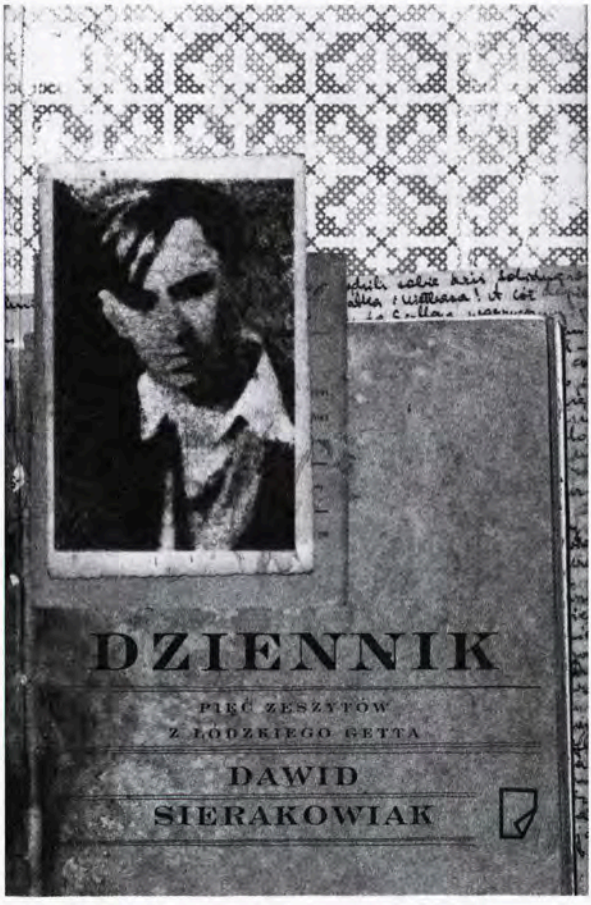

kumentem historycznym opisującym życie w Litzmannstadt Ghetto, a co za tym idzie, również dzieje *Shoah*. Z drugiej strony zapiski Sierakowiaka to może przede wszystkim przejmujące dzieło literackie, sięgające w głąb ludzkiej natury konfrontowanej z najczarniejszą niedolą i podłością.

Warto od razu zaznaczyć, że lektura tej książki to doświadczenie niemal bolesne i niedające spokoju, wciągające w najbardziej mroczne otchłanie z których chce się czym prędzej uciekać. Przez całą historię przewija się potworny kontrast między pragnieniem życia, młodością, talentem i – co trzeba przyznać – również dojrzałością życiową tego młodego chłopca a potwornością życia w getcie. Ten kontrast pogłębia jeszcze zakres czasowy zapisków autora. Zaczynają się one w czerwcu 1939 roku beztroskimi obrazami kolonii letnich w Krościenku. Dawid (urodzony w 1924 roku) ma wtedy 15 lat, jest prymusem i stypendystą II Gimnazjum Męskiego Towarzystwa Żydowskich Szkół Średnich. Jako ambitne dziecko ubogiej rodziny inwestuje większość czasu w naukę, zresztą nie poprzestając na programie szkolnym, sam sobie narzuca

program samokształceniowy. Czyta, mówi w pięciu językach, jest zafascynowany – nieco naiwnie i młodzieńczo – komunizmem. Innymi słowy, sam w sobie jest wielką nadzieją i inwestycją w „przyszłość". Przy tym już w tak młodym wieku ma w sobie niezwykle dużo rozsądku i pokory – jego talent nie ma w sobie nic z narcyzmu, jest niezwykle wrażliwy na niesprawiedliwość, chce być potrzebny innym. Wojna i zamknięcie w getcie – można mniemać, że aż do końca, bo zapiski urywają się w kwietniu 1943 roku, na cztery miesiące przez śmiercią autora – nie niszczą tego nastawienia. Dawid Sierakowiak chce przetrwać. W październiku 1941 roku pisze: „Byle nie próżnować, nie zgnuśnieć i nie zgłupieć, i melancholii nie dostać. Ruch, praca, przemiana – oto cel i droga do twórczości. [...] Pewny bowiem jestem, że czeka nas jeszcze wspaniałe, promienne życie". Wydaje się, że właśnie to pragnienie życia jest najważniejszym tematem *Dziennika*, potworności wojny dzieją się jakby obok. Aczkolwiek to właśnie te komentarze i spostrzeżenia na temat życia i atmosfery w getcie odtwarzają nam dzisiaj jego traumę w niezwykle precyzyjny, bo jakby zewnętrzny sposób. Tematy, które – oprócz walki o własne utrzymanie i zdrowie – przewijają się nieustannie w notatkach Sierakowiaka, to niesprawiedliwość stosunków w getcie i stopniowy rozkład jego własnej rodziny.

Malches Ghetto (Królestwo Getto) Chaima Mordechaja Rumkowskiego – o którym Sierakowiak pisał twardo „sadysta i kretyn" – było specyficzne na tle żydowskich dystryktów stworzonych przez hitlerowców w okupowanej Europie. Rumkowski stworzył w getcie gigantyczną fabrykę produkującą towary głównie na potrzeby armii niemieckiej – ta produktywność miała według Rumkowskiego zapewnić Żydom przetrwanie. Do dzisiaj ta strategia budzi ogromne kontrowersje i spory wśród historyków i ocalałych. Notatki Sierakowiaka nie zawierają co prawda z wiadomych względów takich dywagacji, jako młody komunistyczny działacz widzi on jednak przede wszystkim niesprawiedliwość stosunków w getcie. Nierówny podział dóbr, tworzącą się z czasem gettową „burżuazję": „W getcie, jak to zazwyczaj w takich okresach bywa, rozpoczął się znów, w stosunku proporcjonalnym do wzmagającego się głodu, okres niebywałej liczby rozmaitych oficjalnych przydziałów dodatkowych, talonów stałych i niestałych, premii dodatków itd, itd. [...] Wszystko to stwarza kolosalną maszynę [...] i pochłania niebywałe ilości produktów, których pozostała ludność w getcie nie widzi na oczy albo otrzymuje w znikomej ilości [...]. Naturalnie, że nie biorę pod uwagę kilkudziesięciu wybranych, którzy mają do dyspozycji całą produkcję getta, żyją w warunkach lepszych niż niejeden łódzki przedwojenny fabrykant. Wyprawia się w getcie uczty i bale, o jakich nie śni dziewięćdziesiąt procent Niemców. [...] Żre się w getcie na całego, żyje się ile wlezie [...]" – notował w styczniu 1943 roku. Ta jedna z najbardziej nacechowanych emocjonalnie i pewnie trochę przesadzonych notatek Sierakowiaka pokazuje jego społeczną wrażliwość. Był oczywiście Sierakowiak wnikliwym obserwatorem – z gettową burżuazją spotykał się wszak osobiście, pracując w końcowej fazie życia w Wydziale Personalnym Getta, obserwował również domy wysokich urzędników getta, udzielając korepetycji ich dzieciom. Nie był jednak typem buntownika – to nastawienie obrazuje

jego stosunek do komunizmu. Początkowo działał bardzo prężnie, choć głównie jako teoretyk, w młodzieżówce komunistycznej. Z czasem jednak został od tej działalności odsunięty. Zrezygnował w propozycji wejścia do tworzącej się – zresztą z marnym rezultatem – organizacji bojowej, a nawet uważał taką działalność za „sekciarską", co jego „towarzysze" uznali za zdradę.

Obok tej obserwowanej przez Sierakowiaka niesprawiedliwości społecznej w getcie autor przeżywa głęboko rozpad własnej rodziny. Przed wojną zżytej i kochającej się – jak można mniemać z jego zapisków, które świadczą o szczególnej miłości Dawida do matki i młodszej siostry Natalii. Sierakowiakowie mieszkali do 1940 roku w nowoczesnej kamienicy przy ul. Sanockiej, w getcie przydzielono im lokal przy ul. Wawelskiej. Panujący w getcie głód okazuje się silniejszy niż więzy rodzinne, tego napięcia nie wytrzymuje ojciec Dawida, który zamyka się w sobie i podkrada bliskim racje żywnościowe, a z czasem obojętnieje zupełnie na los swój i bliskich. Obraz rozpadu rodziny i pustoszejącego domu należy chyba do najbardziej przejmujących tematów *Dziennika*. Pierwsza odchodzi matka, ofiara tzw. „wielkiej szpery". „Nie zmyje bowiem największa ulewa rozdartego zupełnie serca i nic nie zasklepi tej wiecznej pustki w duszy, mózgu, umyśle i sercu, jaka powstaje po utracie najukochańszego człowieka, który kochał swe życie tak jak ja" – pisze Dawid po jej odejściu. Po kilku miesiącach awantur i pretensji gaśnie ojciec. Siostra Dawida, której losy nie są precyzyjnie znane, zginęła prawdopodobnie w Auschwitz, do którego dostała się jednym z ostatnich transportów z getta w 1944 roku. Dawid Sierakowiak zmarł najprawdopodobniej na gruźlicę 8 sierpnia 1943 roku. Został pochowany na Nowym Cmentarzu Żydowskim w Łodzi.

Hiob

Dziennik Dawida Sierakowiaka to bardzo trudna lektura, zagłębiając się bowiem w niego, bardzo trudno wyciągnąć jakiś morał, odnaleźć w tej historii jakiś sens. Jest to tym trudniejsze, że czytając *Dziennik*, trudno nie utożsamiać się z autorem i nie czuć podziwu dla niego. W tym sensie to raczej książka, o której chce się jak najszybciej zapomnieć, bo wystawia ona na próbę zwykłą ludzką nadzieję i sens starań o dobro, nabierając tym samym niemal apokaliptycznych wymiarów. To oczywiście pierwsze wrażenie nabyte z dzisiejszej perspektywy, bo z drugiej strony fakt, że autor Dziennika w absolutnie skrajnych warunkach upodlenia zachował zdolność do krytycznego patrzenia na świat i nadzieję, że nie pozwolił się pochłonąć niedoli, jest też w jakiś paradoksalny sposób zastanawiająca. Jedną ze swoich ostatnich notatek dziewiętnastoletni Sierakowiak kończy wymownym komentarzem: „Hiob". I choć w tej historii nie ma szczęśliwego zakończenia, *Dziennik* wpisuje się w poetykę wielkiej przestrogi i nauki, którą stanowi dla nas dzisiaj literatura Zagłady.

Pisząc o tej książce, nie sposób nie nawiązać jeszcze do krytyki, w większości zasłużonej, z jaką spotyka się obecne wydanie. Niezbyt przystający do polskich realiów wstęp Alana Adelsona, właściwie kopia wstępu z amerykańskiego

wydania z 1996 roku, dość przypadkowo wybrane fotografie, często niestaranne i wątpliwe przypisy, a także mało „warsztatowa" transkrypcja oryginału to zarzuty formułowane przez wielu łódzkich historyków getta. Większość z nich jest oczywiście pokłosiem skomplikowanych powojennych losów rękopisów, ich rozczłonkowania i skomplikowanego statutu praw do tych zapisków. Z całą pewnością *Dziennikowi* należy się wydanie krytyczne. Przysłuchując się jednak dyskusji wokół książki, między innymi dyskusji, która odbyła się 15 kwietnia br. w Domu Literatury w Łodzi z udziałem autora opracowania *Dziennika* Kamila Turowskiego, trudno się oprzeć wrażeniu, że warsztatowe i merytoryczne zarzuty wobec polskiej edycji przyćmiewają czasem samą historię i moralną wymowę tych zapisków.

Marcin Kieruzel

Dawid Sierakowiak, *Dziennik. Pięć zeszytów z łódzkiego getta*, przedmowa: Lawrence L. Langer, redakcja i wprowadzenie: Alain Adelson, opracowanie i dodatkowe przypisy: Konrad Turowski, Wyd. Marginesy 2015.

Życie Aliny Szapocznikow

Była stąd, była z Łodzi

Pamiętam taki obrazek z dzieciństwa. Mam chyba dziesięć lat i jestem w gabinecie pani doktor Reginy Szapocznikow, w rejonowej przychodni przy Limanowskiego. Mama przyprowadza mnie tam co kilka miesięcy, bo mam chore serce, a pani doktor leczy mnie z troską. Nagle otwierają się drzwi i do gabinetu wpada śliczna młoda kobieta i rzuca się lekarce na szyję. Chwilę się ściskają, zanim pani doktor przeprosi za to wtargnięcie, ale to właśnie córka przyjechała z Paryża. Wtedy nie mogłem mieć nawet pojęcia, że córka bardzo poważnej i bardzo smutnej starej pani doktor to Alina Szapocznikow. Nie tylko śliczna, ale i bardzo utalentowana. Kiedyś zostanie uznana za jedną z najwybitniejszych rzeźbiarek XX wieku.

Ten obrazek z dalekiej przeszłości przypomniał mi się za sprawą wydanej ostatnio książki, którą czyta się jak dobrą powieść. Jest to biografia polskiej artystki, której życie nie szczędziło najgorszych traum, a jednocześnie może być przykładem, jak trzeba je kochać, żeby przejść przez nie przebojem, z niesłabnącą kreacyjną pasją. Historia Aliny Szapocznikow to niezwykły splot przypadków i upartej konsekwencji, intuicji i intelektualnej precyzji, żaru serca i trzeźwej kalkulacji.

Mało wydaje się dziś biografii współczesnych polskich artystów. Ukazują się wprawdzie solidne katalogi publikowane przez muzea i galerie z okazji wystaw – nawet obszerne, z bogatą dokumentacją twórczości, reprodukcjami dzieł i kilkoma pochlebnymi esejami o sztuce beneficjenta. Ale życie artysty w tych pozornie bogatych opracowaniach kwitowane jest już tylko standardowym życiorysem – urodził się, studiował, debiutował, wystawiał, odbierał nagrody itd. Dlatego tak ważna jest każda próba wyjścia poza ten standard w dążeniu do pogłębienia wiedzy o artyście – jego przeżyciach, zmaganiach z losem, uwikłaniu w historię, dylematach moralnych i trudnych zawsze wyborach życiowych, które towarzyszyć muszą indywidualnym klęskom i zwycięstwom.

Próbę taką podjął Marek Bejlin, publicysta i dziennikarz, z wykształcenia historyk sztuki, który podjął się napisania biografii Aliny Szapocznikow. Zgromadził ogromny materiał faktograficzny, sięgając do różnych źródeł polskich i zagranicznych, sytuując 47-letnie życie artystki na tle przemian społecznych i kulturowych, przez które przechodziła Europa w drugiej połowie XX wieku. Nie jest to opowieść o karierze i sukcesach artystki mającej dziś swoje niekwestionowane pośmiertne miejsce w historii sztuki XX wieku. To raczej rzeczowy opis niełatwej drogi życiowej człowieka, któremu przytrafił się talent i od czasu do czasu sprzyjał także los.

Alina Szapocznikow (1926-1973) studiowała rzeźbę w Pradze, uprawiała sztukę w Polsce i Francji, próbowała zainteresować swoją twórczością Amerykanów i przez całe swoje artystyczne życie z niewielkimi sukcesami poszukiwała sponsorów, bo zajmowanie się na poważnie rzeźbą nie jest tanie. Za życia zyskała pewną popularność w Polsce i we Francji, ale nie było w tym szczególnego uznania dla jej oryginalnych dokonań w sztuce. Pierwszą dużą wystawę w Paryżu urządzono artystce, jakby ze wstydu, dopiero dwa miesiące po jej śmierci.

Urodziła się w Kaliszu, zmarła we Francji, ale szczególnie warte przypomnienia są jej związki z Łodzią, bo Łódź miała w jej życiu kilka odsłon. Przed wojną rodzina Szapocznikowów mieszkała w Pabianicach. Rodzice Aliny byli lekarzami, ojciec – stomatologiem, matka – pediatrą. Pogodne życie skończyło się wraz z wybuchem wojny. W 1940 roku przyszła rzeźbiarka wraz z matką i starszym bratem znalazła się w pabianickim getcie. Dwa lata później było to już getto w Łodzi, dokąd zostali brutalnie przesiedleni. Bejlin podaje nawet adres: Zgierska 24 mieszkania 4, gdzie niemiecka administracja zameldowała rodzinę. Regina Szapocznikow, matka Aliny, pracowała jako lekarz, stykając się na co dzień z potworną grozą życia w getcie, córka zaś jako szwaczka w „resorcie krawieckim". Bejlin odszukał wspomnienia Rity Hilton, gettowej koleżanki Aliny. Według niej szesnastoletnia Szapocznikow imponowała witalizmem i niezwykłą wprost wolą przetrwania wbrew ekstremalnym warunkom, w jakich żyli mieszkańcy zamkniętej dzielnicy Łodzi.

W 1944 roku podczas likwidacji Litzmannstadt Getto matka i córka zostały wywiezione do Auschwitz, potem znalazły się w Bergen-Belsen, wreszcie osadzono je w jednym z podobozów Buchenwaldu. Ale bynajmniej nie tam zastał je koniec wojny. Wiosną 1945 roku przewieziono je do kolejnego obozu koncentracyjnego. Był to Terezin, przedsionek ośrodka zagłady na terytorium czeskim, gdzie Alina Szapocznikow doczekała wyzwolenia. Nie wiedziała wtedy, że w innym obozie w sąsiednich Litomierzycach w styczniu 1945 roku został zamordowany jej starszy brat Mirosław. Wcześniej jednak rozdzielono ją z matką. Wychodząc na wolność, przyszła rzeźbiarka była pewna, że matka nie żyje. Dlatego za namową koleżanek z obozu zdecydowała się zostać w Czechosłowacji. Szybko nauczyła się czeskiego i w Pradze dostała się na studia rzeźbiarskie w tamtejszej uczelni artystycznej. Aby się utrzymać, pracowała u kamieniarzy. „Zaczęła pracować wśród kamieniarzy i rzeźbiarzy, uczyła się ciąć kamień [...] Prace przy rzeźbiarskich detalach architektury gotyckiej i przy rzeźbach barokowych [...] były dla niej nie tylko zabezpieczeniem bytu materialnego, lecz także źródłem zarówno technicznego, jak i artystycznego poznania" – przywołuje Bejlin wspomnienie Ryszarda Stanisławskiego, pierwszego męża rzeźbiarki.

Zwiąże się ponownie z Łodzią, gdy odnajdzie matkę, bo Reginie Szapocznikow też udało się przeżyć Holokaust. Ocalała i zamieszkała w Łodzi. W grudniu 1945 roku Alina Szapocznikow otrzymuje wiadomość z Polskiego Czerwonego Krzyża i przyjeżdża do matki. Odtąd, choć nie porzuca studiów w Pradze, wraca do Łodzi

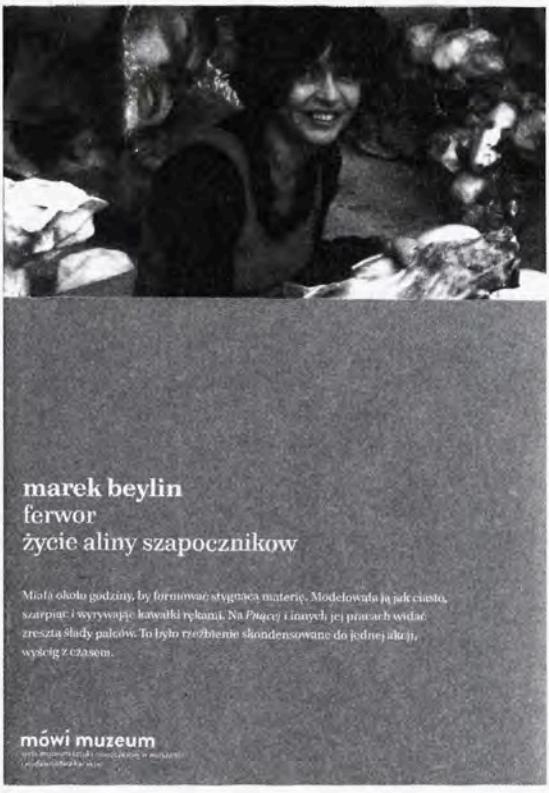

tak często, jak tylko może. Jest zaradna, tryska energią, umie załatwić wielokrotne pozwolenie na przejazd przez granicę między Polską a Czechosłowacją nie tylko dla siebie, ale także da swoich czeskich koleżanek, które zaprasza do Łodzi. Ta zaradność sprawi, że pod koniec 1947 roku kontynuuje studia artystyczne już w Paryżu, tam poznaje Ryszarda Stanisławskiego, polskiego emigranta, z którym po kilku latach wrócą jako małżeństwo do Polski. I znów bywa wtedy często w Łodzi u matki, która jest tak cenionym lekarzem pediatrą, że komunistyczne władze pozwalają jej oprócz pracy w przychodni prowadzić dodatkowo prywatną praktykę.

Śmierć matki w 1961 roku decyduje o jej ponownym, definitywnym już, wyjeździe do Francji. Wyjeżdża, licząc na międzynarodową karierę. Z tym jest gorzej. Szybszą karierę w Paryżu zrobi jej drugi mąż Roman Cieślewicz, grafik i typograf. Bejlin opisuje, jak zmienia się nastawienie środowiska artystycznego do emigrantki, którą wcześniej chętnie goszczono. Teraz jest konkurentką, nie może spodziewać się żadnych przywilejów. Nie może liczyć na sukces, który w tym samym czasie osiągnęła inna polska rzeźbiarka Alina Ślesińska, zbierająca pochwały w Paryżu, Londynie i Waszyngtonie oraz zamówienia na projekty gigantycznych pomników dyktatorów w Afryce. Szapocznikow tymczasem boryka się z niezrozumieniem. Artystka postanawia utrwalać

swoje ciało, tworząc z poliuretanu i polistyrenu odlewy jego fragmentów: brzucha, twarzy, ust, nogi, dłoni. Niektórzy uważają dziś, że był to prekursorski przejaw sztuki feministycznej, bo to podbudowywałoby nowy mit o całkowitej odrębności sztuki tworzonej przez kobiety. Autor biografii obala pośrednio taką sugestię, przywołując rzeźby artystki składające się na Zielnik, cykl zbudowany z odlewów ciała syna Piotra oraz jej przyjaciół. Przypomina też historię powstania rzeźby *Głowa Chrystusa*, którą artystka podarowała księdzu Józefowi Sadzikowi, duszpasterzowi Polaków w Paryżu, twórcy tamtejszego Centrum Dialogu działającego przy zakonie oo. Pallotynów.

Od 1968 roku zaczyna się w inny sposób powrót Aliny Szapocznikow do Łodzi. Dwa lata wcześniej dyrektorem Muzeum Sztuki zostaje Ryszard Stanisławski, jej pierwszy mąż. Mimo rozpadu małżeństwa łączy ich głęboka przyjaźń. Stanisławski zna wartość sztuki tworzonej przez byłą żonę. Uważa jej dokonania za ważny wkład do sztuki światowej i zaczyna kolekcjonować jej rzeźby do muzealnych zasobów. Dziś złożona z 15 rzeźb kolekcja prac Szapocznikow znajdująca się w Muzeum Sztuki współtworzy wymierną wartość łódzkich zbiorów. Artystka podczas dwóch pobytów w Polsce w 1968 i 1969 roku odwiedza Łódź, gości u Stanisławskiego i jego żony Urszuli Czartoryskiej, zwiedza też muzeum.

Marek Bejlin ostatni etap twórczości Aliny Szapocznikow nazwał „archiwizowaniem własnego odchodzenia". To kilkuletni okres walki z chorobą nowotworową, który artystka traktuje naturalnie jako nowy stan twórczej otwartości. Powstają w tym czasie rzeźby wstrząsające w swym prostym przesłaniu. Szapocznikow chce utrwalić w plastikowych odlewach nie tylko ciało, na które zapadł wyrok. Tworzy kuliste obiekty, w które wtapia swoje zdjęcia – zawsze pięknej, roześmianej kobiety – i fotografie nagich zwłok więźniów Auschwitz. To *Wielkie nowotwory* lub *Inwazja nowotworów*, rzeźby złożone z wielokrotnie powtórzonych guzowatych kształtów, których przesłanie jest oczywiste. „I czyni jeszcze coś niezwykłego: nie tylko przekształca umieranie w zmysłowy performans, lecz także świadomie buduje ślady siebie w tej nieodległej przyszłości, gdy już zniknie – pisze z podziwem Marek Bejlin. – Tworzy formę swojej nieobecności. *Popielniczka słomianego wdowca*, zrobiona z dolnej części jej twarzy, gdzie na pierwszy plan wysuwają się zmysłowe usta. Albo popielniczka sporządzona z odlewu jej brzucha i piersi. Tam Cieślewicz ma gasić papierosy, gdy jej już nie będzie". Można powiedzieć, że tak zachowuje się tylko bardzo silny człowiek, który godzi się z losem, ale chce być twórczo aktywny do końca. A to była przecież drobna kobieta, miała tylko 155 cm wzrostu.

Cytuje się w tej książce wiele listów artystki, przede wszystkim do Ryszarda Stanisławskiego i Romana Cieślewicza, osób jej najbliższych. Autor biografii nie mógł chyba z tego zrezygnować po lekturze wydanego nieco wcześniej zbioru korespondencji Aliny Szapocznikow i Ryszarda Stanisławskiego pt. *Krojà mi się piękne sprawy*. To sam w sobie piękny literacki materiał, ukazujący niebanalny talent tej wybitnej rzeźbiarki w zupełnie innej dziedzinie. Szapocznikow, choć naukę

w polskim gimnazjum przerwała w 1939 roku jako 13-letnia dziewczyna, a powojenne studia odbywała w Czechosłowacji i Francji, w swojej korespondencji posługiwała się błyskotliwą, lekką polszczyzną, nawet pisząc o sprawach trudnych i skomplikowanych. Warto przytoczyć jedno zdanie z jej testamentu, który zostawiła najbliższym: „Najważniejsze, chcę żebyście pamiętali, że każdy liść fruwający, który można widzieć, każdy śmieć, który można dotknąć, każdy smak czy zapach, czy szum wiatru jest ważniejszy od wszystkich dzieł sztuki i »sukcesów« artystycznych".

W 1975 roku Ryszard Stanisławski zorganizował w Łodzi pierwszą w Polsce dużą pośmiertną wystawę Aliny Szapocznikow. Ekspozycja była nie tyle przeżyciem artystycznym, co prawdziwym wstrząsem dla widzów konfrontujących jej artystyczne przesłanie z wyzierającymi z licznych prac wizerunkami pięknej kobiety. O taki efekt zapewne artystce chodziło, skoro po latach młodzi polscy artyści inspirują się wprost jej sztuką. Dobrze, że autor biografii omawia w skrócie najważniejsze filmy i performanse skojarzone z dziełem Szapocznikow i zachłannie czerpiące z niej twórcze przesłanie.

Książka Marka Bejlina, choć niewolna miejscami od emocji, to przykład sumiennej, bardzo potrzebnej współczesnej biografistyki.

Gustaw Romanowski

Marek Bejlin, *Ferwor. Życie Aliny Szapocznikow*, Wydawnictwo Karakter, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Kraków – Warszawa 2015.

Tomasz Czarnecki

Łódzki strajk studencki '81

Spojrzenie po latach

Wkrótce minie ćwierć wieku od strajku studentów łódzkich. To wydarzenie bez precedensu w historii środowiska akademickiego ze względu na skalę protestu, jak i jego skutek. Był to przysłowiowy pojedynek Dawida z Goliatem. Z jednej strony studenci przekonani o słuszności swoich przekonań i postulatów i w pełni świadomi faktu, że racja i prawda są po ich stronie. Z drugiej konserwatywny obóz władzy mający do dyspozycji cały aparat administracyjny, struktury represji i machinę propagandową, gotowy użyć każdego z tych atutów dla utrzymania dotychczasowego systemu panowania nad uczelniami. To jednak środowisko studenckie wyszło z tej batalii zwycięskie, czego zwieńczeniem było podpisanie 18 lutego 1981 roku tzw. porozumienia łódzkiego i zarejestrowanie Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NZS).

Ogłaszając swoją akcję, studenci wykazali się dużą determinacją i odwagą, a przecież potencjalny rezultat był niepewny. W środowisku bardzo dobrze pamiętano bowiem o strajku ich starszych kolegów w marcu 1968 roku, brutalnie zdławionym przez aparat bezpieczeństwa PRL. Jednak powstanie Solidarności w sierpniu 1980 roku, a następnie rejestracja poszczególnych struktur związkowych, zwłaszcza na Uniwersytecie Łódzkim, dały impuls do działania i tchnęły nowego ducha. Studenci walczący o swoje prawa zyskali silnego sojusznika, a nierealny dotąd postulat utworzenia organizacji niezależnej od PZPR uzyskał szansę realizacji. W całym kraju spontanicznie powstawały nowe organizacje studenckie. W Łodzi również pod nazwą Niezależnego Związku Studentów Łodzi.

Najważniejszą nierozstrzygniętą kwestią pozostawała sprawa legalizacji. W tym przypadku władze komunistyczne nie były gotowe do żadnych ustępstw, czego przejawem była odmowa zarejestrowania ogólnopolskiego NZS przez Sąd Wojewódzki w Warszawie w listopadzie 1980 roku. Rządzący nie docenili jednak skali determinacji i buntu wśród studentów.

Pozornie lokalne wydarzenie, czyli wspólna akcja NZS i Socjalistycznego Związku Studentów Polskich (SZSP) na Wydziale Prawa i Administracji UŁ z grudnia 1980 roku w sprawie zniesienia obowiązkowego lektoratu z języka rosyjskiego i praktyk robotniczych oraz likwidacji egzaminu z podstaw nauk politycznych, wobec obojętnej postawy władz wydziału i braku stosownej reakcji ze strony władz uniwersyteckich doprowadziło do proklamowania strajku okupacyjnego studentów łódzkich. Przez prawie miesiąc, od 21 stycznia do 18 lutego 1981 roku, studenci, głównie Uniwersytetu

Łódzkiego, Politechniki Łódzkiej i Akademii Medycznej, wspierani przez przedstawicieli innych uczelni łódzkich oraz z innych miast, okupując uczelniane budynki, osiągnęli swój główny cel – rejestrację ogólnopolskiego zrzeszenia. Swoistą miarą sukcesu łódzkiego środowiska akademickiego stał się fakt rozwiązania NZS przez Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki 5 stycznia 1982 roku. W ten sposób władze komunistyczne jako pierwszą po wprowadzeniu stanu wojennego zlikwidowały niezależną organizację studencką.

Stanowiąca plon naukowo-badawczego zaangażowania zespołu 15 autorów książka *Łódzki Strajk Studencki. Styczeń-Luty 1981* jest próbą krytycznego spojrzenia na wydarzenia sprzed ponad 30 lat. W tym przypadku jednak twórcom nie przyświecała jedynie chęć prostej rekonstrukcji faktograficznej. We wstępie publikacji prof. Krzysztof Lesiakowski, pod redakcją którego tom ten ujrzał światło dzienne, pisze: „W pierwszym rzędzie chodziło o stronę poznawczą – zgłębienie okoliczności wybuchu strajku, ustalenie jego najistotniejszych aspektów, a także określenie znaczenia protestu, jak i zawartego porozumienia. Wszystko wskazuje na to, że – niezasłużenie – ranga łódzkiego strajku jest umniejszana. Na tle wielkich porozumień społecznych z Gdańska, Szczecina czy Jastrzębia [...] waga dokumentu podpisanego 18 lutego 1981 roku jest raczej niedoceniana".

Główny trzon tytułu stanowią artykuły o charakterze historycznym. Historycy z różnych instytucji naukowych w kraju, opierając się na poszerzonej bazie źródłowej o dokumenty aparatu bezpieczeństwa PRL, rządowe, partyjne bądź uczelniane, przed 2000 rokiem praktycznie niedostępne, pokusili się o wszechstronne naświetlenie tematu. Obok tekstów wstępnych autorstwa Krzysztofa Lesiakowskiego i Leszka Olejnika, dotyczących kształtowania się Łodzi akademickiej, protestów studenckich z lat 1945-1980 czy wpływu zmian w ruchu związkowym i powstania Solidarności na nastroje wśród łódzkich studentów, właściwą część pozycji zawierają artykuły przybliżające z naukową sumiennością poszczególne fazy narastającego oporu. Od wydarzeń na Wydziale Prawa i Administracji UŁ w grudniu 1980 roku począwszy, przez zawiązanie tzw. „Solidarnego Czekania" 6 stycznia, rozszerzanego stopniowo na poszczególne wydziały UŁ, po proklamowanie i rozwój strajku okupacyjnego, dramatyczne negocjacje ze stroną rządową w drugiej połowie stycznia i pierwszej lutego, zakończone podpisaniem porozumienia z ministrem Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki Januszem Górskim 18 lutego 1981 roku.

Niebagatelną rolę w tych wydarzeniach odegrali studenccy doradcy prawni oraz konsultanci, o czym pisze Rafał Chojnacki. Ci pierwsi analizowali aktualny stan prawny i konsekwencje poszczególnych sformułowań proponowanych przez stronę studencką bądź rządową, oraz proponowali formę postulatów. Studenci po raz pierwszy z takiej fachowej pomocy skorzystali już 6 stycznia 1981 roku, gdy rozpoczynając akcję „Solidarności Czekania", przystąpili do opracowania pierwszej wersji oficjalnej listy postulatowej. Pomocy w tym zakresie udzielili pracownicy naukowi należący do

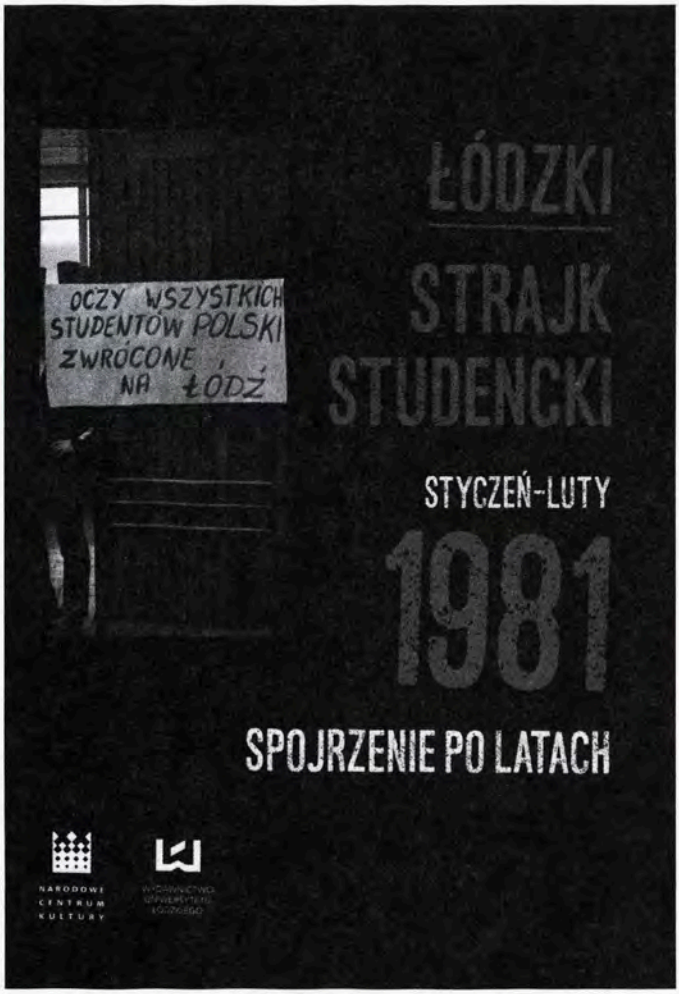

Solidarności, prawnicy dr Piotr Daranowski, dr Marek Kulesza i dr Marek Zirk-Sadowski oraz ekonomista dr Jerzy Kropiwnicki. W kolejnych dniach pomocy w formułowaniu nowej ogólnouczelnianej listy postulatów udzielali studentom adwokaci Karol Głogowski i Tadeusz Grabowski, którzy w rozmowach ze stroną rządową wielokrotnie odgrywali aktywną rolę, często proponując konkretne rozwiązania poszczególnych problemów. Poza doradcami prawnymi istniała również grupa konsultantów, wśród nich między innymi: doc. Krystyna Śreniowska, prof. Ija Lazari-Pawłowska, prof. Zofia Libiszowska, doc. Cezary Józefiak, prof. Adam Szpunar, dr Marek Edelman czy prof. Jerzy Wróblewski. Sama ich obecność na sali obrad podnosiła rangę protestu studenckiego i wytrącała władzom komunistycznym z ręki argument, iż protest wynikał w głównej mierze z młodzieńczego buntu i braku doświadczenia studentów.

Innym zagadnieniem mającym niebagatelny wpływ nie tylko na przebieg samego strajku, ale także na postawę władz komunistycznych w negocjacjach i w rezultacie na zawarcie porozumienia, były strajki solidarnościowe w pozałódzkich ośrodkach akademickich w lutym 1981 roku, do których odniósł się w swoim artykule Stanisław Jankowiak. Fiasko rozmów studentów z przedstawicielami władz na czele z ministrem Górskim 7 lutego 1981 roku spowodowało, iż łódzki komitet strajkowy zwrócił się do środowisk akademickich w innych miastach z apelem o wsparcie. Pierwsze pozytywnie zareagowało środowisko studentów poznańskich. Już 8 lutego z inicjatywy NZS studenci Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza (UAM) w Poznaniu proklamowali podjęcie strajku okupacyjnego. Do wieczora 10 lutego liczba strajkujących na UAM w Poznaniu osiągnęła imponującą liczbę 2200 osób. Dzień wcześniej rozpoczął się strajk solidarnościowy studentów Akademii Medycznej w Warszawie, zorganizowany przez tamtejszy NZS jako wyraz poparcia dla protestujących studentów Łodzi i Poznania. W kolejnych dniach do akcji w formie strajków okupacyjnych lub gotowości strajkowej przyłączali się studenci z kolejnych ośrodków akademickich: Olsztyna, Wrocławia, Krakowa, Szczecina, Lublina, Bydgoszczy czy Torunia. Liczebność strajkujących 17 lutego, w przeddzień podpisania porozumienia łódzkiego, była różna, od np. 100 osób na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego do nawet 1500 osób na Uniwersytecie Jagiellońskim i 2000 na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie (dla porównania: w szczytowym momencie strajku okupacyjnego na UŁ strajkowało ok. 4000, a na Politechnice Łódzkiej 3500 osób). W tym dniu na 29 wyższych uczelniach w całej Polsce w strajkach uczestniczyło około 30 tysięcy studentów. Stałe rozprzestrzenianie się akcji strajkowej w różnych ośrodkach akademickich w Polsce przy jednoczesnej ogromnej determinacji już protestujących studentów zmusiło władze komunistyczne do ustępstw i podpisania 18 lutego 1981 roku porozumienia łódzkiego i zarejestrowania NZS.

To, co wyróżnia omawiane opracowanie na tle innych publikacji traktujących o łódzkim strajku studenckim ze stycznia i lutego 1981 roku, jest z pewnością zaangażowanie do zespołu oprócz historyków także specjalistów innych dziedzin nauki – etnologa, socjologa, historyka literatury i mediów. Spod ich pióra wyszły artykuły przybliżające problematykę strajku z innych punktów widzenia: społecznych, kulturowych czy medialnych.

Ciekawego zagadnienia dotknęła w swoim tekście Sylwia Wielichowska, odnosząc się do sprawy upamiętnienia tego wydarzenia. I tu rodzi się smutna konstatacja: mimo całego szeregu opracowań książkowych, które pojawiły się zwłaszcza w latach 90. XX wieku, wartościowych filmów dokumentalnych autorstwa Jacka Talczewskiego czy szumnie, zwłaszcza w 2006 i 2011 roku, celebrowanych rocznic strajku, w których udział brały osoby piastujące wysokie stanowiska państwowe, łódzkiego strajku studenckiego ze stycznia i lutego 1981 roku nie udało się wykreować na wydarzenie o charakterze ogólnopolskim. Próżno również szukać też w panteonie

wolnościowego zrywu lat 1980–1981 przywódców strajkowych. Dlaczego tak się stało trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Być może jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy był fakt, iż nie udało się wykreować jednego przywódcy, lidera wyróżniającego się szczególną charyzmą czy charakterem, kogoś w rodzaju studenckiego Lecha Wałęsy.

Tomasz Czarnecki
historyk

Łódzki Strajk Studencki '81. Spojrzenie po latach, pod red. Krzysztofa Lesiakowskiego, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Narodowe Centrum Kultury, Łódź–Warszawa 2014.

Łodzianie

Przypomnieliśmy Zofię Hertz
Redakcja
str. 155

Przypomnieliśmy Zofię Hertz

Postać Zofii Hertz (1910–2003) znana jest z roli, jaką odgrywała w kręgach paryskiej „Kultury". Przez ponad 50 lat była prawą ręką Jerzego Giedroycia we wszystkich sprawach związanych z działalnością wydawniczą Instytutu Literackiego. Kierowała domem w podparyskim Maisons Laffitte, będącym po drugiej wojnie światowej mekką opozycji demokratycznej w Polsce, a przy okazji także miejscem spotkań ludzi kultury, sztuki i idei. Każdy, kto interesuje się polską kulturą i historią, zna dziś jej nazwisko. W tej niezwykłej biografii przez długie lata istniała jednak znacząca luka – lata przedwojenne i te blisko dwie dekady, które Zofia Hertz spędziła w Łodzi. Z całą pewnością wspomniana luka była wyborem samej bohaterki, nie lubiła bowiem wracać do przeszłości, niechętnie wspominała trudne łódzkie doświadczenia. Dopiero pod koniec życia odważyła się opowiedzieć bliżej o tym okresie.

Kiedy trzy lata temu przygotowywaliśmy numer „Kroniki miasta Łodzi" poświęcony najwybitniejszym łodziankom, nie mogliśmy pominąć „Strażniczki

Zofia Hertz na balkonie kamienicy przy Placu Wolności 2, 1932 r., fot. z archiwum Anny Olszewskiej

i westalki paryskiej «Kultury»". Jednocześnie mieliśmy też okazję przyjrzeć się bliżej dokumentom i wspomnieniom związanym z łódzkim okresem życia Zofii Hertz. Choć niechętnie wspominany przez samą bohaterkę, czas spędzony przez nią w Łodzi – pomiędzy rokiem 1921 a 1939 – obfitował w ważne, a nawet formacyjne doświadczenia: trudne dzieciństwo i młodość spędzone w domach krewnych i na stancjach, szkoła – prywatne gimnazjum Romany Konopczyńskiej-Sobolewskiej, praca w kancelarii notarialnej, której ważnym epizodem było uzyskanie przez nią jako pierwszą kobietę w Polsce uprawnień do wykonywania tego zawodu (1933), wreszcie małżeństwo z Zygmuntem Hertzem.

Jednocześnie z przygotowywaniem tekstu poświęconego Zofii Hertz narodziła się idea upamiętnienia tej postaci w jeszcze inny, bardziej materialny sposób. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że małżeństwo Hertzów miało już w naszym mieście poświęcone sobie miejsce. W 2008 roku Rada Miejska w Łodzi nadała niewielkiemu skwerowi nieopodal Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego imię Zofii i Zygmunta Hertzów. Postanowiliśmy jednak zrobić jeszcze więcej. Z pomysłem umieszczenia tablicy pamiątkowej na budynku kamienicy przy Placu Wolności 2, gdzie Zofia Hertz pracowała jako referentka notarialna w latach 1929–1939, zwróciliśmy się do Izby Notarialnej w Łodzi. Ta inicjatywa spotkała się z pozytywnym odzewem, szczególnie ze strony pana notariusza Aleksandra Szymańskiego – obecnego prezesa Izby oraz pana notariusza seniora Aleksandra Jagodzińskiego. Projekt tablicy z wizerunkiem Zofii Hertz stworzył artysta rzeźbiarz prof. Kazimierz Karpiński. Duże zasługi tej inicjatywie oddali również pani Anna Olszewska – łodzianka, siostrzenica Zygmunta Hertza oraz

Wiceprezydent Łodzi Krzysztof Piątkowski, Anna Olszewska, prezes Izby Notarialnej w Łodzi Aleksander Szymański, fot. Marcin Bałczewski

pan Wojciech Sikora – prezes Stowarzyszenia Instytut Literacki „Kultura" z Maisons-Laffitte. Instytucjonalnie wspierał nas Dom Literatury w Łodzi i Muzeum Miasta Łodzi.

18 czerwca uroczystego odsłonięcia tablicy dokonał przedstawiciel fundatorów, prezes Izby Notarialnej w Łodzi Aleksander Szymański wspólnie z Anną Olszewską oraz wiceprezydentem Łodzi Krzysztofem Piątkowskim. Temu wydarzeniu towarzyszył również wernisaż wystawy w Domu Literatury w Łodzi, przygotowanej przez redaktora „Kroniki..." Marcina Kieruzela, inicjatora całego przedsięwzięcia, oraz Grzegorza Krzymianowskiego.

Tablica poświęcona Zofii Hertz pozostanie w Łodzi ważną pamiątką po tej niezwykłej kobiecie, bez której zapewne – co przyznawał sam „Książe niezłomny" – niemożliwy byłby bezprecedensowy wkład Instytutu Literackiego w polską kulturę.

Redakcja

str. 3 | Tablica poświęcona Zofii Hertz, fot. Marcin Bałczewski

Osiedla, domy, ulice

Zachodnia
Ulica zatartych śladów
Dariusz Kędzierski
str. 161

Zachodnia

Ulica zatartych śladów

Skoro wytyczono Zachodnią, to siłą rzeczy powstała też Południowa, Wschodnia oraz Północna – były to jedne z pierwszych ulic tworzącego się od początku lat 20. XIX wieku, Nowego Miasta. Pierwotnie Zachodnia łączyła dwie poprzeczne ulice, Zawadzką (obecnie Próchnika) z Ogrodową – była więc bardzo krótką ulicą. Z czasem Zachodnia zaczęła się zmieniać. Jeszcze w połowie XIX wieku została przedłużona w kierunku południowym do ulicy Zielonej. W 1865 roku powstał projekt przedłużenia Zachodniej jeszcze dalej, do ulicy świętego Andrzeja, miała to być szeroka na 35 metrów promenada. Projekt udało się zrealizować, lecz nowa arteria nie była już ulicą Zachodnią, a od 1873 roku ulicą Spacerową. Z kolei w kierunku północnym Zachodnią przedłużono aż do targowiska „Dolna". Po drodze Zachodnia niejako „wchłonęła" ulice Stodolnianą, Wesołą oraz Masarską.

Po wojnie w latach 50. został oddany do użytku dwupasmowy odcinek pomiędzy ulicami Ogrodową i Lutomierską, i dalej do Limanowskiego, w 1965 roku natomiast została wybudowana druga jezdnia pomiędzy ulicami Zieloną i Ogrodową. Budowa drugiej jezdni, tego ostatniego odcinka, wymusiła konieczność wyburzenia na przestrzeni jednego kilometra kilkudziesięciu kamienic, które tworzyły zwartą wschodnią pierzeję ulicy. Do tej pory widać tu podwórka „studnie", które pozostały po usunięciu budynków frontowych. W ten sposób zniknęło wiele cennych przykładów budownictwa modernistycznego, z drugiej jednak strony trudno jest sobie wyobrazić Zachodnią bez drugiej jezdni. Ostatni odcinek Zachodniej – do Zgierskiej – został oddany do użytku w połowie lat 70. ubiegłego wieku. Zarówno ulica Zachodnia, jak i Spacerowa miały odciążyć przeładowaną główną ulicę miasta – Piotrkowską. Obecnie Zachodnia ma ponad dwa km długości, na całej swojej długości jest ulicą dwujezdniową z torowiskiem tramwajowym pośrodku i komunikacyjnie jest jedną z najważniejszych ulic miasta.

Dzielnica browarów

W początkowym okresie tworzenia się Łodzi przemysłowej paradoksalnie to nie zakłady włókiennicze były największymi obiektami przemysłowymi, ale… browary.

Pierwsze wzmianki o warzeniu piwa w Łodzi pochodzą z 1520 roku, ale wcześniej, bo w 1453 roku, miała tu miejsce produkcja słodu, co wskazywałoby, że już wtedy piwo było wytwarzane.

Powstały w 1828 roku Bank Polski niechętnie kredytował przemysł piwowarski, tradycyjne browary były bowiem traktowane jako zakłady rzemieślnicze o ograniczonym potencjale. Niemniej browary powstawały, lecz głównie dzięki środkom własnym ich właścicieli.

Pierwszy browar w Nowym Mieście wybudował u zbiegu ulic Nowomiejskiej i Północnej Karol Saenger. O wiele większy zakład, w którym ważono piwo, powstał kilkaset metrów dalej u zbiegu ulic Ogrodowej i Zachodniej, gdzie obecnie znajduje się pałac Poznańskiego. Wybudował go w latach 1841–1844 Antoni Bittdorf. Bittdorf był w Łodzi postacią bardzo znaną, przyjechał z Tomaszowa Mazowieckiego i przez wiele lat pełnił w naszym mieście różne funkcje publiczne, w tym funkcję Starszego Zgromadzenia Cechów, ławnika miejskiego oraz radnego magistrackiego.

W połowie XIX wieku wytworzyła się silna konkurencja pomiędzy browarami miejskimi a tymi usytuowanymi poza granicami miasta – te zamiejskie konkurowały z miejskimi niższą ceną. W pewnym momencie Bittdorf doszedł do wniosku, że tej konkurencji nie sprosta i w roku 1850 browar sprzedał. Zakłady jeszcze kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk, aż w końcu – w 1877 roku – stały się własnością Izraela Poznańskiego.

Na drugim narożniku ulicy Ogrodowej i Zachodniej naprzeciwko zakładów Bittdorfa – gdzie obecnie znajduje się park Staromiejski – funkcjonował browar Antoniego Baucha. W 1869 roku cały teren wraz z drewnianymi budynkami zakładu został wystawiony na sprzedaż. Nabywcą okazał się pochodzący z Rawicza Adolf Gehlig, który za nieruchomość zapłacił 37 tysięcy rubli. Ale to nie nabywca kierował zakładem, lecz jego bracia Herman i Ryszard, od których Adolf pobierał stosowną opłatę. Browar był nieustannie rozbudowywany, a najlepszy okres swojego istnienia przeżywał w końcu XIX wieku, kiedy to zatrudnionych było w nim 130 robotników, a produkcja wynosiła 46 tysięcy hektolitrów piwa rocznie.

Na początku XX wieku zaczęły się jednak kłopoty. Okazało się, że firma ma pozaciągane tak duże kredyty, że przestała sobie radzić z ich spłatą. Na to jeszcze nałożyły się strajki pracowników, którzy żądali podwyżek płac. Wreszcie największy wierzyciel zakładów, Towarzystwo Kredytowe, uznało, że dług zaciągnięty przez Gehligów jest nieściągalny, w związku z czym w sierpniu 1909 roku nieruchomość została wystawiona na aukcję. Browar kupił Bank Handlowy i kontynuował produkcję.

W czasie pierwszej wojny światowej na zakład spadły trzy niemieckie pociski. Szkody naprawiono i po wojnie w 1919 roku bank sprzedał posesję firmie „Fajwel, Trubowicz i Spółka". Nowi właściciele zrezygnowali z produkcji piwa, a fabryczne powierzchnie wynajmowali na sklepy i lokale usługowe. W 1936 roku część terenu została przekazana na poszerzenie ulicy Zachodniej. W czasie drugiej wojny światowej browar przestał istnieć, zabudowania zrównano z ziemią, a jedyną po nich pozostałością są zasypane piwnice, które znajdują się na terenie parku Staromiejskiego.

Dzielnica żydowska

Gdy na początku XIX wieku władze Królestwa postanowiły doprowadzić do szybkiego rozwoju Łodzi i zaczęto tworzyć zręby Nowego Miasta, nacją, o której nie zapomniano i która otrzymała ścisłe wytyczne w zakresie osadnictwa, byli Żydzi. Początkowo dla osiedlania ludności żydowskiej planowano przeznaczyć tereny w zachodniej części Starego Miasta, głównie w obrębie ulicy Drewnowskiej. Później jednak przeważyła koncepcja usytuowania „rewiru żydowskiego" w rejonie obejmującym południowe pierzeje Rynku, ulicy Wolborskiej, Podrzecznej oraz dalej na południe, w kierunku ulicy Północnej, wzdłuż nieistniejącej jeszcze wtedy ulicy Wschodniej, a później, gdy liczba ludności żydowskiej rosła, wzdłuż ulicy Stodolnianej (Zachodniej). 27 września 1825 roku Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych oficjalnie zatwierdziła ten obszar jako „rewir żydowski".

Łódź nie była tutaj żadnym wyjątkiem, gdyż takie „rewiry" powstawały w całej Europie, a podłożem ich tworzenia był aspekt religijny. Europa była chrześcijańska i nie życzyła sobie „zgorszenia" religijnego. Dlatego jeżeli Żydzi, jako bezpaństwowcy, chcieli osiedlać się i pielęgnować własną kulturę oraz zachować odrębność swych praktyk religijnych, musieli godzić się na życie w wyznaczonych dla nich miejscach. W samym Królestwie Polskim wyznaczonych było kilkadziesiąt takich „rewirów". Były też wyjątki, poza rewirem mogli osiedlać się zamożni Żydzi, którzy potrafili wykazać się odpowiednim majątkiem, znali język polski, niemiecki lub francuski, a najlepiej, jeżeli nie używali symboli charakterystycznych dla Żydów ortodoksyjnych.

Decyzja o utworzeniu „rewiru żydowskiego" właśnie w tym miejscu praktycznie sankcjonowała istniejący już stan, gdyż jeszcze przed jej wydaniem Żydzi osiedlali się w tym rejonie, obierając okolice ulicy Zachodniej za miejsce swojego zamieszkania. Podejmując decyzję o takim właśnie usytuowaniu „rewiru", władze miasta miały nadzieję, że trudniący się głównie handlem Żydzi szybko zagospodarują

ten teren i zabudują go murowanymi domami. Zakładano, że w ten sposób nastąpi szybkie urbanistyczne połączenie Starego Miasta z dopiero co tworzonym Nowym Miastem. Niestety, na obszarze tym zamieszkiwała żydowska biedota, której nie było stać na spełnienie warunków umożliwiających osiedlanie się poza rewirem.

Liczba ludności żydowskiej systematycznie rosła, co doprowadziło do ogromnego zagęszczenia. Ludzie mieszkali wszędzie, w piwnicach, na strychach, w ogromnym ścisku. O tym, jak szybko zwiększała się populacja Łodzi, w tym liczba ludności żydowskiej, niech świadczy fakt, iż w momencie budowy pierwszej synagogi w roku 1809 Żydów była ledwie setka, dziewięćdziesiąt lat później natomiast było ich już prawie 100 tysięcy.

Na terenie obecnego parku Staromiejskiego znajdował się tzw. Szachermark, czyli wielki targ starzyzną; można tu było sprzedać lub kupić stare buty, zniszczone ubrania, różne przedmioty codziennego użytku po naprawie lub nie. Na pozostałej części targu handlowano głównie żywnością. Nad stłoczonymi obok siebie straganami i budynkami unosił się zapach ryb, głównie najtańszych śledzi, stąd później utarła się popularna nazwa parku – „park śledzia". Warunki sanitarne, które tu panowały, urągały wszelkim normom. Stały tu budy sklecone z kawałków desek, tektury i szmat, a dookoła cuchnące błoto z resztkami gnijących odpadków, obok plac pełniący rolę ustępu, nic też dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy dozór sanitarny zabraniał w tym miejscu handlu produktami innymi niż suche.

Były plany, aby cały ten teren zniwelować, rzekę Łódkę natomiast zasypać ziemią i obsadzić drzewami. Miało powstać tu coś na kształt bulwaru. Planu tego jednak nie zrealizowano. Istniały bowiem też względy społeczne i gospodarcze. Likwidacja setek straganów pozbawiłaby tysięcy ludzi jedynego źródła utrzymania, a właścicieli placów – w tym żydowskiego dozoru bożniczego przy Wolborskiej 22, do którego należał targ – dochodów z ich dzierżawy. Ale to, czego nie zrobiono przed wojną, dokonało się w czasie okupacji. Niemcy zrównali cały teren z ziemią, a ludność żydowską zapędzono do utworzonego w północnej części Łodzi getta – była to druga w dziejach miasta przymusowa dzielnica żydowska. Następnie Żydów poddano eksterminacji i wymordowano w obozach zagłady. Zniknęli z krajobrazu Łodzi.

Ludność żydowska miała też swoją nekropolię. Pierwotnie główną żydowską nekropolią był cmentarz przy ulicy Wesołej. Powstał w 1811 roku w obrębie dzisiejszych ulic Zachodniej, Bazarowej, Rybnej, Limanowskiego. Z czasem otoczony został niskim czerwonym murem. Mówiono, że jest to kirkut przy ulicy Wesołej, bo paradoksalnie tak nazywała się uliczka, która prowadziła do cmentarza. Do stycznia 1883 roku pochowano w tym miejscu 12 tysięcy Żydów, w tym wielu przemysłowców, kupców, nauczycieli, działaczy społecznych i religijnych. Tu spoczął Joachim Silberstein, założyciel znanego fabrykanckiego rodu, Kalman Poznański, ojciec Izraela Poznańskiego – największego, żydowskiego fabrykanta, Rabin Chaskiel Naumberg czy też założyciel pierwszej żydowskiej księgarni, Jankiel Gutsztadt.

Pod koniec XIX wieku cmentarz przy Wesołej został w całości zapełniony i powstała konieczność utworzenia nowej żydowskiej nekropolii. Fundatorem nowego miejsca pochówku dla Żydów stał się Izrael Poznański. W tym celu w 1891 roku kupił on od przemysłowca Juliusza Heinzla 10 hektarów gruntu na terenach dóbr Marysin. W 1892 roku wydana została zgoda na otwarcie nowej nekropolii przy ulicy Brackiej, a Dozór Bożniczy powiadomił prezydenta o otwarciu nowego miejsca pochówku. Początkowo pochówki na nowym cmentarzu nie cieszyły się zbytnią popularnością, dopiero pogrzeby znanych osób, jak Hermana Konstadta w 1894 roku, a szczególnie Izraela Poznańskiego w 1900 roku, nobilitowały tę nekropolię.

Gdy główną nekropolią łódzkich Żydów stał się cmentarz przy ulicy Brackiej, pogrzeby przy Wesołej odbywały się już sporadycznie, a w okresie międzywojennym w domu pogrzebowym urządzony został szpital dla osób upośledzonych. W 1940 roku stary cmentarz żydowski znalazł się na terenie getta. W 1942 roku został zlikwidowany szpital, a na jego miejsce urządzono resort stolarski. W czasie okupacji cmentarz został częściowo zniszczony. Niemcy nakazali usunięcie kamiennych nagrobków, które miały posłużyć do brukowania drogi, pozostała część cmentarza przetrwała do wyzwolenia. Dopiero w latach 50. podjęto decyzję o likwidacji tego, co zostało z nekropolii, gdyż w tym miejscu miała przebiegać trasa ulicy Zachodniej, a także stanąć miały nowe bloki.

Przed inwestycją dokonano ekshumacji, ale nie zrobiono tego zbyt dokładnie i przy kolejnych pracach ziemnych znajdowano w tym miejscu ludzkie kości. O tym, że była tu kiedyś nekropolia, przypomina fragment cmentarnego muru przy ulicy Rybnej oraz postawiona w 2004 roku pamiątkowa tablica w formie macewy na skwerze przy bursie Szkół Artystycznych, przy ulicy Rybnej 11.

Park Śródmiejski

Po wojnie postanowiono na pozostawionym przez Niemców gruzowisku po opuszczonym getcie urządzić park. Jego projektantem był inżynier K. Chrabelski. Szczególnie urozmaicona pod względem ukształtowania terenu jest część wschodnia parku, a to ze względu na wyraźny spadek stoków doliny rzeki Łódki, przybierający w tym miejscu charakter skarpy wysokiej na trzy–cztery metry. Założenia urbanistyczne przewidywały, że teren ten będzie miejscem zabaw ludowych, manifestacji i uroczystych pochodów. Tym celom został podporządkowany plan przestrzenny parku. Urządzono ogromne place, przeprowadzono kilka prostopadłych szerokich traktów stanowiących o przelotowości parku. Później okazało się jednak, że park nie spełnia zakładanych wcześniej funkcji, wobec czego nieużytkowane place zostały w 1955 roku częściowo zadrzewione.

Plac Tanfaniego

Obok ulicy Rybnej znajduje się plac obecnie nazwany placem Piastowskim, ale przed wojną mówiło się o nim plac Bazarowy lub Bazarny. Na placu znajdowały się hale targowe. To miejsce handlu powstało w 1902 roku. Powodem stworzenia tego targowiska było pojawienie się tramwajów na Nowym Rynku (Plac Wolności). Do tej pory to właśnie Nowy Rynek był największym placem targowym w mieście, ale przejazdy tramwajów między furmankami były bardzo uciążliwe i niebezpieczne, więc targowisko na Nowym Rynku zostało zlikwidowane. Hale targowe przy Bazarowej zaprojektował Dawid Lande, a projekt sfinansował baron Giuseppe Tanfani, zięć fabrykanta Juliusza Heinzla. W hali zmieściło się 140 stoisk handlowych. Rynek posiadał bieżącą wodę

z własnego ujęcia, a także duży plac rybny, od którego wzięła nazwę biegnąca obok ulica. W czasie hitlerowskiej okupacji rynek wraz halą został włączony do getta żydowskiego. Halę zamknięto, a na rynku ustawiono szubienicę i dokonywano publicznych egzekucji. Rynek przez wiele lat nosił nazwę placu Tanfaniego. Po wojnie, w 1956 roku, targowisko zlikwidowano i utworzono zieleniec. Od 1961 do 1994 roku miejsce to nosiło nazwę placu Pionierów.

Fenomen Poznańskiego

Pisząc o ulicy Zachodniej, nie sposób nie wspomnieć o Izraelu Poznańskim. To jemu zawdzięczamy wspaniały pałac przy tej ulicy, a także wkomponowane w mury dawnej fabryki okazałe centrum rozrywkowo-handlowe Manufaktura.

Izrael Kalmanowicz Poznański w 1851 roku, w wieku 17 lat, ożenił się z Leonią Hertz, córką sekretarza szpitali żydowskich w Warszawie. Ojciec podarował synowi skład sukna, a także sklep na Starym Mieście. Panna młoda wniosła w posagu mieszczący się w Warszawie sklep – Handel towarów łokciowych. Oprócz tego Poznański był właścicielem warsztatu rękodzielniczego, w którym produkował tkaniny.

Dzięki pracowitości i umiejętnie wykorzystywanym kontaktom Poznański bogacił się błyskawicznie. W niedługim czasie stał się właścicielem 50 warsztatów tkackich, w których zatrudniał ponad 70 pracowników.

W 1871 roku nabył tereny przy ulicy Stodolnianej (Zachodniej) i Ogrodowej, a rok później rozpoczął budowę tkalni na 200 krosien mechanicznych – maszyny sprowadził z Anglii. Produkcja przynosiła znaczne zyski, które umożliwiały kontynuowanie rozbudowy fabryki. W ten sposób w latach 1877-1880 powstał budynek, który stał się wizytówką zakładów Poznańskiego. To usytuowana wzdłuż ulicy Ogrodowej długa na 170 metrów pięciokondygnacyjna przędzalnia. Budynek ten w ciasnej śródmiejskiej zabudowie prezentuje się bardzo okazale. Za głównych projektantów fabrycznego imperium Poznańskiego uznaje się architekta miejskiego Hilarego Majewskiego oraz Juliusza Junga, architekta ze Stuttgartu.

Początkowo w przędzalni Poznańskiego pracowało 36 tysięcy wrzecion, a trzy lata później już ponad 43 tysiące. Podobnie wzrosła liczba krosien – z początkowych 200 do 1560.

Kilka lat później powstała jeszcze farbiarnia i drukarnia. W ten sposób Poznański stworzył wielofunkcyjny, samowystarczalny kompleks fabryczny, w którym realizowany był cały cykl produkcyjny. Całość, łącznie z bocznicą i magazynami, zajmowała około 30 hektarów.

Poznański był po Scheiblerze drugim największym łódzkim przemysłowcem. Jego bogactwo miało również swoje źródło w ogromnym wyzysku robotników. Fabrykant samowolnie wydłużał dzień pracy, był okres, gdy dzień roboczy w jego zakładach wynosił 16 godzin. Podczas strajków należał do najbardziej nieustępliwych fabrykantów. Stosował najniższe stawki zarobkowe. Różnica w płacy w zakładach

Scheiblera i Poznańskiego wynosiła od jednego do dwóch rubli tygodniowo przy stawce tygodniowej wynoszącej 18-20 rubli. Poza tym w zakładach Poznańskiego produkowano tanie wyroby bawełniane oparte na sprowadzanym z Persji i Rosji surowcu gorszej jakości, podczas gdy za najlepszą uważano bawełnę amerykańską i indyjską.

Część zysków z pracy robotników Poznański przeznaczał na cele filantropijne, wspierając finansowo instytucje charytatywne, głównie żydowskie. W ten sposób z przekazanych przez niego środków powstały szkoły, szpitale, a także najbardziej okazała synagoga przy ulicy Spacerowej. Jednocześnie wzorem Scheiblera, aby silniej związać robotników z zakładem, wybudował dla nich osiedle kilkupiętrowych domów mieszkalnych. Osiedle powstało naprzeciwko fabryki, po drugiej stronie ulicy Ogrodowej.

W budynkach zamieszkało ok. 1000 rodzin – ponad cztery tysiące osób. Wielkość zajmowanego mieszkania uzależniona była od kwalifikacji robotnika. Lokale pozbawione były podstawowych wygód, nie miały wody i ubikacji. Oczywiście udział w strajku powodował natychmiastowe wyrzucenie na bruk.

Kolejne pokolenia rodziny Poznańskich coraz bardziej się polonizowały. W miejsce imion Izaak, Chaim, Izrael pojawiają się Stanisław, Kazimierz, Mieczysław. Zresztą sam Poznański zapoczątkował proces asymilacji, gdyż na co dzień w korespondencji używał języka polskiego, również testament napisał w języku polskim.

Do czasu wybuchu pierwszej wojny światowej zakłady Poznańskiego prosperowały bardzo dobrze, a majątek firmy szacowano na 30 milionów rubli. Wybuch wojny wszystko zmienił, ograniczenie dostaw surowców i odcięcie od rynku rosyjskiego spowodowało ogromne straty dla przemysłu łódzkiego. Szacuje się, że na koniec wojny straty te wynosiły ok. 400 milionów rubli w złocie. Skorzystał na tym mediolański Banco Commerciale Italiana, który za sprolongowanie spłaty przedwojennych zadłużeń zakładów Poznańskiego otrzymał 60% akcji tego kombinatu, a w latach 30. zakłady w całości przeszły w ręce przedstawicieli włoskiego banku. Po drugiej wojnie światowej zostały znacjonalizowane i nadano im imię byłego pracownika i działacza SDKPiL Juliana Marchlewskiego.

Obecnie dawne zakłady Poznańskiego to potężny kompleks kulturalno-handlowy o nazwie Manufaktura.

Budowniczy pałaców

Poznański całe życie rywalizował z Scheiblerem o to, kto jest największym łódzkim fabrykantem, i nigdy tej rywalizacji nie wygrał. W jednym natomiast Scheiblera zdecydowanie pokonał – w budowie pałaców. Pod względem rozmachu i przepychu nie miały sobie równych. Poznański wybudował w Łodzi cztery okazałe pałace: przy ulicy Spacerowej (obecnie al. Kościuszki), przy obecnej Więckowskiego, przy ulicy Gdańskiej, ale najbardziej okazały powstał na rogu Ogrodowej i Zachodniej.

Budynek ten zaprojektował w 1888 roku Hilary Majewski. Projekt nie został w całości zrealizowany i w końcu lat 90. XIX wieku poprawki wniósł Dawid Rosenthal. Na początku XX wieku kolejne zmiany wprowadził Adolf Zeligson. W ten oto sposób nazywany „łódzkim Luwrem" budynek stał się przykładem eklektyzmu, czyli stylu, w którym odnaleźć można różne historyczne wpływy.

Pałac pełnił wiele funkcji, przede wszystkim były tam mieszkania, ale również kantor, sklepy, pokoje gościnne, biura. Początkowo był siedzibą rodzinną, ale w momencie utworzenia w 1889 roku spółki stał się własnością – Towarzystwa Akcyjnego Wyrobów Bawełnianych I.K. Poznańskiego. Budynek wiele razy był rozbudowywany. W okresie międzywojennym swoją siedzibę miał tu Urząd Wojewódzki. W tym czasie zlikwidowano oranżerię i ogród zimowy, dobudowano natomiast piętra we wschodniej części pałacu.

W czasie okupacji, gdy mieścił się tu urząd niemiecki, zlikwidowano fontannę w ogrodzie spacerowym, przebudowano też salę balową, dzieląc ją stropem na dwie kondygnacje.

Po wojnie pałac zajął Urząd Wojewódzki. Na przełomie lat 50. i 60. dobudowano skrzydło północne, które w znaczny sposób zmniejszyło pałacowy ogród. Dopiero gdy uznano, że pałac jest cennym zabytkiem kultury, nastały dla niego lepsze czasy. Od 1975 roku mieści się tu Muzeum Miasta Łodzi, dzięki temu obiekt został udostępniony zwiedzającym.

Największe wrażenie robią pałacowe sale pierwszego piętra: sypialnia, garderoba, mająca 200 m2 jadalnia, której górną część zdobią sztukaterie oraz malowidła Samuela Hirszenberga; alegoryczne rzeźby odnoszące się do pracy, przemysłu, urodzaju, fortuny. Obudowaną dębową boazerią dolną część zdobi elegancki kredens, a także kominek z motywem pawia – symbolem nieśmiertelności. Odrestaurowany został pałacowy ogród z wkomponowaną weń galerią rzeźb współczesnych artystów.

To jednak nie wszystkie akcenty żydowskie przy ulicy Zachodniej. Pod numerem 56 stała duża synagoga nazywana Wilker Szil, od nazwy miejscowości Wilki. Synagoga powstała w 1875 roku, a 28 lat później została przebudowana według projektu znanego łódzkiego architekta Gustawa Landau-Gutentegera. Przy tej bóżnicy działał największy w Łodzi bes medresz – dom nauki.

Z kolei przy Zachodniej 68 swoją siedzibę miała placówka kulturalna prowadzona przez żydowską partię socjalistyczną. Organizowano w tym miejscu imprezy kulturalne, miały miejsce odczyty i wykłady, rozprowadzano bilety do teatrów.

Ale to wszystko jest już przeszłością.

Dariusz Kędzierski
publicysta, filmowiec

Fot. Marcin Bałczewski

Literatura:

1. Bonisławski R., Podolska J., *Spacerownik łódzki*, Biblioteka Gazety Wyborczej, 2008.
2. Kowalczyński K., *Łódź przełomu wieków XIX / XX*, Dom Wydawniczy Księży Młyn, Łódź 2008.
3. „Kronika miasta Łodzi", 4/2008, 2/2009, 1/2013.
4. Lewicki S., *Kariera miasta Łodzi*, Książka i Wiedza 1971.
5. Pawlak W., *W rytmie fabrycznych syren*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984.
6. Spodenkiewicz P., *Zaginiona dzielnica. Łódź żydowska – ludzie i miejsca*, Łódzka Księgarnia Niezależna, Łódź 1999.
7. Stefański K., *Jak zbudowano przemysłową Łódź*, Regionalny Ośrodek Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego w Łodzi, Łódź 2001.
8. Sygulski M., *Historia Bałut*, Studio AMEBA, Łódź 2003.
9. https://pl.wikipedia.org/wiki/Ulica_Zachodnia_w_%C5%81odzi.

Włodzimierz Finke. *Malarstwo i ceramika*

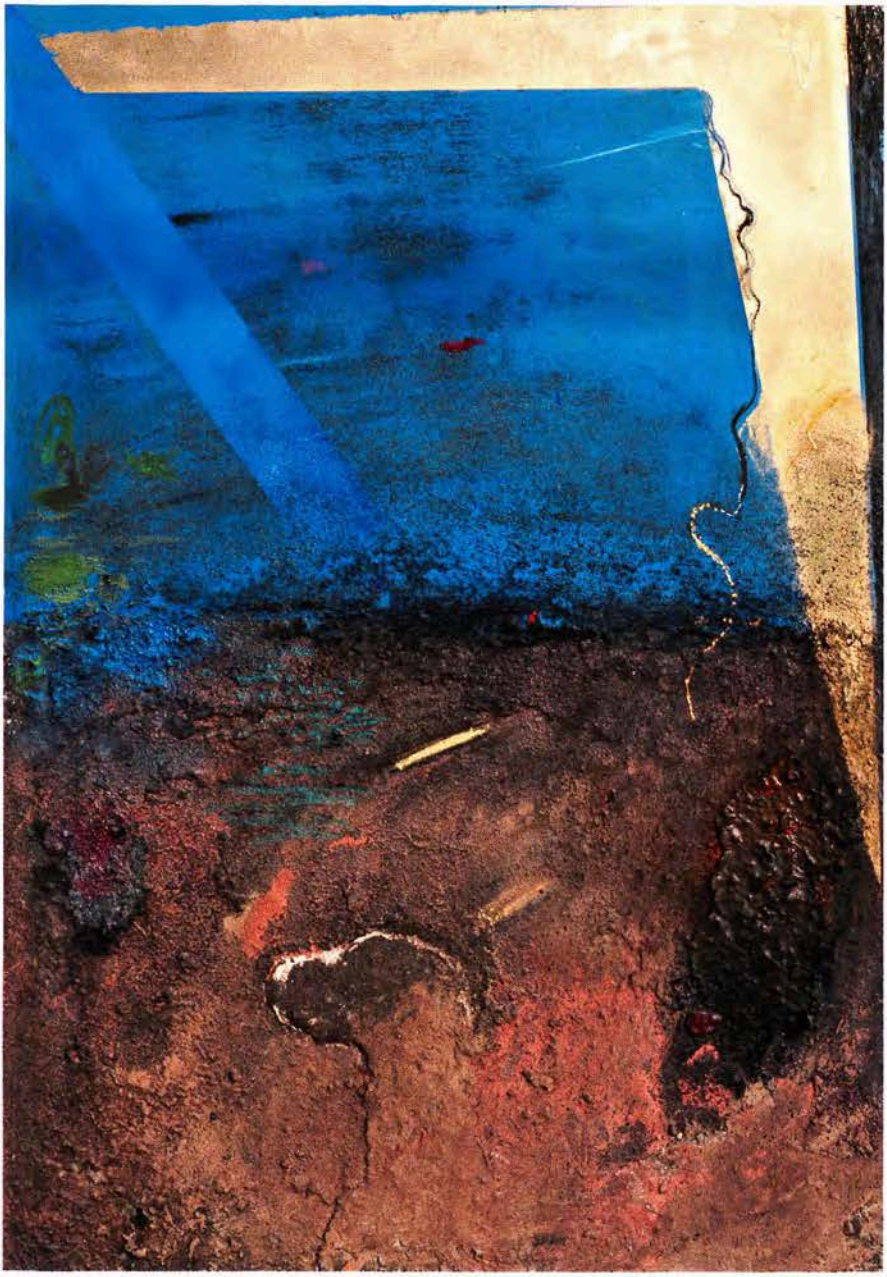

Plaża w Zanzibarze (Jerzemu Nowosielskiemu), 2014, technika mieszana, płyta

Farfallo - Bruno Schulz, 2013,
technika mieszana

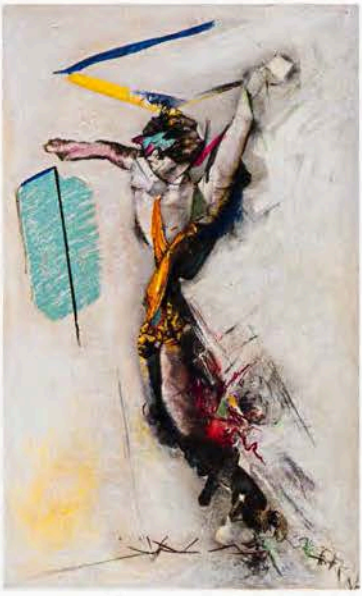

Panny II, 2013, technika mieszana,
płyta pilśniowa

Undula z biczem - Bruno Schulz, 2012,
technika mieszana, płyta pilśniowa

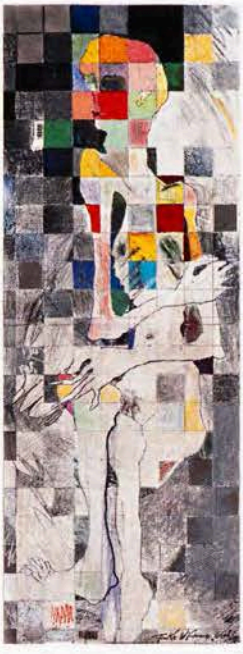

Głód II, 2014, akryl, pastel, papier

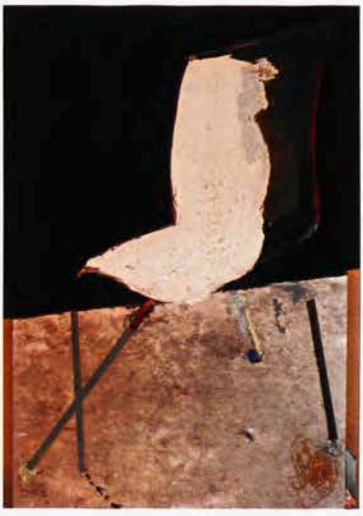

Połamane I, 2010, technika mieszana, płyta pilśniowa

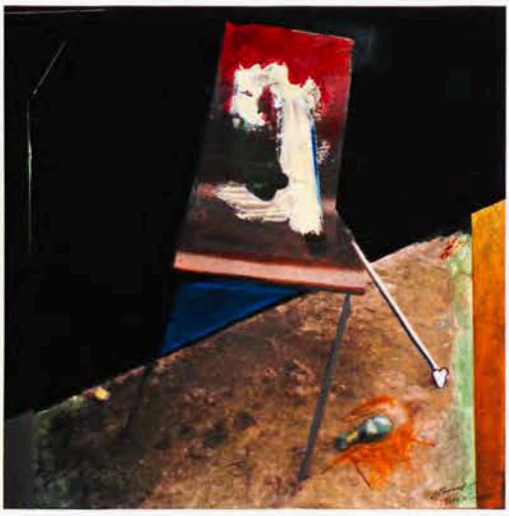

Połamane 2, 2011, technika mieszana, płyta pilśniowa

Połamane 4, 2014, technika mieszana, płyta

Połamane11, 2011, akryl, płyta pilśniowa

Drabina Jakubowa III, 2013,
technika mieszana, płyta pilśniowa

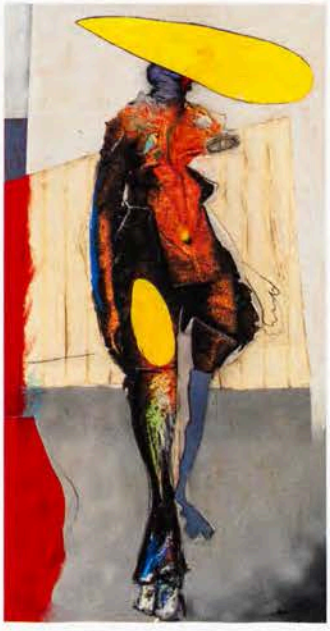

Panny V, 2012, technika mieszana,
płyta pilśniowa

Panny VI, 2009, technika mieszana,
płyta pilśniowa

Panny IV, 2014, technika mieszana,
płyta pilśniowa

Fot. z archiwum Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi

Magdalena Moskwa. *Nomana*

Magdalena Moskwa, Bez tytułu, 2001

Magdalena Moskwa, *Bez tytułu*, 2013

Magdalena Moskwa, *Bez tytułu*, 2014

Magdalena Moskwa, *Bez tytułu*, 2013

Magdalena Moskwa, *Bez tytułu*, 2014

Magdalena Moskwa, *Bez tytułu*, 2003
Fot. z archiwum Muzeum Sztuki w Łodzi

Z łódzkiego raptularza

MARZEC 2015

1 marca

→ Klub Miłośników Starych Tramwajów rozpoczął obchody związane ze 110. rocznicą śmierci Juliusza Kunitzera – łódzkiego przemysłowca, założyciela sieci tramwajowej w 1898 roku. Można było zwiedzać zajezdnię przy ulicy Konstantynowskiej oraz zapoznać się z wystawą o Kunitzerze umieszczoną w zabytkowym tramwaju. Kunitzer był postacią bardzo kontrowersyjną, znaną z twardego stosunku do robotników, zginął w wyniku zamachu zorganizowanego przez PPS podczas rewolucji 1905 roku. Klub Krytyki Politycznej oraz Klub Miłośników Starych Tramwajów zamierzają zorganizować dyskusję na temat „ojca łódzkich tramwajów".

→ W Bibliotece im. Marszałka J. Piłsudskiego w Łodzi otwarto tygodniową wystawę pt. *Nie dość czytać* pokazującą rozwój reklamy w czasopismach polskich od końca XVIII wieku do lat 30. XX wieku.

2 marca

→ W każdą niedzielę Wielkiego Postu od godziny 15:00 w podziemiach archikatedry w Łodzi można było uczyć się tradycyjnych pieśni wielkopostnych z czasów baroku i średniowiecza.

→ Na łódzkich ulicach pojawiły się biletomaty komunikacji miejskiej. Za bilety można płacić zarówno kartą płatniczą, jak i gotówką. MPK automaty mają kosztować 308 tys. zł. Podobny system od kilku lat działa z powodzeniem we Wrocławiu.

3 marca

→ 3 marca to dzień urodzin Jacka Kuronia i dziesiąta rocznica przyjęcia go za patrona przez Zespół Szkół Specjalnych nr 3 w Łodzi. Okrągłą rocznicę uczniowie i nauczyciele uczcili uroczystym spotkaniem społeczności szkolnej, podczas której przypomnieli postać i dokonania swego patrona. Nie obyło się bez tortu w kształcie ulubionej dżinsowej koszuli Kuronia i słynnej zupy „kuroniówki".

→ Piotr Dzięcioł, szef Opus Film, spotkał się w Urzędzie Miasta z prezydent Hanną Zdanowską, której podziękował za pomoc przy produkcji *Idy* i zaprezentował statuetkę zdobytego Oskara.

→ Architekt miasta Marek Janiak ogłosił konkurs na projekt podręcznika dla łódzkich uczniów, poświęcony zabytkowej architekturze miasta. Poszczególne części podręcznika mają być przeznaczone dla dzieci, młodzieży i studentów. Obowiązkowym elementem książki ma być aplikacja na smartfony. Termin był krótki – projekty można było zgłaszać tylko do 1 kwietnia.

→ Prezydent Łodzi Hanna Zdanowska uczestniczyła w oficjalnej delegacji prezydenta Bronisława Komorowskiego w Japonii. Pani prezydent wraz z łódzkimi przedsiębiorcami wzięła udział w Polsko-Japońskim Forum Gospodarczym oraz uczestniczyła w spotkaniach z przedstawicielami Japońskiej Rady Biznesu. W swoim wystąpieniu podczas Forum Hanna Zdanowska mówila o zabytkach miasta, otwarciu na inwestycje i staraniach o przyznanie Łodzi organizacji wystawy EXPO.

5 marca

→ Jerzy Skolimowski, reżyser, aktor, scenarzysta, malarz i poeta, łodzianin z urodzenia i absolwent Szkoły Filmowej (1963 roku), otrzymał doktorat honoris causa Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Artysta debiutował filmem *Rysopis*. Po wyjeździe z Polski w 1969 roku odnosił sukcesy w Anglii, Włoszech i w Hollywood oraz zbierał nagrody na festiwalach w Berlinie, Cannes i w Wenecji. W latach 90. powrócił do Polski i zrealizował takie filmy, jak *Ferdydurke, Cztery noce z Anną* czy *Essentials Killing*. W ASP otwarto także wystawę malarstwa wybitnego reżysera.

6 marca

→ Po raz pierwszy łodzianie wybrali dwie osoby, którym będzie przysługiwał tytuł Łodzianina Roku 2014. Są to: Beata Konieczniak, inicjatorka powstania Fundacji „Lux Pro Monumentis" oraz jej fundatorka. Fundacja organizuje m.in. Light Move Festival, który spotkał się z uznaniem mieszkańców. Wojciech Szrajber jest dyrektorem szpitala im. Kopernika w Łodzi. Od kilku lat skutecznie i z pozytywnym efektem dla pacjentów i lekarzy przekształca szpital w nowoczesną placówkę.

→ Kapituła przyznała także po raz pierwszy nagrodę „Civis Lodziensis", otrzymał ją minister sprawiedliwości Cezary Grabarczyk za całokształt działań dla dobra miasta. Plebiscyt organizuje od lat Polskie Radio Łódź.

→ Miejska Galeria Sztuki otworzyła w salonie ekspozycyjnym Re:Medium przy ul. Piotrkowskiej 113 wystawę malarstwa Mileny Romanowskiej. Artystka, absolwentka ASP im. W. Strzemińskiego, jest autorką kilkudziesięciu wystaw w kraju i za granicą. Najnowsza zatytułowana *Struktura i terytorium* inspirowana jest architekturą miejską i dotyka problemu wytracania pierwotnej funkcji śladów urbanistycznych, które pozostają tylko w zbiorowej pamięci mieszkańców m.in. Łodzi.

7 marca

→ Przedstawieniem *Wycinka* Thomasa Bernharda w reżyserii Krystiana Lupy przygotowanym przez Teatr Polski z Wrocławia rozpoczął się XXI Międzynarodowy Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych. Trwający blisko 4,5 godziny spektakl organizatorka festiwalu dyrektor Ewa Pilawska postanowiła pokazać w pojemnej sali Klubu Wytwórnia.

8 marca

→ W plebiscycie na Łódzkie Płyty Roku 2014 Nagrodę Publiczności zdobyła płyta *Days of Chaos* zespołu Little White Lies. Nagroda Jury przypadła Jakubowi Adamiakowi, ukrywającemu się pod pseudonimem K, za płytę *No Longer Trust These Eyes of Mine*.

→ W Teatrze Powszechnym odbyła się panelowa dyskusja pt. *Kondycja artysty*. Uczestnicy panelu zastanawiali się, kim jest współczesny artysta – nonkonformistą, który reaguje na rzeczywistość, ale jej nie ulega, czy może kimś poszukującym jedynie uznania, sławy, pieniędzy. Panel towarzyszył tegorocznemu Festiwalowi Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych.

9 marca

→ W „Gazecie Wyborczej" zorganizowano spotkanie z prezydent Hanną Zdanowską. Transmisję można było oglądać na stronie internetowej „Gazety". Łodzinie zadawali pani prezydent pytania telefonicznie i droga meilową. Najwięcej dotyczyło inwestycji, remontów i obietnic przedwyborczych.

10 marca

→ Dziesięć zastępów strażaków gasiło pożar przy ulicy Tylnej 9/11 w Łodzi. Pożar wybuchł w neorenesansowej wilii zaprojektowanej przez znanego architekta Hilarego Majewskiego w 1881 roku dla Ludwika Grohmana. Obecnym właścicielem wilii jest biznesmen ze Rzgowa. Budynek pozostający od lat w opłakanym stanie jest od kilku lat remontowany. Ustalane są przyczyny wypadku.

11 marca

→ W Szkole Filmowej odbył się publiczny pokaz filmu Marii Zmarz-Koczanowicz pt. *Michnik, bądź realistą, chciej niemożliwego*. Wielką zaletą filmu są materiały archiwalne nawet z lat 60., które przeplatają się z nagraniami współczesnymi. Film pokazany był dotychczas tylko raz, w styczniu, w Muzeum PRL-u w Krakowie.

12 marca

→ W Sali Lustrzanej Muzeum Miasta Łodzi otwarto wystawę *Powstanie styczniowe w prasie zagranicznej. Ryciny z kolekcji Krzysztofa Kura*. Ekspozycja składa się z oryginalnych rycin z zagranicznych gazet z lat 1860-1868.

→ W Poleskim Ośrodku Sztuki gościł Zygmunt Miłoszewski, laureat Paszportu Polityki. Autor promował swoją najnowszą książkę Gniew. Dotychczas sprzedano 150 000 egz., co stanowi swoisty rekord.

→ Teatr Jaracza wystawił dwie jednoaktówki Iriny Waśkowskiej *Lekcje miłości i Marzec* w tłumaczeniu Agnieszki Piotrowskiej, w reżyserii Rafała Sabary i scenografii Beaty Nyczaj. W sztuce występują: Milena Lisiecka, Barbara Marszałek, Matylda Paszczenko, Agnieszka Skrzypczak i Marek Kałużyński.

13 marca

→ Burgtheater z Wiednia wystąpił w Klubie Wytwórnia z opartym na prozie Josepha Conrada przedstawieniem *Śmieszna ciemność*. Reżyserował Dusan David Parizek. Spektakl został pokazany w ramach Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych.

→ Profesor Tadeusz Robak z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, kierownik Kliniki Hematologii, od kilkudziesięciu lat prowadzi badania nad nowymi terapiami w białaczkach limfatycznych. Kilka lat temu wspólnie ze szwajcarskim hematologiem i przedstawicielami firmy farmaceutycznej rozpoczął badania nad nową metodą leczenia chłoniaka w 200 klinikach w 28 państwach. Wyniki wypadły pozytywnie, a artykuł na ten temat opublikowało najstarsze i najważniejsze czasopismo medyczne na świecie „New England Journal of Medicine".

→ Teatr Nowy w Poznaniu zaprezentował w Klubie Wytwórnia *Dziady* Adama Mickiewicza w reżyserii Radosława Rychcika. Ten głośny spektakl jest ważnym głosem w kwestii rasizmu, różnych podziałów i nietolerancji. Było to kolejne przedstawienie w ramach tegorocznego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych.

14 marca

→ W Teatrze Wielkim w koncercie *Vivat Operetta* wystąpili artyści Opery Lwowskiej. Na koncert złożyły się m.in. fragmenty *Zemsty nietoperza, Księżniczki czardasza* oraz *My Fair Lady*.

→ *Szkołę żon* Moliera w nowej adaptacji i reżyserii Janusza Wiśniewskiego obejrzeli uczestnicy tegorocznego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych w Teatrze Powszechnym w Łodzi.

→ W foyer Teatru Powszechnego została otwarta wystawa *Konrad Swinarski. Kondycja artysty, którego nie ma*. Zorganizował ją Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego wespół z łódzkim teatrem. Zaprezentowano zachowane fragmenty filmowe oraz fotografie ukazujące sylwetkę i dorobek jednego z najwybitniejszych i najbardziej oryginalnych twórców w historii polskiego teatru.

→ W dniu św. Patryka, patrona Irlandii, w OFF Piotrkowska przygotowano wiele atrakcji, najciekawiej zapowiadały się koncerty w wykonaniu zespołu Carrantuohill oraz prelekcje o historii tańców irlandzkich.

17 marca

→ Teatr im. Modrzejewskiej z Legnicy przyjechał do Łodzi z przejmującym spektaklem *Droga śliska od traw. Jak to diabeł wsią się przeszedł* wg pomysłu i w reżyserii Pawła Wolaka i Katarzyny Dworak. Spektakl pokazano w Małej Sali Teatru Powszechnego w ramach Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych.

→ Akademia Sztuk Pięknych otworzyła galerię przy ulicy Piotrkowskiej 68. Prace remontowe lokalu wykonali pracownicy techniczni uczelni oraz studenci. W centrum miasta będzie można dzięki temu obejrzeć wystawy prac artystów związanych z uczelnią, a także jej studentów. Prace studentów z czterech wydziałów zademonstrowano na otwarciu galerii. Nową placówką będzie kierowała Małgorzata Zawada, która przez wiele lat pracowała w galerii sztuki Desa.

18 marca

→ Wolontariusze reprezentujący różne zawody będą udzielać porad w uruchomionym tzw. Telefonie Życzliwości dla Seniorów. Pomysł uruchomienia telefonu zawdzięczamy magistratowi oraz Fundacji Subvenio. Wolontariusze będą udzielać m.in. porad prawnych, psychologicznych, interwencyjnych, a często po prostu rozmawiać z osobami, którym doskwiera samotność.

→ Teatr Muzyczny wystawił *Barona Cygańskiego* Johana Straussa w reżyserii Tomasza Koniny, w scenografii Joanny Jasko-Sroki, choreografii Moniki Myśliwiec. Orkiestrę prowadził Bassem Akiki.

20 marca

→ Filharmonia Łódzka im. A. Rubinsteina pokazała eksperyment oparty o nową recepcję muzyki Chopina pt. *Chopin bez fortepianu*. Oba koncerty kompozytora zostały wykonane bez partii fortepianu. Została ona zastąpiona oracją Barbary Wysockiej, a współautorem tekstu będącego ekwiwalentem partii fortepianu jest Michał Zadara. Publiczność przyjęła z mieszanymi uczuciami taki słowny przewodnik po utworach Chopina.

21 marca

→ *Dowód na istnienie drugiego* według pomysłu i w reżyserii Macieja Wojtyszki przedstawił na deskach Teatru Powszechnego Teatr Narodowy w Warszawie. W sztuce autor zderzył Witolda Gombrowicza ze Sławomirem Mrożkiem, którzy spotykali się we Francji w latach 1965–66, a ich wzajemne relacje dotykały trudnych polskich spraw. Sztukę pokazano w ramach tegorocznego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych.

22 marca

→ W Teatrze Powszechnym odbyła się sesja poświęcona Tadeuszowi Kantorowi w stulecie urodzin artysty. O wszechstronnej działalności twórczej tego plastyka, reżysera i dramaturga rozmawiali prof. Andrzej Turowski z Francji, dr hab. Karolina Prykowska-Michalak (UŁ) Jarosław Suchan (Muzeum Sztuki), Jaromir Jedliński (krytyk sztuki) oraz dr Dominika Łarionow (UŁ). Sesji towarzyszyły projekcje filmów poświęconych Kantorowi. Sesja towarzyszyła tegorocznemu Festiwalowi Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych.

23 marca

→ 76 lat temu w marcu 1939 roku powstała Armia Łódź, związek operacyjny Wojska Polskiego II RP. Podczas kampanii wrześniowej żołnierze stoczyli walki na linii Warty i Widawki i utrzymali pozycje do 6 września. W rocznicę tych wydarzeń pod pomnikiem Armii Łódź w imieniu prezydent miasta Hanny Zdanowskiej złożono kwiaty i zapalono znicze.

24 marca

→ W 70. rocznicę powołania Akademii Muzycznej w Łodzi uczelnia nadała tytuł doktora honoris causa prof. Zygmuntowi Krauze, kompozytorowi, pianiście, założycielowi zespołu kameralnego Warsztat Muzyczny, który specjalizuje się

w wykonywaniu muzyki współczesnej. Zygmunt Krauze powrócił do Łodzi i pracy w Akademii po kilkudziesięciu latach działalności artystycznej zagranicą.

→ Z okazji 25. rocznicy powstania Światowego Związku Żołnierzy AK na Zamku Królewskim w Warszawie odbyła się uroczystość, podczas której zostały wręczone prestiżowe nagrody im. Jerzego Śląskiego, przyznawane za wybitne osiągnięcia w pracy naukowej, publicystycznej, dydaktycznej i innych formach, mających na celu badanie, utrwalanie i rozpowszechnianie wiedzy o Polskim Państwie Podziemnym, AK i konspiracji niepodległościowej. Tegorocznym laureatem został łodzianin mjr dr inż. Mirosław Kopa ps. „Miron", żołnierz Kedywu, zasłużony w walkach oddziałów AK na Ziemi Łódzkiej, autor opracowań historycznych, od kilkudziesięciu lat popularyzujący dzieje polskiej konspiracji niepodległościowej.

→ *Machia* to sztuka poświęcona Niccolo Machiavellemu, którego 545. rocznica urodzin przypadła na dzień premiery spektaklu. Sztukę napisał i wyreżyserował Juliusz Machulski, a spektakl przywiózł do Łodzi Teatr Stary w Lublinie. Sztuka Machulskiego zrywa z dotychczasowymi stereotypami na temat Machiavellego i rzuca nowe światło na „pasjonujący kontekst polityczny i historyczny epoki włoskiego renesansu. Spektakl pokazano na scenie Teatru Powszechnego w ramach Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych.

28 marca

→ Łódzcy widzowie obejrzeli w sali Klubu Wytwórnia fascynujący spektakl *Broniewski* Radosława Paczochy poświęcony skomplikowanej biografii wybitnego poety uwikłanego w najtrudniejsze historyczne wybory. Reżyserował Adam Orzechowski, a spektakl przygotował Teatr Wybrzeże z Gdańska. Pokazano go w ramach Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych.

PERSONALIA:

3 marca

→ W Urzędzie Miasta nastąpiła reorganizacja. Agnieszkę Nowak, dotychczasową wiceprezydent Łodzi, zastąpił Ireneusz Jabłoński, specjalista w dziedzinie zarządzania strategicznego i operacyjnego oraz kierowania dużymi organizacjami gospodarczymi i publicznymi. Absolwent Politechniki Łódzkiej, stypendysta University of Wisconsin Milwaukee (USA). Ukończył podyplomowe studia bankowości na SGH w Warszawie oraz studium z zakresu strategicznego zarządzania bankiem w INSEAD Fontainebleau (Francja). Przez 15 lat był związany z sektorem usług finansowych, następnie z sektorem energetycznym, a obecnie z doradztwem strategicznym. W 2003 roku związał się z Centrum im. Adama Smitha.

→ Dr Janusz Morawski dyrektor medyczny Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego po 38 latach pracy w tej placówce odszedł na emeryturę. Zastąpiła go dr Renata Warężak, specjalistka medycyny ratunkowej.

23 marca

→ Piotr Kurzawa z Biura Promocji, Turystyki i Współpracy z Zagranicą został nowym menedżerem ulicy Piotrkowskiej. Ulica otrzymała nowy wystrój, wiele się na niej dzieje i wymaga menedżera, który zadba o kontakty z handlowcami, instytucjami i jej mieszkańcami, aby rzeczywiście pełniła rolę wizytówki miasta.

ODESZLI:

9 marca

→ Elżbieta Kajzer – historyk sztuki, członek Stowarzyszenia Historyków Sztuki od 1967 roku, kierownik Biura Oddziału w Łodzi, organizatorka spotkań naukowych, zawodowo związana z instytucjami konserwatorskimi. Położyła wielkie zasługi dla dokumentowania i ratowania łódzkich zabytków.

14 marca

→ Marek Jakubowski – chemik, specjalista w dziedzinie zagrożeń chemicznych, prof. dr hab. w Instytucie Medycyny Pracy. Kierownik Zakładu Zagrożeń Chemicznych. Doradca Światowej Organizacji Zdrowia, członek wielu międzynarodowych towarzystw naukowych.

KWIECIEŃ 2015

1 kwietnia

→ 90. rocznicę urodzin Wojciecha Hasa Muzeum Kinematografii uczciło spotkaniem z udziałem żony reżysera Wandy oraz współpracowników i przyjaciół – Konstantego Lewkowicza i Grzegorza Małeckiego. Po spotkaniu wyświetlono film Niezwykła podróż *Baltazara Kobera*.

5 kwietnia

→ Prezydent Łodzi Hanna Zdanowska wraz z dyrektorem EC1 Błażejem Moderem pojechała do Zjednoczonych Emiratów Arabskich na największe targi nieruchomości na Bliskim Wschodzie. Prezydent przedstawiła ofertę Nowego Centrum

Łodzi i zachęciła potencjalnych inwestorów do budowania komercyjnych obiektów wokół dworca Łódź Fabryczna. W związku z tym pojawiło się duże zainteresowanie możliwościami inwestycji w tym rejonie miasta.

→ Zgodnie z wnioskami łodzian zgłoszonymi do budżetu obywatelskiego przygotowywane są projekty przebudowy ulic Piramowicza i Traugutta. Obie zamienią się w tzw. woonerfy, na wzór powstałego na ulicy 6 Sierpnia. Znajdzie się na nich miejsce na zieleń i sezonowe ogródki.

6 kwietnia

→ W łódzkim Ogrodzie Zoologicznym otwarto po remoncie budynek z akwarium, który przypomina wnętrze łodzi podwodnej. Remont przeprowadzili pracownicy działu technicznego. Remontowane są kolejne działy, m.in. motylarnia. Dzięki wymianie z polskimi i zagranicznymi ogrodami ZOO wzbogaciło się o nowe okazy egzotycznych ptaków.

→ W Bibliotece Uniwersyteckiej otwarto wystawę obrazów Piotra Staszczyka, członka Międzynarodowego Stowarzyszenia Artystów, *Sztuka bez granic*.

8 kwietnia

→ Zuzanna Radzik, autorka książki *Kościół kobiet*, teolożka zajmująca się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim, mówiła w Świetlicy Krytyki Politycznej o kobietach w Kościele katolickim i katolickim feminizmie.

9 kwietnia

→ W Filharmonii Łódzkiej odbył się koncert symfoniczny muzyki Dmitrija Szostakowicza połączony z projekcją filmu *Nowy Babilon* z 1929 roku. Film przenosi widzów w czasy zbrojnego tłumienia Komuny Paryskiej i opowiada o miłości młodej pary.

→ W archikatedrze odbył się koncert wielkanocny w wykonaniu orkiestry symfonicznej Teatru Nowego i połączonych chórów mieszanych Stowarzyszeń Śpiewaczych Canto Alegre oraz im. Stanisława Moniuszki. W repertuarze znalazły się *Requiem* Mozarta, *Mesjasz* Haendla, *Gloria* Vivaldiego oraz *Totus Tuus* M. Góreckiego.

→ Ośrodek Przeszczepów Szpiku w szpitalu im. Kopernika w Łodzi obchodził 5-lecie swojej działalności. W tym czasie dokonano w nim 250 przeszczepów. Ośrodek działa przy Klinice Hematologii Uniwersytetu Medycznego kierowanej przez prof. Tadeusza Robaka. Pod specjalistyczną opieką Kliniki znajduje się 2,8 mln mieszkańców województwa.

10 kwietnia

→ Kawalerka przy ulicy Pogonowskiego 45 to miejsce prywatnych koncertów dla niewielkiego, ale zapalonego grona słuchaczy. Łódź stała się pierwszym miastem w Polsce, które podchwyciło pomysł popularny w Londynie, Berlinie i w Pradze. Koncerty organizuje Bartek „Borówka" Borowicz, dziennikarz i wydawca muzyczny. Podczas kwietniowego koncertu w kawalerce wystąpili Peter i Jacob, laureaci programu *Must Be the Music*.

→ Urząd Miasta przygotował dziesięć działek w centrum miasta, na których mogłyby powstać piętrowe parkingi. Zgłosiły się już firmy, które mają doświadczenie w budowaniu takich obiektów. Duże zainteresowanie budzi pierwszy adres przy ulicy Nawrot 3/5. Piętrowe parkingi to szansa na odzyskanie dodatkowej powierzchni, którą można by wykorzystać na chodniki i zieleń.

→ Na zewnętrznej ścianie archikatedry w Łodzi odsłonięto spiżową płaskorzeźbę wizerunku Matki Boskiej, nawiązującą do linorytu Anny Staszewskiej. Płaskorzeźba czci ofiary Katynia oraz katastrofy w Smoleńsku.

11 kwietnia

→ Allan Starski, scenograf, laureat Oskara za scenografię do filmu *Lista Schindlera*, odsłonił na ulicy Piotrkowskiej, tuż za fortepianem Rubinsteina, swoją gwiazdę. Artysta dziękował kapitule i swojemu ojcu, scenarzyście Ludwikowi Starskiemu.

→ W Galerii Opus otwarto wystawę *Tu narodził się film*. W budynku dawnej Wytwórni Filmów Fabularnych zgromadzono zdjęcia, archiwalne filmy oraz prezentacje multimedialne przypominające twórców polskiego filmu po wojnie.

→ Na 70-lecie Teatru Powszechnego i zakończenie tegorocznego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych wystawiono *Wytwórnię piosenek* Macieja Karpińskiego i Macieja Wojtyszki w reżyserii Macieja i Adama Wojtyszków. To widowisko muzyczne o czasach stalinowskich w Polsce osnute wokół historii powstawania filmu *Zakazane piosenki*. Scenografię przygotował Allan Starski, grają i śpiewają aktorzy Teatru Powszechnego z udziałem seniorów Barbary Połomskiej i Michała Szewczyka, którzy w Teatrze Powszechnym przepracowali pół wieku. Obydwoje zostali udekorowani srebrnymi medalami Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Brązową Glorię otrzymał Mirosław Henke.

14 kwietnia

→ W Domu Literatury gościła Janina Ochojska, charyzmatyczna szefowa Polskiej

Akcji Humanitarnej. Spotkanie prowadził Marek Zając. Podczas spotkania promowano książkę J. Ochojskiej *Świat według Janki.*

15 kwietnia

→ Najstarsza zabytkowa łódzka latarnia po gruntownej renowacji wróciła na plac Piastowski. Stanowi jedyną pozostałość po targowych halach, które spłonęły podczas drugiej wojny światowej.

→ W Domu Literatury w Łodzi przedstawiono *Dziennik. Pięć zeszytów z łódzkiego getta* Dawida Sierakowiaka. Jest to jeden z najważniejszych świadectw z okresu drugiej wojny światowej w Polsce. W spotkaniu wzięli udział Kamil Turowski, tłumacz na język angielski pierwszego pełnego wydania *Dzienników*, oraz dr Mikołaj Mirowski, historyk z Muzeum Powstania Warszawskiego.

17 kwietnia

→ Renowacja łódzkich kamienic przysparza nowych problemów. Właściciele prywatnych budynków, spółdzielnie mieszkaniowe i wspólnoty mieszkańców malują zabytkowe kamienice na jaskrawe kolory, które trudno uznać za gustowne, na dodatek często zakłócają wygląd całej ulicy. Choć wszelkie zmiany powinny być konsultowane z plastykiem miasta lub z konserwatorem zabytków, nie są oni jednak w stanie upilnować wszystkich remontów. Z pomocą spieszą mieszkańcy Łodzi, którzy informują Urząd o takich oryginalnych pomysłach.

→ Przy ulicy Piotrkowskiej 115/119 powstaje pierwsza łódzka specjalistyczna księgarnia Geograf, która przygotowuje specjalną ofertę dla czytelników w różnym wieku oraz dla osób niepełnosprawnych. Księgarnia powstała dzięki Hurtowni Map sp. z o.o. i Fundacji Zero Barier.

→ W Łódzkim Domu Kultury odbyły się tradycyjnie już Dni Gór połączone z poetyckimi wędrówkami po Podhalu pod hasłem „Tatry Tetmajerowskie".

→ W kościele p.w. Świętych Archaniołów w Aleksandrowie Łódzkim można oglądać wykonaną haftem krzyżykowym replikę obrazu *Jan III Sobieski pod Wiedniem.* Praca powstała w ciągu dwóch lat, wykonało ją 50 hafciarzy z całej Polski, a dzieło sprowadziła do miasta Fundacja Partnerstwo na rzecz Aleksandrowa Łódzkiego wraz z miejscową parafią. Haftowany obraz będzie podróżował po Polsce. Planowane są także pokazy za granicą.

→ W halach Wytwórni Toya Studios przez trzy dni można było oglądać pokazy mody w ramach Festiwalu Mody, czyli Fashion Philosophy Fashion Week Po-

land. Kolekcje pokazywali polscy i zagraniczni projektanci mody z Ewą Minge i Łukaszem Jemiołem oraz Jakubem Bartnikiem na czele. Udział wzięli także projektanci mody z Ukrainy i z Portugalii.

20 kwietnia

→ 15. Festiwal Nauki Techniki i Sztuki odbywał się pod hasłem „Od Łodzi przemysłowej do Łodzi akademickiej". Program festiwalu objął ponad 500 wydarzeń, na które złożyły się wykłady, spotkania w pracowniach naukowych, warsztaty, wycieczki oraz dyskusje. Podczas otwarcia festiwalu wręczono „Łódzkie Eureki" za najciekawsze osiągnięcia naukowe w minionym roku. Imprezę inauguruje cykl „Łódź – miasto rewolucji", przygotowany przez Krytykę Polityczną oraz Koło Turystyczne XXI LO. Można było wziąć udział w warsztatach historycznych lub udać się na wirtualny spacer śladami rewolucji 1905 roku. Atrakcyjnie zapowiadały się warsztaty pod hasłem „Kuchnia międzykulturowa" oraz „Asertywności można się nauczyć". Festiwal kończył tradycyjnie piknik w Manufakturze.

21 kwietnia

→ Art Inkubator z ulicy Tymienieckiego, gdzie ma swoją siedzibę już 26 rezydentów, zdobył nagrodę w kategorii „Architektura przemysłowa i dziedzictwo techniki" w konkursie Zabytek zadbany organizowanym przez ministra kultury i generalnego konserwatora zabytków. Wyróżnienie w kategorii „Utrwalenie wartości zabytkowej pojedynczego obiektu" otrzymała willa Leopolda Kindermanna w Łodzi przy ul. Wólczańskiej 31/33, w której mieści się oddział Miejskiej Galerii Sztuki. Wyniki konkursu ogłoszono w Białymstoku podczas gali z okazji Międzynarodowego Dnia Ochrony Zabytków.

→ Kino Bałtyk, dla wielu łodzian miejsce kultowe, zostanie zamknięte we wrześniu. To koniec trwającej kilkadziesiąt lat tradycji wiążącej łódzkich kinomanów z tym kinem. Jego funkcje wraz z organizacją Forum Kina Europejskiego Cinergia przejmie kino Helios w Sukcesji przy al. Politechniki.

→ Poleski Ośrodek Sztuki zaprosił na spotkanie z Iriną Wiszniewską, autorką książki *My Żydzi z Polski*. Książka stanowi zbiór rozmów z polskim Żydami na temat zmian, jakie zaszły w ciągu ostatnich 25 lat.

22 kwietnia

→ Podwórzec (woonerf) na ulicy 6 Sierpnia, zbudowany z funduszy budżetu obywatelskiego na życzenie mieszkańców Łodzi, otrzymał główną nagrodę na Europejskim Kongresie Gospodarczym w Katowicach. Nagrodę odebrali autor wniosku Bartłomiej Derdzikowski i wiceprezydent miasta Marek Cieślak.

24 kwietnia

→ Do kin w całej Polsce wszedł film dokumentalny *Jan Karski i władcy ludzkości* Sławomira Grünberga. Film wszedł na ekrany w 101. rocznicę urodzin wielkiego łodzianina, pojawił się również w znaczącym momencie, po znamiennej wypowiedzi Jamesa szefa FBI Comeya, oskarżającej Polaków i Węgrów o udział w zbrodniach Holokaustu.

25 kwietnia

→ *Solidarni za muru* to tytuł wystawy fotografii Mariana Stefanowskiego otwartej w Domu Literatury. Wystawa oddaje atmosferę pracy w Berlinie Zachodnim Grupy Roboczej Solidarność, w skład której wchodzili: Krzysztof Kasprzyk, Barbara Nowakowska-Drozdek, Wojciech Drozdek i Marian Stefanowski. Grupa organizowała pomoc dla rodaków w kraju w latach 1982–89. Wystawy (odbyło się ich już kilka w Niemczech i w Polsce) są zgodnie z wolą autora skromnym podziękowaniem dla wszystkich ludzi dobrej woli, którzy rzyczynili się do niesienia pomocy.

25 kwietnia

→ W fabryce Grohmana, w której swoją siedzibę ma Łódzka Specjalna Strefa Ekonomiczna, zawarto porozumienie o utworzeniu Łódzkiego Klastra Edukacyjnego. Na symbolicznej tablicy złożyli swoje podpisy przedstawiciele ministerstw: gospodarki, edukacji narodowej, władz oświatowych, firm i szkół zawodowych regionu oraz władze Łodzi i województwa, a także ŁSSE. Klaster ma wspierać szkolnictwo zawodowe i pomagać w nawiązywaniu współpracy między pracodawcami a szkołami.

→ Najlepiej współpracujące już ze sobą szkoły zawodowe i zakłady pracy uhonorowano nagrodami ministra gospodarki.

29 kwietnia

→ Po raz 23. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Piłsudskiego przyznała Nagrodę Złotego Ekslibrisu. W kategorii „Najlepsza książka o Łodzi" triumfował Krzysztof Stefański za *Wielkie rody fabrykanckie Łodzi i ich rola w ukształtowaniu oblicza miasta: Geyerowie, Scheiblerowie, Poznańscy, Heinzlowie, Kindermannowie.* W kategorii „Najlepsza książka o Ziemi Łódzkiej" – Maciej Malangiewicz i Jacek Rutkowski za publikację *I wojna światowa w Łowiczu 1914-1918.* W kategorii „Najlepsze wydawnictwo albumowe o Łodzi" – Bartosz Stępień za *Łódzkie neony i zapomniane perły wzornictwa PRL-u.* W kategorii „Najlepsze wydawnictwo albumowe o Ziemi Łódzkiej" – Monika Babińska i Łukasz Politański za *Bełchatów – opowieść o dwóch miastach. Cz. 1.* Biblioteczne jury przyznało także Superekslibrisy. Otrzymali je: Włodzimierz Małek – za całokształt do-

tychczasowych osiągnięć w zakresie publikacji o Łodzi oraz Piotr Wypych – za całokształt dotychczasowych osiągnięć w zakresie publikacji o Ziemi Łódzkiej.

→ Magdalena Moskwa otrzymała nagrodę TVP Kultury. Artystka, absolwentka ludzkiej ASP, została uznana za jedną z najbardziej oryginalnych twórczyń-badaczek. Doceniono jej wyrazisty styl i bogactwo warsztatu.

→ Nagrodzono też Zbigniewa Maciasa, dyrektora artystycznego Teatru Muzycznego w Łodzi, który otrzymał Teatralną Nagrodę Muzyczną im. Jana Kiepury w kategorii „Najlepszy reżyser" za inscenizację rock opery *Jesus Christ Superstar* Andrew Lloyda Webbera. Nagrody im. Jana Kiepury, honorujące wybitnych śpiewaków, dyrygentów i realizatorów, przyznawane są od ośmiu lat. Organizatorem konkursu jest Mazowiecki Teatr Muzyczny noszący imię słynnego polskiego śpiewaka.

PERSONALIA:

1 kwietnia

→ Krzysztof Jurek, dyrektor Gimnazjum nr 43 im. Karla Dedeciusa, został nowym dyrektorem Wydziału Edukacji Urzędu Miasta. K. Jurek jest związany z oświatą od kilkunastu lat, będą mu podlegały wszystkie placówki oświatowe: przedszkola, szkoły podstawowe, gimnazja i szkoły ponadgimnazjalne.

11 kwietnia

→ Ks. Marek Marczak został wyświęcony na biskupa pomocniczego Archidiecezji Łódzkiej. Biskup ma 46 lat i jest najmłodszym biskupem w Episkopacie Polski. Pochodzi z Piotrkowa Trybunalskiego, studiował na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, jest doktorem teologii. W 2013 roku został rektorem Seminarium Duchownego w Łodzi. Zna języki włoski i niemiecki, lubi jeździć na rowerze, pasjonuje się piłką nożną.

ODESZLI:

20 kwietnia

→ Maria Łączyńska-Abramowiczowa – długoletnia kierowniczka Biblioteki w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi, sekretarz redakcji serii archeologicznej „Prac i Materiałów Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego", dawna pracownica Kierownictwa Badań nad Początkami Państwa Polskiego, tłumaczka prac archeologicznych na język angielski.

MAJ 2015

3 maja

→ Z okazji święta 3 maja Prezydent Bronisław Komorowski odznaczył wysokimi odznaczeniami państwowymi grono naukowców, twórców i działaczy społecznych. Wśród nich znaleźli się łodzianie. Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski otrzymała prof. dr hab. Biruta Lewaszkiewicz-Petrykowska, em. prof. prawa Uniwersytetu Łódzkiego, b. sędzia Trybunału Konstytucyjnego, legendarna opiekunka studentów podczas strajku na Wydziale Prawa w stanie wojennym. Krzyże Oficerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymali prof. dr hab. Anna Fornalczyk – ekonomistka, prof. UŁ, pierwszy prezes Urzędu Antymonopolowego i prof. dr hab. Witold Kulesza, profesor prawa karnego, w latach 2000-2006 dyrektor Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, współautor ustawy o IPN. Wprowadził do polskiego prawa pojęcia „kłamstwa oświęcimskiego" oraz „kłamstwa katyńskiego".

→ Ks. Waldemar Sondka, animator Europejskiego Centrum Kultury „Logos", otworzył wystawę malarstwa Małgorzaty Antoszewskiej-Monety pt. *Wojna błękitu z czerwienią*. Autorka, absolwentka ASP w Łodzi i fizyki na UŁ, jest cenioną malarką. Miała ponad 20 wystaw indywidualnych i pokazów multimedialnych. Uczestniczyła w wielu wystawach i projektach za granicą, przebywając na stypendiach twórczych m.in. w Japonii, USA, Szwecji, Niemczech.

4 maja

→ W szkołach licealnych rozpoczęły się matury. W Łodzi do egzaminów w nowej formule przystąpiło cztery tys. uczniów, a w całym województwie 12,5 tys. Większość zdających twierdziła, że tematy nie były trudne.

6 maja

→ Z zamieszkałego przez 92-letnią kobietę domu na Julianowie skradziono dwa cenne obrazy: autoportret Teodora Axentowicza z żoną oraz *Portret rybaka* nieznanego autora. Z mieszkania zginęła także biżuteria. Złodzieje, kobieta i mężczyzna, podawali się za urzędników. Policja pokazała rysopisy złodziei i zbiera wszelkie informacje, które pomogą schwytać przestępców.

7 maja

→ W Strykowie międzynarodowa firma farmaceutyczna Sandoz otworzyła centrum pakowania lekarstw i magazyn wysokiego składowania. W strykowskiej firmie pracuje już 450 osób, w tym 90 w centrum pakowania. Koncern wybral to miejsce ze względu na centralne położenie, dostępną w Łodzi wykwalifikowaną kadrę i niskie koszty produkcji.

8 maja

→ Po konsultacjach z mieszkańcami Łodzi władze miasta zrezygnowały z budowy wiaduktu nad „skrzyżowaniem marszałków". Przeciwko budowie była także część architektów i konserwatorów zabytków. Przed władzami miasta staje problem innego rozwiązania dla zapewnienia sprawnej komunikacji przez to ruchliwe skrzyżowanie.

9 maja

→ W Manufakturze inicjatorzy zmian w ustawie o systemie oświaty i finansowaniu lekcji religii zbierali podpisy pod projektem nowelizacji. Podpisy będą zbierane w całym kraju. Z propozycją zmian wystąpił łodzianin Leszek Jażdżewski, redaktor naczelny pisma „Liberte".

10 maja

→ Tegoroczny Rubinstein Piano Festival organizowany przez Międzynarodową Fundację im. Artura Rubinsteina zainaugurował galowy koncert w Filharmonii Łódzkiej w wykonaniu Polskiej Orkiestry Radiowej z Warszawy. Solistą był Roman Rabinowicz (fortepian) z USA. Dyrygował Marcin Nałęcz-Niesiołowski. Program koncertu obejmował *Uwerturę Es-dur na orkiestrę symfoniczną* Ignacego Jana Paderewskiego, *III Koncert fortepianowy d-moll, op. 30* Sergieja Rachmaninowa oraz *IV Symfonię f-moll, op. 36* Piotra Czajkowskiego. W programie festiwalu znalazły się wystawy fotografii córki artysty Ewy oraz rzeźb przedstawiających pianistę. Odbyła się sesja popularnonaukowa *Wybitni polscy artyści muzycy, a polityka – XX wiek*, której towarzyszyła wystawa o powstaniu ONZ i koncercie Artura Rubinsteina w San Francisco w 1945 roku.

→ Koncerty odbyły się także w Częstochowie, Wieluniu i Rawie Mazowieckiej. Honorowy patronat na festiwalem sprawował prezydent RP Bronisław Komorowski wraz z małżonką.

11 maja

→ 33. Festiwal Szkół Teatralnych był bardzo udany dla łódzkiej Szkoły Filmowej. Grand Prix za wybitną osobowość sceniczną w wysokości 15 tys. zł, ufundowanych przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego, otrzymała Barbara Wypych z tej uczelni za rolę Withy w spektaklu *Kamień*. Młoda aktorka zdobyła również nagrodę publiczności dla Najbardziej Elektryzującej Aktorki w wysokości 3 tys. zł oraz nagrodę łódzkich dziennikarzy dla największej indywidualności festiwalu w wysokości jednego tys. zł. Nagrodę publiczności dla Najbardziej Elektryzującego Aktora (3 tys. zł) dostał Sebastian Jasnoch również z PWSFTviT w Łodzi. Nagrodę w wysokości 1,5 tys. zł za wrażenia audialne ufundowaną przez Grupę

Toya odebrał zespół aktorski spektaklu *Jungle People* z łódzkiej uczelni. Konkursowe przedstawienia oceniało jury pod przewodnictwem Piotra Dzięcioła. Przyznano także wyróżnienia i dyplomy absolwentom szkół w Krakowie, Warszawie i we Wrocławiu.

13 maja

→ Po raz pierwszy w nowej kadencji obradowała Rada Seniorów. Wybrano do niej 15 przedstawicieli z różnych środowisk. Przewodniczącą prezydium Rady została Janina Tropisz z Klubu Seniora Konstytucyjna, a jej zastępcami: Krystyna Jakubowska z Ligi Kobiet Polskich i Stanisław Średziński z Fundacji „Kamena Łódź". Sekretarzem został Zdzisław Werner ze Stowarzyszenie Rozsądnych Polaków. Prezydent Hanna Zdanowska podkreśliła, iż będzie korzystać z opinii Rady w sprawach związanych z problemami osób starszych.

→ Ponad trzy miliony złotych z puli Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego otrzymał Instytut Centrum Zdrowia Matki Polki. Dotacja zostanie przeznaczona na uruchomienie trzech nowych pracowni oraz zakup sprzętu. Rozwój działalności naukowej Centrum leży w programie odbudowy zadłużonej na 280 milionów zł placówki.

→ W hali Expo otwarto III Targi Logistyki i Służb, podczas których prezentowano towary, sprzęt, nowe technologie oraz projekty mundurów opracowane przez studentkę z ASP, a na dodatek liofilizowane potrawy przydatne dla wojska i uczestników wypraw wysokogórskich i morskich.

14 maja

→ W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto wystawę Drugiego Niezależnego Salonu Łódzkich Młodych Twórców. Wystawiono 200 dzieł, głównie obrazów, a także tkaniny i rzeźby.

15 maja

→ Podczas uroczystej sesji Rady Miejskiej w Łodzi wręczono nagrody i odznaczenia zasłużonym łodzianom. Laureatami Nagrody Miasta Łodzi zostali: Genowefa Adamczewska – współzałożycielka i przewodnicząca Stowarzyszenia Komitet Dziecka, siostra Barbara Chowaniec – salezjanka, pracownica socjalna Ochronki Bałuckiej, Maria Gajek – założycielka i kierowniczka Specjalistycznego Ośrodka Wsparcia dla Ofiar Przemocy w Rodzinie, ks. Michał Makula – proboszcz ewangelicko-augsburskiej parafii św. Mateusza, sekretarz w Zarządzie Regionu Łódzkiego Polskiej Rady Ekumenicznej, dr Dorota Puchowicz – pracownik naukowy Instytutu Włókiennictwa, prezes Stowarzyszenia Mocni w Duchu, działającego na rzecz najuboższych dzieci. Odznaki „Za Zasługi dla Miasta Łodzi" otrzymali: Kazimierz

Arendt, Barbara Barańska, Zdzisława Bloch, Leokadia Kabzińska, Małgorzata Kowalska, Kazimiera Lange, Lucyna Lewandowska, Wiesław Lewandowski, Longin Małecki, Jerzy Niewiadomski, Saturnina Pawłowska, Henryk Siemiński, Barbara Sokołowska-Urbańczyk, Janina Suska-Janakowska, Maciej Świerkocki oraz Stowarzyszenie Rodzina Katyńska w Łodzi.

→ Na Małej Sali Teatru Nowego odbyła się premiera sztuki Romana Sikory *Spowiedź masochisty* w tłumaczeniu z czeskiego Elżbiety Zimnej i Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk. Spektakl reżyserował Greg Schwalbe. Scenografia i kostiumy Zuzanny Markiewicz, muzyka Adama Mortasa. Ruch sceniczny Tomasza Dajewskiego. Śmieszną, przewrotną opowieść czeskiego autora o współczesnych czasach publiczność nagradzała raz po raz brawami i znakomicie się bawiła. W przedstawieniu wystąpili: Barbara Dembińska, Magdalena Kaszewska, Wojciech Bartoszek, Michał Kruk, Konrad Michalak i Adam Mortas.

16 maja

→ W pasażu Schillera rozpoczęły się Łódzkie Senioralia. Prezydent Hanna Zdanowska przekazała seniorom klucze do bram miasta i zaprosiła do udziału w imprezach i spotkaniach organizowanych podczas Seniorali trwających od 16 do 24 maja. Program obejmował imprezy artystyczne, turystyczne i handlowe.

→ Podczas tegorocznej Nocy Muzeów łodzianie otrzymali wyjątkowo bogatą ofertę. Swoje zbiory udostępniło przeszło 50 placówek. Po raz pierwszy zaprosiły łodzian galerie, teatry, kina, a nawet restauracje. Zwiedzanie rozpoczęło się o 18:00, zakończyło po północy. Jednym słowem, była to noc pełna kulturalnych niespodzianek.

18 maja

→ Izabella Cywińska, reżyserka, dyrektorka teatrów, minister kultury w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, promowała swoją autobiograficzną książkę *Dziewczyna z Kamienia* w Poleskim Ośrodku Sztuki.

20 maja

→ Radni zadecydowali o likwidacji Zespołu Opieki Zdrowotnej dla Szkół Wyższych „PaLMA". Znana od kilkudziesięciu lat pracownikom i studentom placówka medyczna jest zadłużona i ma kłopoty z wypłatami pensji pracownikom. Obecnie „PaLMĄ" będzie zarządzało Centrum Medyczne im. Rydygiera.

→ W Muzeum Miasta Łodzi otwarto wystawę pt. *Karl Dedecius. Literatura–Dialog–Europa.* Wystawa pokazuje kulisy pracy wielkiego tłumacza polskiej literatury.

24 maja

→ 70 lat temu dekret Krajowej Rady powołał do życia Uniwersytet i Politechnikę Łódzką. Powstałe w trudnych powojennych warunkach uczelnie wykształciły w ciągu minionych lat tysiące absolwentów, stworzyły własne szkoły naukowe, wypracowały swoją pozycję na mapie naukowej w Polsce. Obchody 70-lecia zapoczątkowała 21 maja uroczysta msza święta w bazylice archikatedralnej św. Stanisława Kostki w intencji Łodzi Akademickiej oraz Koncert Symfoniczny *Sounds from Vienna* w Filharmonii Łódzkiej.

→ Ważnym akcentem jubileuszu Łodzi Akademickiej było posiedzenie Zgromadzenia Generalnego Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Podczas uroczystego posiedzenia senatu PŁ tytuł doktora honoris causa tej uczelni otrzymał prof. Arieh Warshel, laureat nagrody Nobla w dziedzinie chemii w 2013 roku, Uniwersytet Łódzki nadał zaś ten zaszczytny tytuł profesorowi Umberto Eco, światowej sławy semiologowi, filozofowi, mediewiście i pisarzowi.

→ Z okazji 70. rocznicy powstania Uniwersytetu Łódzkiego podczas uroczystego posiedzenia Senatu uczelni wręczone zostały podznaczenia państwowe, którymi w imieniu prezydenta RP udekorowała pracowników uczelni wojewoda łódzki Jolanta Chełmińska. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał prof. dr hab. Ryszard Piasecki, Złoty Krzyż Zasługi – prof. nadzw. dr hab. Mariusz Plich, Srebrny Krzyż Zasługi – prof. nadzw. dr hab. Wojciech Nowak. Złote Medale za Długoletnią Służbę otrzymało 57 osób, srebrne – 38 osób, a brązowe – 64 osoby.

→ Medale Universitas Lodziensis Merentibus (Za szczególne Zasługi dla UŁ) otrzymali: prof. dr hab. Władysław Milo, prof. dr hab. Eliza Małek, prof. dr hab. Bronisława Kopczyńska-Jaworska oraz dr hab. Michał Majewski. Medale Universitatis Lodziensis Amico (Przyjaciel UŁ) otrzymali: prof. Peter Schreiner i prof. Sascha Feucher z Uniwersytetu im. Justusa Liebiga w Giessen (Niemcy) prof. Krzysztof Kurdyka z Universite de Savoie (Francja) oraz prof. Charles Olson z Uniwersytetu Maryland (USA). Nagrody naukowe Fundacji UŁ otrzymali: mgr Katarzyna Zawadzka, dr Michał Bijak, mgr Artur Modliński, dr Grażyna Wieteska, mgr Mariola Brycht, dr Julian Sitarek, mgr Przemysław Szews i dr Bartosz Kaczorowski.

25 maja

→ Tegoroczny IV Festiwal Łódź Miastem Kobiet przebiegał pod hasłem „Kobiety świata i okolic". W siedzibie Akademickiego Ośrodka Inicjatyw Kulturalnych do 3 czerwca można było obejrzeć spektakle teatralne, uczestniczyć w warsztatach i spotkać się z kobietami, które dzieliły się swymi doświadczeniami życiowymi.

26 maja

→ Przez rok gromadzono pamiątki i wspomnienia przybliżające przeszłość dawnego Monopolu Wódczanego w Łodzi. W otwartym konkursie jury pod przewodnictwem Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków Wojciecha Szygendowskiego nagrodziło autorów najciekawszych wspomnień oraz osoby zaangażowane w zbieranie pamiątek. Laureatami zostali: Zenon Jakubczyk, Andrzej Jędrzejczak, Marianna i Marian Kołodziejczykowie, Maria Rychter.

→ Spektakle plenerowe, koncerty, akcje w przestrzeni miejskiej, warsztaty i wystawa znalazły się w programie czerwcowych obchodów jubileuszu 70-lecia istnienia Teatru Pinokio w Łodzi. Pod koniec maja odbyła się też premiera nowego spektaklu *Gdzie jest Lailonia?*

27 maja

→ Z okazji 25-lecia samorządu na uroczystej sesji Rady Miejskiej spotkali się radni wszystkich kadencji od 1990 roku oraz byli prezydenci Łodzi. Sesja była okazją do wspomnień i podsumowania dorobku ćwierćwiecza. Jedynym radnym, który nieprzerwanie zasiada w samorządzie od 1990 roku jest już tylko Władysław Skwarka. W budynku Rady odsłonięto portret Andrzeja Ostoja-Owsianego, pierwszego przewodniczącego Rady. Wcześniej przedstawiciele samorządu złożyli kwiaty na grobie tragicznie zmarłego prezydenta Grzegorza Palki oraz Andrzeja Ostoja-Owsianego.

28 maja

→ Motywem przewodnim tegorocznego Fotofestiwalu była podróż. Uczestnicy starali się przekazać zależności między podróżowaniem a fotografią. Do konkursu stanęło 600 autorów z całego świata. Grand Prix zdobył Patrick Willocq z Francji za zdjęcia ilustrujące zwyczaje plemienia Ekonda z Konga. Zdjęcia 10 finalistów pokazano na wystawie w Art Inkubatorze. Zainteresowanie budziła także wystawa *Niedecydujący moment* w OFF Piotrowska, pokazująca fotografie Krzysztofa Millera. Funkcję dyrektora artystycznego pełni od tego roku Alison Nordström.

→ W 1823 roku po raz pierwszy na tabliczce z nazwą ulicy pojawiła się nazwa „Piotrkowska". Ulica skończyła więc 192 lata. Z tej okazji przy budynku nr 1 na ulicy postawiono symboliczny obelisk z apelem do łodzian, aby kontynuowali tę tradycję. Od 25 lat działa w mieście Fundacja Ulicy Piotrkowskiej, która ma na celu ochronę historycznych funkcji ulicy oraz dba o jej przyszłość. Jak co roku w końcu maja Piotrkowska obchodziła swoje święto, podczas którego proponowano łodzianom wiele atrakcji.

→ Na ulicy Piotrkowskiej przybyła nowa gwiazda, po raz pierwszy dedykowana nie jednej osobie, ale grupie artystów. Na gwieździe wyryto napis: „Twórcom filmu *Ida*, Oskar 2014".

→ W kościele Ewangelicko-Reformowanym zorganizowano konferencję naukową poświęconą Pawłowi Hulce-Laskowskiemu, działaczowi społecznemu, pisarzowi i tłumaczowi znanemu m.in. z przekładu na język polski *Przygód dobrego wojaka Szwejka.*

30 maja

→ V Ogólnopolski Festiwal Piosenki Rosyjskiej dla uczniów szkół gimnazjalnych zgromadził 200 uczestników z 65 szkół. Młodzież wystąpiła w bogatym repertuarze, śpiewała zarówno klasyczne utwory, jak i rockowe aranżacje. Festiwal nawiązuje do wielokulturowych tradycji Łodzi.

→ Ambasador Armenii Edgar Ghazaryan złożył władzom miasta kurtuazyjną wizytę, podczas której informował o możliwościach współpracy.

31 maja

→ W organizowanej po raz pierwszy Nocy Bibliotek uczestniczyło sześć bibliotek w Łodzi. Do Miejskiej Biblioteki Publicznej im. A. Struga, która organizowała imprezę dla dzieci, zgłosiło się tak wielu chętnych, że musiano ogłosić zapisy. Szukanie skarbów, rozmowy z duchem Tuwima i czytanie książek trwało aż do północy.

ODESZLI:

9 maja

→ Janusz Kaniewski – łodzianin, wybitny polski projektant, absolwent Wydziału Projektowania Środków Transportu w Istituto Europeo di Design w Turynie, autor projektów karoserii samochodów dla Ferrari i Fiata. W Polsce projektował stacje benzynowe oraz logo takich firm, jak Monopolis, Paradyż i wielu innych. Współpracował z ASP w Łodzi.

12 maja

→ Grażyna Grzesiak-Janas – prof. dr hab. nauk med., stomatolog, kierownik Zakładu Chirurgii Stomatologicznej Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, prodziekan ds. dydaktycznych Oddziału Stomatologicznego tej uczelni, wychowawca wielu pokoleń studentów.

16 maja

→ Jan Woskowski – doc. dr socjolog, emerytowany nauczyciel akademicki w Instytucie Socjologii, b. prodziekan, w latach 1970–76 zastępca dyrektora Instytutu Socjologii. Ceniony wychowawca młodzieży.

20 maja

→ Jadwiga Staff-Mackiewicz – dr nauk med., lekarz, społecznik, zasłużona organizatorka służby zdrowia.

CZEWIEC 2015

1 czerwca

→ Władze Łodzi i regionu wysłały list do władz Mielca i Świdnika, w którym argumentują, iż kontrakt z koncernem Airbus należy się Łodzi także z przyczyn historycznych. W początkach transformacji ustrojowej łódzkie włókniarki musiały same zmierzyć się z załamaniem branży tekstylnej. Airbus od lat współpracuje z Politechniką Łódzką, posiada w mieście biura projektowe i jest najważniejszą inwestycją ekonomiczną. Autorzy listu Hanna Zdanowska i Witold Stępień zaprosili do Łodzi prezydenta Mielca i burmistrza Świdnika.

→ Stowarzyszenie Komitet Dziecka wraz z kuratorium Oświaty i łódzkimi szkołami zorganizował po raz 36. Spotkanie Pokoleń, które odbywa się zawsze pod Pomnikiem Pękniętego Serca – dzieła artystki rzeźbiarki Jadwigi Janus. Uczestniczyło w nich już tylko czworo byłych więźniów hitlerowskiego obozu dla dzieci przy ul. Przemysłowej. Poruszające historie tamtych lat przypomniała młodzież z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 5.

→ W trwających przez trzy tygodnie Łódzkich Spotkaniach Baletowych, najstarszym łódzkim festiwalu kulturalnym, ważnym wydarzeniem artystycznym była premiera baletu *Chopin wymarzony* Giorgia Madii w wykonaniu Phoenix Ballet z USA. Zespołem kieruje Sławomir Woźniak, b. solista Teatru Wielkiego.

3 czerwca

→ Studentki łódzkiej ASP wygrały konkurs na projekty nadruków koszulek bawełnianych ogłoszony przez sieć Biedronka. Koszulki z nadrukami zaprojektowane przez Martę Szatan, Ewelinę Jastrzębską, Maję Bączyńska i Sandrę Płokarz sprzedawane są w sklepach w całym kraju. Dyskont po raz trzeci ogłosił konkurs pod hasłem „Młodzi projektanci dla Biedronki".

4 czerwca

→ Z okazji Święta Wolności prezydent Bronisław Komorowski odznaczył osoby wyjątkowo zasłużone dla wolnej Polski. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymała m.in. prezydent Łodzi Hanna Zdanowska za wybitne osiągnięcia w pracy samorządowej i zasługi w działalności na rzecz społeczności lokalnej.

5 czerwca

→ Paulina Królikowska, doktorantka na studiach wydziałowych Uniwersytetu Łódzkiego, i Daniel Baum, absolwent malarstwa ASP, opracowali pierwszy na świecie komiks pisany alfabetem Braille'a. *Gdy rozum śpi* opowiada historię życia Stanisława Grzesiuka, barda Warszawy. Do komiksu będzie dołączona płyta z dźwiękowym opisem ilustracji, co powoli niewidomym czytelnikom na podobne wrażenia jak osobom widzącym.

6 czerwca

→ Do Łodzi przyjechała 100-osobowa delegacja chińskich przedsiębiorców zainteresowanych współpracą z miastem i z województwem. Goście reprezentują 14-milionową aglomerację Chengdu i są szczególnie zainteresowani współpracą w dziedzinie biologii, informatyki, ochrony środowiska oraz odnawialnych źródeł energii. Podczas konferencji w siedzibie Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej omawiano także problemy związane z połączeniami kolejowymi między Łodzią a Chengdu.

→ Cudzoziemcy mieszkający w Lodzi zorganizowali Międzynarodowy Festiwal Łódź Kultur, podczas którego starali się poznać i pokazać charakterystyczne cechy ich kultur narodowych.

7 czerwca

→ W swoje 70. urodziny Teatr Lalek Pinokio zaprosił dzieci na spektakl o Pipi Pończoszarce do namiotu cyrkowego w Ogrodzie Botanicznym. Oferował także warsztaty teatralne, cyrkowe i muzyczne. Teatr przygotował cykl spotkań i przedstawień dla dorosłych w ramach akcji Dotknij Teatru.

→ Teatr Chorea oferuje imprezy dla dzieci nie tylko w Dniu Dziecka. Podczas weekendu w Fabryce Sztuki zaprosił najmłodszych i nieco starszych na Baby Disco. Przygotowuje także płytę z nagraniami utworów dla dzieci.

10 czerwca

→ Prezydent Hanna Zdanowska uzyskała absolutorium za wykonanie budżetu w 2014 roku. Był to rok kolejnych ważnych dla miasta inwestycji. Oddano do użytku

ArtInkubator, EC1, Trasę Górną, ulicę Inflancką oraz zakończono kompleksowy remont ulicy Piotrkowskiej. Za udzieleniem absolutorium głosowali radni z klubów PO i SLD, przeciwko byli radni z PiS.

→ Łódzka Kolej Aglomeracyjna uruchomiła nowe połączenia z Łodzi do Kutna. W planach są dalsze połączenia do Piotrkowa, Radomska i Opoczna. Pasażerowie chwalą komfort jazdy, ceny biletów i szybkość jazdy kolei.

→ Cztery tony miedzianych grosików zebrali uczniowie z 57 łódzkich szkól i maluchy z 16 przedszkoli. Rekordzistami zostali Kuba i Natalka ze Szkoły Podstawowej nr 184, którzy przynieśli aż 100 kg monet. Uzbierane pieniądze zostaną przeznaczone na kolonie dla dzieci z ubogich rodzin.

→ Pracownicy Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 1 w Łodzi przeszli ulicą Piotrkowską w marszu popierającym Ministerstwo Obrony Narodowej w wyborze miejsca montażu śmigłowców Caracal. Śmigłowce byłyby produkowane w Łodzi, co oznacza kilkaset nowych miejsc pracy. Niestety przeciw tej decyzji wystąpiły zakłady lotnicze w Świdniku i w Mielcu. Do marszu dołączyli prezydent Hanna Zdanowska, marszałek województwa Witold Stępień i przewodniczący Rady Miejskiej Tomasz Kacprzyk. Manifestujący przekazali na ręce wojewody list otwarty do premier Kopacz z prośbą o poparcie.

12 czerwca

→ Na światowej wystawie EXPO 2015 podczas Tygodnia Województwa Łódzkiego przedstawiano zwiedzającym atrakcje turystyczne regionu, miejscowy folklor oraz molekularną i regionalną kuchnię. Wieczorami odbywały się pokazy mody. Obecni byli producenci żywności, którzy przywieźli na EXPO truskawki, soki, chrzan i cydr.

→ Studenci Politechniki Łódzkiej zakończyli budowę pojazdu zasilanego energią słoneczną. Weźmie on udział w wyścigu World Solar Challenge w Australii w październiku br. Pojazd przejedzie trzy tysiące kilometrów. Partnerem konstruktorów została firma Brigdestone – tytularny sponsor wyścigu.

13 czerwca

→ Na zjazd absolwentów Akademii Sztuk Pięknych przyjechali absolwenci z całego świata. Okazją do spotkania stała się 70. rocznica powstania uczelni. Były spotkania, wspomnienia oraz pokaz mody. Gościem specjalnym był też prof. Stanisław Fijałkowski, student i asystent Władysława Strzemińskiego, wybitny artysta malarz.

→ Na łódzkich uczelniach przybywa nowych kierunków studiów podyplomowych. Na Uniwersytecie Łódzkim będzie można podnieść kwalifikacje m.in. na kierunku Jakość i bezpieczeństwo produktów kosmetycznych oraz Neurologopedia, na Politechnice Łódzkiej owe kierunki to Opakowania: projektowanie, technologia, zarządzanie oraz Cukrownictwo. Uniwersytet Medyczny oferuje studia podyplomowe m.in. na kierunku Cukrzyca i związane z nią choroby przewlekle u dzieci i młodzieży.

15 czerwca

→ 1000 wydarzeń dla dzieci i dorosłych mieszkańców Łodzi przygotował na lato Urząd Miasta. 90% z nich jest bezpłatnych. Obejmują zarówno półkolonie i zajęcia sportowe dla dzieci, które zostają w Łodzi, jak i wiele imprez dla dorosłych, w tym seniorów, o charakterze kulturalnym i sportowym.

18 czerwca

→ Na budynku kamienicy przy placu Wolności 2 odsłonięta została pamiątkowa tablica poświęcona Zofii Hertz. Najbliższa współpracownica Jerzego Giedroycia, redaktorka paryskiej „Kultury" i opiekunka archiwum Instytutu Literackiego przed wojną mieszkała i pracowała Łodzi i tu została pierwszą kobietą notariuszem w Polsce. Kancelaria notarialna mieściła się przy placu Wolności. Projekt plastyczny tablicy wykonał znany rzeźbiarz prof. Kazimierz Karpiński. Tablica powstała z inspiracji „Kroniki miasta Łodzi" według pomysłu jej redaktora Marcina Kieruzela, a została zrealizowana dzięki sponsoringowi Izby Notarialnej w Łodzi oraz pomocy Muzeum Historii Polski w Warszawie i Domu Literatury w Łodzi. Z tej okazji zorganizowano okolicznościową wystawę pt. *Zofia Hertz. Z Łodzi do Maisons-Laffitte.*

→ Koncert pieśni żydowskich z różnych krajów Europy i Bliskiego Wschodu w wykonaniu Kayah w Manufakturze rozpoczął w Łodzi Festiwal Czterech Kultur. Na tegoroczny festiwal przygotowano koncerty w ogrodach Pałacu Poznańskiego oraz wiele imprez, które odbywały się na terenie starych łódzkich podwórek. Występowała m.in. Ewa Błaszczyk z córką Marianną i Piotr Lempa.

19 czerwca

→ Dwie nowe inwestycje przybędą w Łódzkiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej. Spółka Ambro Logistics organizująca transport drogowy dla firm dostarczających produkty do odbiorców z Polski i zagranicy, głównie z branży meblarskiej, wybuduje wielki magazyn o pow. 4500 m^2. Z kolei produkująca elementy z tworzyw sztucznych, części elektroniczne i motoryzacyjne oraz dla kolejnictwa firma Wirthwein zainwestuje 16 mln zł i zatrudni 300 pracowników.

→ W Teatrze Nowym odbyła się premiera *Vatzlava* Sławomira Mrożka w reżyserii i scenografii Michała Kmiecika. Grają Malwina Irek, Wojciech Bartoszek, Bartosz Turzyński.

20 czerwca

→ Podwójny jubileusz 35-lecia święceń biskupich oraz 80-lecia urodzin obchodził abp. senior Władysław Ziółek, który osobiście celebrował mszę świętą w archikatedrze łódzkiej.

→ Historyk sztuki dr Antoni Szram został uhonorowany uroczystym benefisem zorganizowanym przez Fundację Ulicy Piotrkowskiej i Muzeum Miasta Łodzi. Laudacje wygłosili dyrektor muzeum Małgorzata Laurentowicz-Granas i Architekt Miasta prof. Marek Janiak. Przypomnieli wyjątkowe zasługi A. Szrama dla Łodzi, jej kultury i tożsamości. A. Szram jest twórcą pojęcia zabytkowej Łodzi i autorem pierwszego rejestru chronionych dóbr architektury. Stworzył także dwa łódzkie muzea: Historii Miasta Łodzi w 1975 roku i Kinematografii w 1986 roku. Opracowany przez niego program tych placówek jest nadal realizowany. Z tej okazji Fundacja Ulicy Piotrkowskiej przyznała dr. Szramowi jako pierwszej osobie w Łodzi ustanowioną w tym roku Nagrodę Anioła. Jest nią pamiątkowa rzeźba autorstwa Zofii Władyki.

21 czerwca

→ Z okazji 45-lecia Zespołu Pieśni i Tańca „Anilana" w Teatrze Muzycznym zorganizowano uroczysty koncert dedykowany zmarłemu przed rokiem założycielowi i choreografowi Zespołu Leszkowi Woszczyńskiemu.

24 czerwca

→ W Łódzkim Domu Kultury odbyła się ogólnopolska konferencja dziennikarska pod hasłem *Wyoutsorsingowani, czyli polityka pracownicza w TVP*, podczas której dyskutowano o niepokojących zjawiskach we wszystkich polskich mediach, a zwłaszcza w mediach publicznych. W panelu uczestniczyli: Jolanta Hajdasz – członek ZG SDP, Wiktor Świetlik – dyrektor CMWP, a ze strony gospodarzy dr Rafał Kasprzyk– adwokat cywilista, specjalista prawa pracy oraz Zbigniew Natkański – prezes O/Ł SDP w Łodzi.

25 czerwca

→ Specjalistyczny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy przy ulicy Dziewanny 25 dla uczniów słabowidzących był miejscem zakończenia roku szkolnego. W uroczystości uczestniczyła prezydent Hanna Zdanowska oraz władze oświatowe. W ośrodku mieszczą się różne placówki, od przedszkola poczynając, a na szkole policealnej kończąc. Placówka przychodzi także z pomocą słabowidzącym dorosłym.

→ Ryszard Klimczak, pisarz, poeta, fraszkopis, dziennikarz, obchodził 90. rocznicę urodzin. Z tej okazji w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej odbyło się uroczyste spotkanie z jubilatem. R. Klimczak dzielił się swymi wspomnieniami z czasów konspiracji i walk partyzanckich w oddziałach AK, mówił o swych początkach pracy w dziennikarstwie, czytał wiersze i fragmenty prozy. Pisarz jest autorem czterech powieści oraz kilkunastu tomów opowiadań, wierszy i aforyzmów. Od 1948 do 1980 roku jako dziennikarz był redaktorem naczelnym dwutygodnika „Nasze życie", którego wydawcą był Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Włókienniczego. Został odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych oraz Krzyżami Oficerskim i Komandorskim Odrodzenia Polski.

→ W EC1 odbyła się dyskusja zorganizowana przez „Gazetę Wyborczą" w ramach Pracowni Miast. Była to doskonała okazja do wymiany poglądów na tematy miejskie między przedstawicielami Urzędu Miasta a mieszkańcami. W dyskusji wzięła udział prezydent Hanna Zdanowska. Łodzianie najczęściej skarżyli się, że ich głos słuchany jest tylko pozornie.

27 czerwca

→ Szóste urodziny obchodziła Atlas Arena. W tym czasie odbyło się w niej około 300 imprez, zarówno sportowych, ze światowymi mistrzostwami w siatkówce na czele, jak i muzycznych, m.in. jedyne w Polsce koncerty Leonarda Cohena, Shakiry, Lenny'ego Kravitza i innych gwiazd o światowej renomie. Imprezy obejrzało 2,6 miliona widzów.

→ W Łodzi kręcono zdjęcia do serialu poświęconego Eugeniuszowi Bodo, najlepszemu polskiemu aktorowi przedwojennego kina i gwieździe kabaretów. Młodego amanta gra Antoni Królikowski, dojrzałego aktora – łódzki aktor Tomasz Schuchardt. Z przedwojenną Łodzią związany był sam aktor oraz jego ojciec Teodor Junod, który w budynku przy Piotrkowskiej 17 prowadził kinoteatr Urania.

29 czerwca

→ Po raz piąty Młodzieżowa Rada Miejska zorganizowała konkurs wiedzy o samorządzie terytorialnym. Wielki finał odbył się w Dużej Sali Obrad Urzędu Miasta. I miejsce zajęła Paulina Przytulska z Publicznego Gimnazjum nr 8, II miejsce – Peter Kozicki z Gimnazjum Salezjańskiego, III – Kaja Klencka z Państwowego Gimnazjum nr 15.

→ Na III Regionalne Forum Polsko-Chińskie przybyło do Łodzi ponad 500 osób, przedsiębiorców i przedstawicieli władz samorządowych. Obecny był minister spraw zagranicznych Grzegorz Schetyna. Uczestnicy wymienili się partnerskimi

informacjami i podpisali umowy o współpracy. M.in. wiceminister nauki prof. Daria Lipińska-Nałęcz podpisała porozumienie między uniwersytetami w Polsce i prowincją Henan o wymianie studentów. W Łodzi przedstawiciele Chin otworzyli biuro i oficjalne przedstawicielstwo.

30 czerwca

→ Wyniki matur w Łódzkiem wypadły podobnie jak średnia krajowa. 26% zdających nie otrzymało świadectwa dojrzałości, w tym 19% nie zdało tylko z jednego przedmiotu, co pozwala im przystąpić do poprawkowych egzaminów w sierpniu. Najtrudniejsza okazała się matematyka, lepiej wypadł język polski, a najlepiej języki obce (angielski zdało 96% uczniów). Pociechą okazało się zajęcie II miejsca w Polsce przez Publiczne Liceum Ogólnokształcące Politechniki Łódzkiej w rankingu STEM (nauka, technologia, inżynieria i matematyka).

→ Przedstawienie *Lekcje miłości* Iriny Waśkowskiej wystawione w Teatrze Jaracza zdobyło Grand Prix na Międzynarodowym Teatralnym Festiwalu Współczesnej Dramaturgii „Kolada-Plays" w Jekaterynburgu. Spektakl wyreżyserował Rafał Sabara.

ODESZLI:

3 czerwca

→ Jacek Szymczak – wykładowca w Szkole Filmowej w Łodzi i innych wyższych uczelniach artystycznych w Polsce, reżyser filmów dokumentalnych, scenarzysta, operator filmowy i producent. Długoletni pracownik Stacji TVN.

Opracowała: Małgorzata Golicka-Jabłońska

WBP im. J.P. w Łodzi
106711-14

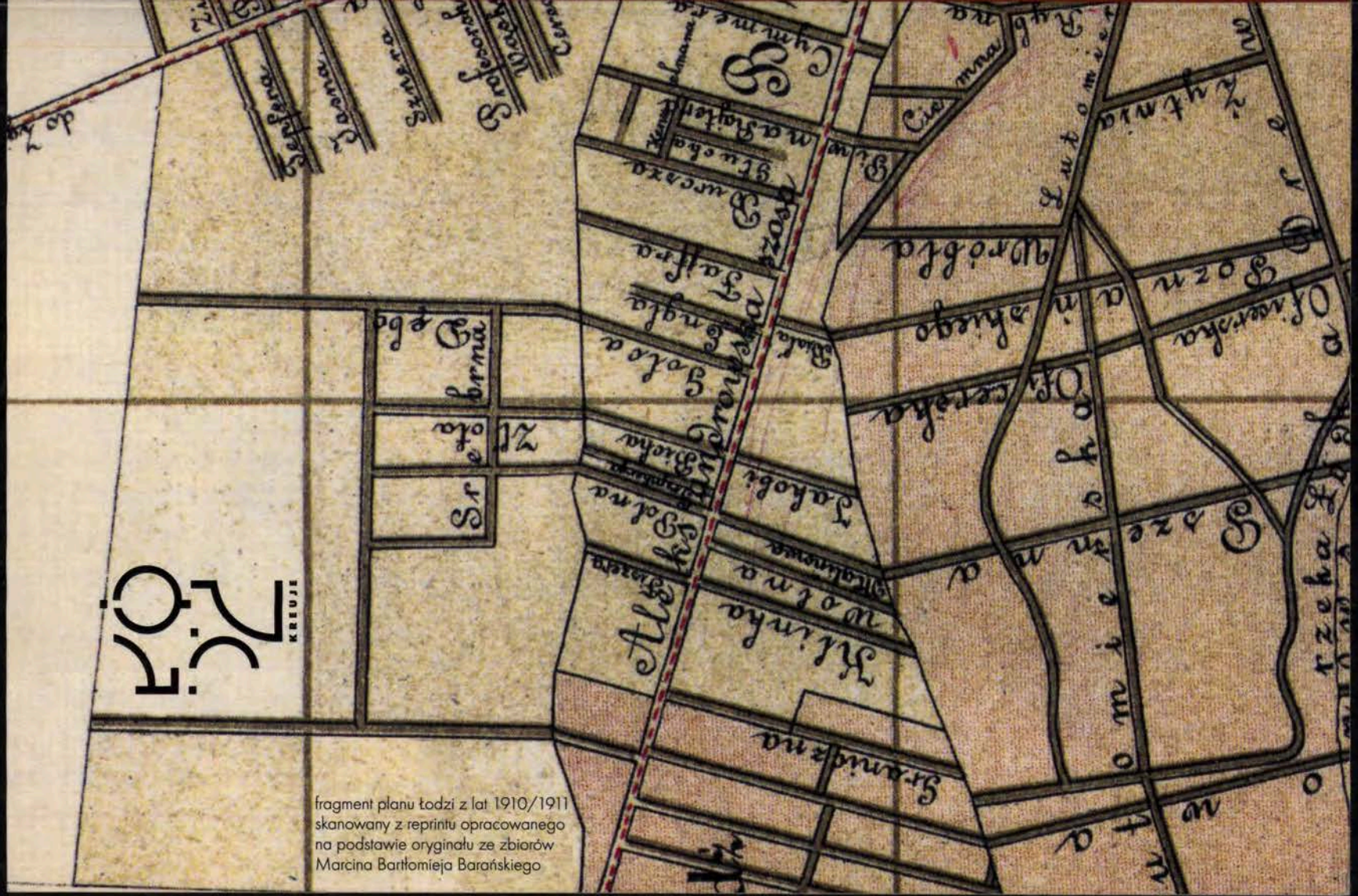

fragment planu Łodzi z lat 1910/1911
skanowany z reprintu opracowanego
na podstawie oryginału ze zbiorów
Marcina Bartłomieja Barańskiego